

Wspomnienia – TOM I
mjr dr Roman Sulimski /Pisarczyk/ – lekarz
Poznań 21/IV/1933r.

Słowo wstępne

Mam już 41 lat, mniemam jeszcze o sobie, iż pamięć mi dopisuje i że jeszcze potrafię być obiektywnym, o ile w ogóle człowiek piszący o sobie, swych przeżyciach, swych przemyśleniach – potrafi być obiektywnym. Co prawda autobiografia, jakich w dzisiejszych czasach dużo się ukazało w druku, usposabiają mocno raczej sceptycznie. Tak ludzie łąą i bielą się. Przytem żyjemy w czasach, w których tworzy się na gwałt legendy. Ba, nawet usiłuje się nie bez skutku, nadawać tym legendom postać historycznej prawdy, czasem i prawa dziejowego. A źródło jednak tak jeszcze nie daleko, tak jeszcze mało ludzi podążyło się zestarzyć z tych co pamiętają początki tych źródeł legendarnych, że aż dziw bierze skąd taka czelność u jednych, jakby liczących na słabą pamięć ludzką, skąd znów taka bierność i obojętność u drugich? Ja myślę ci drudzy zadowolają się wiedzą rzeczywistości, legendom przysłuchują się z uśmiechem pobłażania, wierzą, że oliwa i tak na wierzch wyjść musi. Czy aby jednak zawsze tak jest? Przecież dla historiografów literatura, publicystyka epoki, nie mówiąc już o aktach prawnych – są głównymi źródłami wiadomości. Jest tym źródłem również jednak literatura pamiętnikarska. Jakkolwiek z natury rzeczy subiektywnie przedstawiona, to jednak obiektywny dziejopis zestawiając różne pamiętniki często klóące się, może z nich wyłuskać ziarno prawdy. Trzeba jednak, aby takie pamiętniki pisano. Pisze się ich dziś dużo, te jednak które ja znam, są albo literackimi elaboratami, raczej przypominającymi powieści, bądź fałszowanymi „dzienniczkami” pamiętnikarskimi (nie pisane naprawdę w oznaczonych datach a często w kilkanaście lat później), bądź enuncjacjami znamienitych osobistości lub przynajmniej za takie się uważających. W tych opracowaniach z natury rzeczy najwięcej jest subiektywizmu. Natomiast bardzo rzadko się widzi pamiętnikarskie publikacje ludzi przeciętnych, może dlatego, że nie sfinansowałyby się, bo do tego trzeba albo znanego imienia albo śmiałej blagi. Powiedział raz Piłsucki: „A wy leguny wiercie, że was fałszują, więc piszcie swoje pamiętniki”. Jakbym wołał: Fałszują każdyh we współczesności, fałszować będą jeszcze więcej w przyszłości, gdy potomność nie będzie rozporządzała różnostronnymi zapiskami. Jeśli fałszują inni, niemniej fałszują inni tamtych. Jakby nie było sądzę, że dla potomności lepszym źródłem wiadomości o epoce będą opisane przeżycia ludzi przeciętnych niż „wielkich”. Te ostatnie mają na przestrzeni wieków, ba – tysiącleci! – ten sam charakter, przeżycia zaś zwykłych ludzi są dla danej epoki charakterystyczne. Pozwolę sobie więc i ja, choć może nieudolnie, bodajby choć tylko na

użytek własny i potomstwa skreślić swe przeżycia w epoce podobne której nie często się wydarzają w historii. Na początku przystąpiłem do kreślenia tych słów, mylnie sądziłem przedtem, że tylko regularnie prowadzony dziennik pamiętnikarski miałby sens i szansę bezpośredniości i obiektywności a tym samym właściwą wartość. Dziś wierzę, że jest to marzenie ściętej głowy. Taki pamiętnik urósłby do dziś w straszliwą bibliotekę wypełnioną ciągłymi sprzecznościami, tak jak sprzecznościami wypełniona jest dusza ludzka, bżika by musiał dostać ten, kto by go czytał, a ten co by go pisał musiałby nie mieć nic lepszego do roboty, czyli nie miałby też o czym pisać. To też nie wierzę w autentyczność „datowanych” pamiętników różnych mężów stanu. Chybaby w świecie kobiecym można znaleźć takie autentyki; będą na pewno zawierać dzieje pierwszej miłości i tyle. W świecie męskim u maniaków (nie biorę pod uwagę podróżników), takie źródła są chyba dość wątpliwe. Teraz, gdy już w dojrzałym będąc wieku umysł miałem więcej podatny do dociekań historyjicznych, czego nie mogę powiedzieć w wieku do 30 lat, gdy przetrwałem dość znaczną kupę większej i mniejszej wartości dzieł historycznych, monografii, pamiętników – teraz wiem, że ani ja ani mój ewentualny czytelnik nic na tym nie stracił. Spokojnie nadaję temu „pamiętnikowi” formę wspomnień. Będą może czasem upiększone lub zaciemnione? A może (i na pewno!) doraźnie spisywane grzeszyłyby większym jeszcze przejawieniem? Mniejsza z tym.

Zamiarem moim drugim jest wznowić ideę przedwcześnie zmarłego, grubo starszego ode mnie brata Jana, który zapoczątkował, niestety na zniszczonym kajeciku, pamiętnikową księgę rodzinną. Kajecik zaprzepaścił się lecz ja zdążyłem zebrać wiadomości więcej od niego, dotyczących rodziny i mam je w pamiętniku. Niech to będzie początkiem takiej księgi. Chciałbym, aby moi synowie poprowadzili ją dalej.

Część I

Miejsce rodzinne

Ujrzałem światło dzienne dnia 20, jak matka twierdziła, grudnia, a jak twierdzi metryka listopada /myli się prawdopodobnie metryka/ 1891 roku we wiosce Breń Osuchowski powiat Mielec, województwo krakowskie. Wioska należąca do parafii Czermin (p. loco) położona jest we widłach rzecznych Wisły i Wisłoki, od jednej i drugiej oddalona mniej więcej o 6 kilometrów. Ciągnie się długim dość pasem od wschodu na zachód przez jakieś 8 km, na szerokość nie więcej 2 km. Od zachodu przypiera do małego dopływu Wisły Brnia, od niego też nazwę swą wywodzi. Kiedyś leżała nad tą rzeczką w całej rozciągniętej długości, gdyż

Breń tworzył deltę o krótkim lewym i na przeszło dwie mile długim prawym ramieniu biegnącym wzdłuż Wisły w odległości 6 km, aby znaleźć ujście obok ujścia Wisłoki, czy też nawet do niej wpadać. Za mej pamięci pozostał z tego ramienia tylko ślad w postaci opłotkowanego rowu „kinetem” zwanego, spotykanych często wzdłuż niego łąch bagnistych z typową roślinnością wielkomoczarową /tatarak, szuwar, sitowie, palmy, „diabli oset”/ i resztek obwałowań, których rozwartość dochodzi czasem do 1 km. Wszystko to świadczy, że kiedyś woda ta przedstawiała się o wiele więcej imponująco, a nawet nieraz groźnie. Nawet i teraz mniej więcej dwa razy do roku, tj. koło św. Jana i pod jesień dawne czasy ludziom żywo się przypominają. W porach wylewów wiślanych lub choćby tylko wzmożonych dłuższych opadów „kinet” po staremu wzbiera i przemienia się w ładną rzeczkę, ba rzekę. Latami przyschnięte do dołu bagnisko pęcznieje i jak kaczka zawsze mu woda „po brzuch”. Woda szuwaru nigdy zakryć nie zdoła. A życie rybne w pełni. W zwiększonej masie wiślanej trudno o żer, wędrują w górę do mniejszych dopływów no i na tarło. A że opadanie odbywa się jeszcze szybciej niż wzbieranie, ryby oddane godom nie nadążają za znikaniem wody i moc ich zostaje w miejscach głębszych i przybrzeżnych bajorkach bagiennych. O drobiazgu się nie mówi. Stąd połów ryb tam łatwy. W ciepłe, spokojne popołudnia w lecie można wprost ręką, lub zgarniać szkopkiem drzemiące szczupaki. Po okonie, karasie, liny, piskorze, miętusy, sumy nawet trzeba było się już fatygować zastawiając bądź węcierze, bądź wirskle /kosze plecione z łożyny/. Najprościej i najszybciej jednak łowić w kosz np. opałkę. Zarzuca się ją gwałtownie przed sobą do wody otworem do siebie depcąc energicznie nogami, aby zmącić wodę do cna. Z powodu mulisto-bagiennego dna to nie trudno. Uniósłszy po małej chwili nad wodę kosz, rzadko nie spotyka się w nim kilka sztuk złowionych. Kiedyś ten raj rybi miał być znacznie większy. Dziś dzieci się tylko rybołówstwem bawią w opisany, prymitywny sposób. Kiedyś ryba była zdaje się głównym źródłem dochodowym mieszkańców. U każdego chłopca znaleźć można było sieć, często nawet łódkę. Jako dwu – trzy letni bachor pamiętam jak wyłukiwałem się na brzuchu starej krypy, służącej za przyzbę, bo na nowej wodzie nie było jeź dla niej miejsca. Z mego pokolenia mało kto już umiał pływać a ojciec mój był doskonałym pływakiem i chyba nie sam tylko, a nie gdzie indziej niż we Brniu się uczył. Musiały być wody głębokie, jeśli jeszcze brat Wojciech, o 18 lat ode mnie starszy pamięta wylew, który wypędził ich z chaty na „dworską górę”. Co prawda ta „góra” uszłaby oka przeciętnego widza, lecz nie naszego, nawykłego do krajobrazu zupełnie płaskiego. Różnicę wzniesienia trzeba jednak ocenić na jakie 2 do 3 metry. Za mych czasów woda czasem podchodziła prawie pod chatę ale nigdy nie weszła. I tak wrażenie musiała

wywierać dostateczne, kiedy do dziś w snach ją widuję, w snach więcej lubością pierwotną niż grozą przepojonych.

Rybna ta delta była jednak udręką przyległych wiosek a w szczególności Brnia, z tego powodu „Parszywym”, nawet oficjalnie nazwanego. Wiadomo, rybactwo nikogo jeszcze nie utuczyło, kwaśna, często na wylewy narażona gleba rodziła bujnie ale ... chwasty. I na kilka lat przed moim przyjściem na świat doszedł do znaczenia w powiecie inż. melioracyjny Andrzej Kędzior rodem z tegoż powiatu, żujący zdaje się jeszcze do dziś, ostatnio senator Rzeczypospolitej. Przeprowadził roboty melioracyjne w wielkim stylu w tym zakazanym zakątku kraju (do Mielca do dziś bardzo podłą drogą 12 km, do Radomyśla 17 km, do Szczucina 21 km). Silnie obwałował średni bieg rzeczki i górny w krótkim, lewym ramieniu delty pogłębiwszy dno, prawe odciążył siecią głębokich rowów ściągających wodę z gruntów, a gdy łożysko prawego ramienia przyschło i skurczyło się, pogłębił je tylko na szerokość 2 m oplótkowawszy brzegi. Od tego czasu butwieć zaczęły sieci, wężerze, łódki, znikły z zapieców wędzone pęki węgorki, furami niegdyś wywożone do Tarnowa. Koryto rzeczne zmieniło się na kwaśne łąki, z wolna coraz więcej w grunt uprawny obracane, miejscami tylko pozostawiając mniejsze lub większe ogniska bagniste, niczym poleskim nie ustępujące, w których do dziś dzikie kaczkę lub kurki wodne zabłąkują się lub nawet gnieźdzą. Pola przybrzeżne, dawniej łąki, dzięki możliwości systematycznej uprawy zwolna pozbywały się dzikich chwastów i zamieniły się w urodzajny czarnoziem. Wioska stanęła na nogi, zapomniano już prawie nazwy „Parszywy”, tytułować zaczęto, zdaje się nie dawniej jak od lat 60-ciu „Osuchowskim” Brniem w odróżnieniu od miejscowości tej nazwy nad tą rzeczką w powiecie Dąbrowskim, sąsiednim od zachodu. /Osuchowscy zwali się ostatni polscy właściciele majątku wsi/. Nie stała się wprawdzie zamożną, poza kwaśnym czarnoziemem gruntu piaszczyste lub półpiaszczyste, gdzie niegdzie glina, lecz klęski głodu skończyły się. Tyle o „kinecie”.

Ograniczenie wsi

Od południa wioska Kawęczyn, od rogu wschodniego Trzciana, od rogu zachodniego Ziempińów, od wschodu Czermin. Od zachodu Słupiec i Józefów (?). Północ osłonięta wraz z Szafranowem i Ziempiowem lasem łyśakowskim, ziempiowskim i otalęzkim /radki w tych stronach system leśny podłużny/. Zachód rzeczką Brniem i lasami systemu poprzecznego ciągnącymi się od Słupca ku Tarnowowi. Wschód rzeczką Wiśnią dopływem do Starego Brnia, której dawne koryto i bagnisko w tym korycie owiane legendą strachów,

jako rzekome miejsce zapadnięcia się kościoła na skutek przekleństwa bezbożnej baby. Takich owianych podobnymi legendami stawów bagnistych jest w tej okolicy więcej, np. „Knapów dołek”, dół na polach między Surową i Wolą Otałęzką. Od południa widnieje trzeci las /wszystko sosnowe/ tzw. trzciniński stanowiący początek zassowskiego systemu poprzecznego.

Grunt jak wspomniałem w znacznej mierze piaszczysty. Przez środek wsi ciągnie się jałowa wydma piaszczysta, pracowitymi rękami przemieniana z wolna na grunt uprawny, dający jednak do dziś tylko mierny urodzaj żyta, ziemniaków i lichego owsa. Wydma długości 1,5 km, szerokości ok. 400 m. Najwyższe jej wzniesienie wykorzystane na wiatrak i na grzebowisko zwierząt padłych. Główna droga wsi prowadzi wzdłuż, częściowo pośród wydmy. Nie ma tam zabudowań, bo chłop tamtejszy ciągnął do wody jako podręcznego miejsca dla pojenia zwierząt, hodowli kaczek i gęsi, dawniej możliwości rybołówstwa. Chodząc tą drogą do szkoły /do Kawęczyna/ mówiło się: „miedzy górami”. Tak, dla nas te piaszczyste wzniesienia nie przenoszące prawie wysokości człowieka były górami. Piachu takiego grząskiego, białego trudno napotkać gdzie indziej w tamtych okolicach. Są bezwzględnie naniesione rzeką. Nie Brniem, rzeczką krótką, wypływającą z gliniastego płaskowzgórza Tarnowskiego lecz tylko Wisłą. Prawa delta Brnia musiała tworzyć dawniejsze koryto Wisły, które pomulało coraz dalej na północ leżącą gliniastą wyżynę kielecką i odsuwało się w tamtą stronę aż na odległość 6 – 8 km. Niezbitym dowodem tej tezy fakt, że przy regulacji Brnia z bagiennego koryta wydobyto moc skamieniałych prawie czarnych dębów olbrzymich. Do dziś niektórzy chłopci mają z nich widliska, grabiska itp. Dopiero zachodnia część wspomnianej wydmy jest zabudowana przysiółkiem, tzw. „Miłoninek”. Odstępstwo od panującej reguły kompletne. Sucho, do wody daleko. Musiała być jednak dawniej i to duża. Widać, że z ośmiu przysiółków wsi ten był najstarszy.

Skąd ta nazwa „Miłoninek”? Nieraz się nad tym głowiłem. Analiza położenia geograficznego dopomogła mi znacznie w rozwikłaniu zagadki. Tuszę, że ją odgadłem. Miejsce to tworzyć musiało ongiś wyspę rzeczną, ograniczoną od północy korytem starym Wisły, ocienionej dębem, za nią bór sosnowy na długiej, lewostronnej, piaszczystej wydmie kończącej się na zachód tam, gdzie dziś zbiegają się pola Szafranowa z polami Łysakowa i Czermina na niskiej płaszczynie. Tam koryto wiślane przeginało się ku północy. Od zachodu zamykało je ujście Brnia, gdzie po drugiej stronie znów zaczynają się wydmy prawobrzeżne, ku południowi gubiące się bez ograniczenia wodnego, a więc łatwo dostępne i pewnie z dawna zamieszkałe. To wieś Słupiec, dziś przeważnie na żyznej nizinie poprzecznej rozłożona, na wydmie tylko w części. Lecz tamże na najwyższym piaszkowym,

lesistym wzniesieniu stoi stary modrzewiowy kościółek pod wezwaniem św. Trójcy, gdzie w dzień tego święta odbywają się wielkie odpusty, największe na Powiślu. Nie sposób tłumaczyć świątobliwością niezwyklej popularności tego zakątka, której nie osłabiła nawet półtora wiekowa niewola narodu /rozdzielenie okolicy między Austrie i Rosję/. Na odpust mimo trudności paszportowych sunęły masy „zawiślaków” spod Połańca, Staszowa, Pacanowa, Besowej, Korczyna i Pińczowa nawet. Kościoły parafialne Galicji w szerokim promieniu do 4 mil pustoszeją w tym dniu. A przecież nie ma tam ani słynnego cudownego obrazu ani źródeł uzdrawiających, odpust ma charakter weselny. Kramów bez liku, sprzedawane są drobiazgi, których nie sposób dostać na rynkach miasteczkowych np. oryginalne fujarki. Dla dorosłej młodzieży jest to miejsce schadzek i kojarzenia przyszłych małżeństw. Musi tu działać prastara tradycja, zapewne jeszcze pogańska. Punkt zborny, może kontyna, może grodziszczce albo oba razem. Nazwa Słupiec też za tym przemawia. Może pochodzić od żerdzi wiciowej tu na rozkaz władzy zapalanej ale jeszcze prędzej od „Słupca” – wyobrażenie Swarożycy mieszczonego w części „świętej” kontyny, dokąd tylko kapłan miał przystęp. Tylko tym można tłumaczyć wiekowe przywiązanie ludności do tego ustronia. Na modły, wróżby, narady, handel zbierali się ludzie przy kontynach, ale Kupalę odprawiali na uroczyskach od natury osłoniętych, mało dostępnych, ile możliwości w niewielkiej odległości od miejsca zbornego – kontyny. Wymarzonym na to miejscem był Miłoninek, dalsza część wydmy na wschód przerżnięta Brniem. Rzeczka ta nieduża, o dnie piaszczystym, twardym, łatwa była od strony Słupca do przebycia; drugi brzeg, wschodni musiał być często, choć jeno okresowo odwiedzany, przeprawa odbywała się w bród pieszo lub konno i to gremialnie, stąd bowiem tylko mogła się upowszechnić nazwa rzeczki „Breń” – od brnąć. Czynność ta, tak pospolita wszędzie w owych czasach musiała tu mieć jakiś specjalny kulturalno – etniczny posmak, służyła wesołemu, ulubionemu obyczajowi, stąd związano ją z brodem rzeczonym specjalną nazwą. Bród ten nie mógł być gremialnie uczęszczany w celach handlowych, do tych celów dogodniejszą była rzeka Sama /Wisła/, nie w celach towarzyskich, bo okolica na wschód od Brnia do dziś nie jest gościnna a dawniej tym bardziej i chyba była pustkowiem moczarowo – leśnym. Nie, lud „brnął” w tamtą stronę na „Miłoninek”, zapewne było to regionalne, chrobackie nazwanie Kupały, która przecież nie co innego oznacza jak święto miłości. Za tym przypuszczeniem przemawia także fakt, że w stronach tamtych ludzie odczuwają słowo kochać, kochanie jako coś obcego i nienaturalnego, kojarzą je raczej z pojęciem miłości zakazanej, nowatorskiej, miejsko – szlacheckiej. Natomiast słowo „miłować” cieszy się pełnym zrozumieniem w znaczeniu dzisiejszego „kochać”. Chłopiec tam nigdy nie powie dziewczynie „czy mnie kochasz?” –

bo czuje, żeby się ośmieszył lub źle był rozumiany. Pyta natomiast: czy miłujesz lub lubisz /wpływ bliskiego zachodu i południa – czeszczyzny i słowaczyny, gdzie „miłowaty” jest murowane, „kochać” nie znane. Z drugiej strony wpływ bliskiego wschodu – rusiński, gdzie „lubić” tylko znane/. Mnie samemu słowo „kocham” nigdy przez gardło przejść nie chciało. A przecież od tego słowa wywodzić się ma Kupała północnej słowiańszczyzny. Taki obrzęd, czy zabawa mogły się śmiało nazywać u Chrobotów „Miłoninkami” a miejsca ku temu sposobne Miłoninkami. Miłonek za brodem sposobny był do nich idealnie. Względnie dostępny objęty był widłami bagiennymi innej małej rzeczulki, której lewe ramię uchodziło do Brnia, prawe do Wisły w miejscu dzisiejszej Walczakówki. Albo li też było to po prostu stare, prawe ramię ujściowe Brnia. Tworzył więc Miłonek piaszczystą wyspę, zalesioną, obejmując dzisiejsze 4 przysiółki: Kąty /tuż za Brniem – widły rzeczne Wisły – Breń/, Miłonek, Kmiecie i Podbrowarze. Może sięgało i dalej, aż do wschodnich granic dzisiejszej wsi, do Wiśni, która tu wpadała do Wisły wraz z odnogą Brnia. Charakter czarnej niziny poodnogowej na południu, legendarne bagnisko na wschodzie pozwalają przypuszczać, że dostęp z tamtych stron do uroczyska nie był łatwy. Tak musiało trwać długi czas. Nie prędko pewnie chrześcijaństwo wytępiło „miłoninki”, do dziś nie wytępiło kultury „Słupca”.

Tymczasem w okolicy mnożyły się szlacheckie dwory, głównie na żyznych równinach przyrzecznych Wisłoki i Wisły; międzyrzecze Wislocko – Dunajeckie jako dzikie, mniej urodzajne mniej kusiło, mniej tu dworów, więcej wolnego i butnego ludu. W roku 1846 ten właśnie zakątek kraju srożył się najbardziej, tu najłatwiejszy miały dostęp i posłuch mścicielskie podszepty.

Włości szlacheckie wzrastały powolniej późniejszymi nadaniami, czego dowodzą liczne w tej połaci „sołtysówki”, „kmiecie role”. W wieku, o ile się nie mylę XVI szlachta wiodła zaciekły bój ustrojowy o obrócenie kmieci w poddaństwo, co się wreszcie częściowo przynajmniej udało. Z żyznych fortec przyrzecznych wciskać się zaczęła w głąb. Napotykała tam z dawna już osiadłych lub szaraczkowych „zagrodników”. Starala się ich obrócić w poddanych. Na dzisiejszej wsi Brniu, w tym Miłoninku, nadanie szlacheckie zastało już w widłach północno – zachodnich „kmięcą rolę” dziś zwaną „Kuskówką”, od do dziś żyjącego tam rodu Kusków /Kąty/, dalej na wschód właściwą rolę Miłoninka, której właściciele zwano „kmięciami Miłońskimi” – nasze gniazdo rodzinne, dalej obok dzisiejsze tzw. „Kmiecie” – przysiółek powstały z Hrynelówki /nazwisko właścicieli roli/, jeszcze dalej na wschód rola kmieca „Walczakówka”. Do Walczakówki od południa przylegały „Zagrody”, wzdłuż rzeczki położone, noszące charakter późniejszych osad na karczowiskach. Byli to zapewne pionierzy szaraczkowi. Nazwiska Szlacheckie: Bierzeński, Wątróbski, Boroński

o tym świadczyły. Nadanie obejmowało pewnie całą miłonińską połąć z „duszami”, a może miało miejsce wcześniej na wolnej połąci wschodniej poza Walczakówką a stosunek poddaństwa później został wymuszony.

Za pamięci obecnej istniały już następujące przysiółki: Zabrze – na lewym brzegu dolnego, dzisiejszego Brnia graniczące ze Słupcem, Wampierzowem i Ziempiowem; wspomniane już Kąty – na prawym brzegu; Miłoninek, Kmiecie – nad prawym brzegiem dawnego koryta; Błonia – na południe od Miłoninka na lewobrzeżnej nizinie innej odnogi Brnia, pierwszej, dążącej ku wschodowi i od południa oblewająca następny przysiółek – Budy, wykręcająca 0,5 kilometra dalej ku północy i mając tam po obu brzegach nowy przysiółek – Zagrody, wspomniane, aby ująć wreszcie pod Walczakówką do starego koryta, lewym swym brzegiem tamże zamykając nowy przysiółek – Podbrowarze, obecne centrum wsi. W ten sposób wymienione przysiółki stanowiły poniekąd do dziś stanowią zamkniętą wyspę.

Na wschód od Podbrowarza aż do Wiśni ciągnął się już obszar dworski, jeszcze za pamięci mego dziada będący tam w całości prócz zachodniej połąci tworzącej część roli kmiecej – „Walczakówki”. Sam dwór położony był na niewielkim wzniesieniu tuż nad rzeczką; niegdyś modrzewiowy, który w połowie XIX stulecia padł pastwą pożaru. Obok przylegał do traktu głównego duży ogród wysadzony lipami i świerkami. Lipy te oraz wspaniałego dęba wycięli dopiero za mego chłopięctwa ówczesni „dziedzice” – Żydzi. Z dworskich zabudowań zastałem z dawniejszych tylko przebudowaną stodołę o ceglanych filarach i ...tzw. „piekło”. Oficyny, „pałac”, stajnie były to już byle jakie i niechlujne rudery.

Za dworem ku wschodowi wzdłuż prawego brzegu rzeczki ciągnie się przysiółek „Zadworze” graniczący przez Breń z Szafranowem od północy, z Czerminem przez Wiśnię od wschodu i z gruntami dworskimi od południa. Charakterystyczną cechą geologiczną osiedla jest spadek poziomemu od gruntów dworskich ku rzeczce. Zamieszkiwali tu prawdopodobnie na wydzielonych przez dwór połąciach wysłużeni oficjaliści i rzemieślnicy dworscy. Stąd na skraju wschodnim: Borońskówka – zapewne od imienia osadzonego szlachetki później w chłopą obróconego, Gąsiorówka, Motylówka. Znajdująca się miejscami dobra glinka i piękny las przybrzeżny, biały, gruboziarnisty były wykorzystywane dla przemysłu domowego; stąd do dziś wykopywać można w pewnych miejscach większe ilości skorup garncarskich. Na ogół był to przysiółek ściśle z dworem związany; ziemia jałowa, widać mocno wyszana, takie zresztą pan zawsze dawał chłopu pańszczyźnianemu.

Połąć ziemi na północny-wschód od samego dworu ok. 2 hektary jeszcze za mego dziada należał ściśle do dworu, jemu dopiero, jako lubianemu, wysłużonemu stangretowi

został przydzielony wraz z częścią przyległej Motylówki. Dziś na tym „dziedzictwie” mieszka stryj mój /przyrodni, bo matka jego była macochą mego ojca/ Jan, zwany „dziedzic” lub „dyndas”, ściśle na odstąpionym dziadowi przez dwór kawałku. Na części motylkowej rezyduje mój siostra Bronisława Baradziejowa. To pierwsze dwie zagrody chłopskie, które widać za dworem w dole. /Dziś znikł ostatni ślad „dworu” – stodoła. Zamienił się gospodarstwo chłopskie „na górce”./

Ta druga zagroda, obecnie Baradziejowa – to moje miejsce rodzinne. Dalej ku wschodowi parę chałup rodziny niegdyś Motylów, obecnie inne nazwisko ale krewni, wyżej, ku dworskiemu dwie zagrody Sajków, dalej Sidur i potomki Gąsiora, wreszcie na Borońskówe – Boroński i Rybak. Na gruntach podworskich powstało już w XX stuleciu tuż przed wojną jeszcze parę mniejszych gospodarstw /Cieśla, Motyl, Werc, Górski/, właściwie geograficznie też przynależne do Zadworza. Ostatek gruntów obszaru dworskiego został rozparcelowany już po wojnie światowej. Za mej pamięci był w rękach żydowskich.

Pora po tym wstępie przejść do autobiografii.

Biografia rodziny dalszej

Dzięki dobrej pamięci mej św. Pamięci matki i jej bystrości umysłowej, która potrafiła świetnie uszeregować sobie opowieści chodzącej kroniki wiejskiej, jaką w one czasy była starszawa już ale bardzo rześka babina nazwiskiem Kozłowa, przezywana „Cugowa”, nie opuszczająca żadnego roku pieszej pielgrzymki do bardzo odległych miejsc odpustowych /Dzików, Leżajsk, Odporyszów, Tuchów, Kalwaria Zebrzydowska/ - zdążyłem sobie wyrobić pojęcie o swej genealogii od czasów bodaj czy nie Saskich. Pomocnym mi tu było spostrzeżenie późniejsze, kiedy ruszyłem się w świat, a więc od wojny począwszy, że nazwisko „Pisarczyk” jest pospolicie znane w Sanockim i tam oni pochodzą właściwie z jednej rodziny. Przewisk nie noszą. Ludzie są więc do tego brzmienia przyzwyczajeni. Natomiast w Brniu, gdzie „Pisarczyków” była spora paczka, zresztą wszyscy bliżej lub dalej spokrewnieni, każdy z nich nosił odmienne przewisko, najczęściej tzw. „patronimikon” z końcówką „ak” resp. „ok.” z Mazurska, albo zależnie od imienia ojca. Rzecz znamienita, bo w tych stronach nie ma śladów wpływów rosyjskich a przecież jest to rosyjską właściwością. Może „Pisarczyk” za trudno im było wymawiać, lub zbyt nienaturalnie brzmiało to w ich uszach, a najprędzej grał tu rolę brak dłuższego przyzwyczajenia. Tradycja, osłuchanie fonetyczne to produkt długiego czasu. Z tym przypuszczeniem schodzi się druga okoliczność.

Oto ostatnimi polskimi dziedzicami Brnia byli Osuchowscy, rodzina znana w Sanockim za czasów Saskich. Mgliste wspominki starych ludzi mówiły o tym, że nie byli oni długotrwałymi dziedzicami, że przed nimi byli inni, władający także przyległymi dobrami, względnie folwarkami, jak Dąbrówka od południa, Jasieniem, Kawęczynem, Chlostówką. Prawdopodobnie Osuchowscy otrzymali Breń drogą kupna lub może przyżenku. I nie było to zapewne wcześniej jak u schyłku XVIII wieku. Przychodząc na nowe miejsce z rodowego gniazda ten pierwszy Osuchowski brał ze sobą zaufanego oficjalistę lub wierne sługi, to całkiem zrozumiałe. Najprędzej pisarza prowentowego, bo taki głównie był potrzebny na nowym miejscu. Urząd ten po dworach szlacheckich piastowali zazwyczaj dziedzicznie zaufani słudzy, tacy co najmniej krępowali a można było ich być pewnym, bo nie mieli ani wpływowych familiantów ani możliwości grubszego naciągania swego pana – a więc trochę opolerowani, piśmienni hajducy, kozacy itp. Mieli więc i Osuchowscy w Sanockim takiego swego „pisarczyka” /nie byli nigdy magnackim domem, to i ich pisarze prowentowi oznaczani byli lekceważącym mianem/. Czy ten „pisarczyk” zwał się Bohun, **Sulima** czy po prostu Iwan lub Mikołaj to dziś nie wiadomo. W każdym razie nazwa funkcji przylepiła się doń łatwo jako przezwisko, co tak częstym jest u naszego ludu zjawiskiem.

Kiedy za Cesarza Józefa II austriackiego, o ile się nie mylę, nadawać zaczęto nazwiska nie-szlachcie, przezwisko to przepisano na nazwisko. Przodek ten widać niezbyt wielkim grzeszył sprytem, kiedy przegapił sposobność przybrania znośniej brzmiącego nazwiska. A może nie był w stanie? Kosztowało to bowiem łapówkę urzędnikom spisującym.

Czy **on**, czy jego **potomek**, to drugie prawdopodobniejsze, przybył z wżenionym paniczem do Brnia. Musiał się dobrze spisywać na swej służbie, jeśli już, jak wyliczyłem, w latach 1780-1790 Pisarczyk imieniem **Klemens** rezyduje na Miłoninku jako zapewne przyżeniony na roli miłonińskiej /rola = jednostka gospodarcza rolna obszaru ok. 30 ha./. Zapewne nie bez wpływu wszechwładnego naówczas dziedzica to się stało. Pozycja kmiecia ekonomiczna i socjalna była o wiele lepsza od położenia zwykłego chłopu poddanego. Obowiązywała go mniejsza ilość dni pańszczyzny i to nie osobistej lecz przez czeladź.

Zostawia ten Klemens dwóch synów i dzieli między nich „rolę” na połowę. Znów **Klemensa** i Mikołaja. Ten drugi Klemens pozostawia trzech synów: najstarszy znowu Klemens, dziedziczący pozostałe pół roli; Piotr, służący za lokaja u jakichś krewnych dziedzica w Siedlcach, stąd „Siedleckim” przezwany i trzeci **Stanisław**. Ten ponieważ wszystkim dobrze był znany na miejscu jako zamiłowany koniarz, służył u miejscowego dziedzica za stangreta – zwany poufale „Staszkiem”, względnie z mazurska „Staskiem”. **To mój dziad**. „Stasek” tak utkwiał ludziskom w głowach, że przezwisko to przenosiło się i na

jego potomstwo, nawet na druga linię. Nieżonaci byli „Stascokami”, żonaci „Staskami”. I na mnie po dziś dzień inaczej we wsi nie powiedzą, choć dziada mego mało już kto pamięta. Wielu nawet właściwe nazwisko jest prawie nieznane, mozolnie go sobie muszą przypominać. Znowuż charakterystyczne ignorowanie brzmienia bądź dla tamtejszego ucha nie fonetycznego, bądź nie dość jeszcze przez czas przyswojonego. Tak samo zresztą ma się rzecz i z liniami bocznymi. „Siedleckimi” zwą po dziś dzień prawnuków lokaja Piotra; „Mikołajczykami” potomków wspomnianego stryja dziadowego, osiadłych jeszcze do dziś na Miłoninku.

Zrobię tu małą dygresję, wielce charakterystyczną dla czasów w połowie XIX stulecia. Wspomniany Piotr „Siedlecki” przyjechał raz na urlop do rodzinnej wsi wraz z żoną ubraną w chustkę zwierzchnią wełnianą w kolorowe wzory, jakie to okrycie później powszechnie się przyjęło. Ale to później, a wtedy nosili się tamtejsi chłopcy po „Lasowiacku”.

Mężczyźni nosili latem długą lniana kamizelę z obszywaniami barwnymi na rękawach, pomponikami z tyłu u początku rozcięcia, kołnierzem fasonowym niebieskim. Koszula lniana z gorssem wyszywanym i zawiązywana krajką czerwoną bądź niebieską. Na głowie coś w rodzaju maciejówki białej, przesywanej. Buty długie, tzw. „polskie”, tj. z karbowanymi miechami. Zimą, bądź czapy baranie, bądź rogatywki czerwone obszyte barankiem, sukmany kroju kamizeli lecz z grubego, szorstkiego sukna brązowego, także pięknie obszyte barwnymi nićmi, bądź krojem bekiesz szyte kozuchy baranie z pięknymi nieraz wzorami wyszytymi na skórze. Kamizele za mych chłopięcych czasów już należały do rzadkości, sukmany tułają się do dziś jeszcze jako bardzo trwałe. Dziś za drogo by taki strój kosztował a i nie ma krawców, którzy by umieli go uszyć.

Kobiece stroje były niegdyś w tych stronach na oko o wiele skromniejsze. Tylko okrycie /wzorzyste, perkalowe, fałdziste spódnice, gorsety, alias kaftaniki podobne do krakowskich/ było barwniejsze, ale wierzchnie stanowiła względnie skromna z wyglądu lniana „ochtuska”. Nie dziw, że panią „Siedlecką” a właściwie jej chustę baby wsiowe pożerały oczyma.

Trafił Piotr na chrzciny u brata stryjecznego, „Mikołajczyka” nr 1. Ten podpiwszy sobie jął molestować Piotra, aby wróciwszy do Siedlec koniecznie taką „krasą” chustkę sprawił jego żonie. Ofiaruje mu za to ni mniej ni więcej tylko połowę ziemi a więc ¼ roli (15 morgów polskich). Umowa przy świadkach stanęła i została wypełniona. W ten sposób wydziedziczona linia „Siedleckich” /podług zwyczaju już młodszą/ powróciła do ojcowizny.

Nie powróciła już linia „Stasków”. Najstarszy z trzech braci Klemens nie pozostawił męskiego potomka i przez córkę przeszła druga połowa miłonińskiej ziemi w inne ręce.

Ostatnio rezydował tam Józef Czepiel z kmieciów Kawęczyńskich, również bezpotomny. Prawdopodobnie już zmarł, był o rok młodszy od mego ojca. Ciekawy to był typ. Wysoki, gruby, analfabeta lecz o inteligencji bardzo przenikliwej; on ze wszystkich wójtów rządził się najmądrzej.

Cóż działo się tymczasem ze „Staskiem”, moim dziadem?

Służył u Osuchowskich za stangreta, cieszył się względami i wyswatany został ze schłopiałą, podupadłą szlachcianką **Jamielowską Anną**, zdaje się starszą już pannicą. Mieli troje dzieci. Najstarszą **córke**, imienia nie pamiętam, wydano za mąż za zamożnego kmiecia w sąsiednim Ziempiowie Knapa. Wiano otrzymała bardzo skromne mimo znaczniejszej już zamożności rodzica. Parę wołów i sto guldenów. Tak było w zwyczaju /gulden = 2 korony = ok. 4 złote/.

Starszy syn **Błażej** i młodszy **Klemens, mój ojciec**, mieli długie chłopięce lata. Dopóki się im wasy nie zaczęły sypać zbijali baki po polach i wodzie, co najwyżej jako pastuchy, niezbyt zresztą odpowiedzialnie, bo ojciec Stanisław-„Stasek” miał już w te czasy swą zagrodę, obszerną chałupę, kilkoro służby tzw. „czeladzi”, więc synowie nie byli zbytnio zapędzani do pracy. Gorzej się działo synowi naturalnemu Józefowi, który był traktowany w domu jako parobek /może Mikołaj?/.

Błażej jako bardziej niespokojna, wichrowata natura kosztował ojca sporo kłopotu, nie obywało się bez tego, iż nieraz podkradał się ojcu do komory i schowanych „cwancygierów” /moneta srebrna wartości ok. 1 złotego/, którymi napelniał bez rachunku kieszenie i równie sprawnie przepuszczał je w karczmie. Za to potrafił z dziewoją Jagusią /znałem ją jeszcze jako starą „Kapinoskę”, zmarła w 1916 roku/ przetańczyć polką w lewo od karczmy do karczmy drogę 3 km długą. Dziad trudnił się naocznie zdaje się głównie opłacającą się hodowlą wołów opasowych, bo słyszałem nieraz wspominki o kupcach wyliczających za woły cwancygiery na przetaku. Wspomnienia ojca i stryja Błażeja z lat młodocianych też głównie się kręciły koło wołów, ich pasienia, pławienia, przygód z wodą /ojca, gdy jeszcze nie umiał pływać tylko ogon wołu wyratował z topieli/. Stryj Błażej celował w czasie tych pastuszych zajęć w podkradaniu tłustych gęsi i przyrządzaniu ich „dzikim” sposobem. Gęś taką, nie skubiąc, patroszyło się, nadziewało krajaną słoniną i solą, oblepiało gliną i wstawiało do ogniska. Glina się wypalała a gęś smacznie upiekła, przy czym spieczone pierze łatwo schodziło.

Do szkoły stryj Błażej nie chodził, a może się uczyć nie chciał, dość, że pozostał analfabetą. Gdy miał lat dwadzieścia parę ożenił go dziad z niejaką **Węgrzynówną**, podobno dość przystojną blondynką /sam Błażej był dość szpetnym szatynem/ i wykupił dlań od

podupadającego już dworu, naonczas już nie w rękach Osuchowskich, znaczny pas niezłej ziemi wzdłuż Brnia na zachód od dworu ok. 14 morgów polskich i wybudował mu tam nowe gospodarstwo. Chów wołów a jak przebąkiwali ludzie – przywłaszczenie sobie ukrytej ongiś przez Osuchowskich gotówki w czasie zamieszania w roku 1846 – umożliwiły to.

Rok 1846 tzw. tamże popularnie „rabacja” lub „rabonka” zaznaczył się okrutnym zamordowaniem trzech oficjalistów w sąsiednim od południa majątku Dąbrówce, ongiś przynależnej do Brnia, do Osuchowskich, wtedy mającej już innych właścicieli. Do dziś pewnie jeszcze na ich grobach stoi kilka brzózek obok nieistniejącego już folwarku, które mi pokazywano. We Brniu był tylko jakiś plenipotent, który zawczasu zwiął. Ojcu wraził się w pamięć jako czteroletniemu bachorowi widok z okna bandy uzbrojonych we widły i cepy chłopów maszerujących gdzieś na krwawe żniwo. Nieraz zastanawiałem się nad genezą tych wypadków, kiedy już uczyłem się dziejów i znałem rolę rządu austriackiego w tej zawierusze koszarnej na terenie okręgu tarnowskiego. Tradycja jednak tych wydarzeń i czasu poprzedzającego była jeszcze żywą za moich czasów. Lud odnosił się stale do tych wydarzeń z pewnego rodzaju dumą jak do epoki bohaterskiej mając żywo zapisane w pamięci ciężką w tamtych czasach niewolę pańszczyźnianą. Wszak na kongresie opozycyjno-ludowcowym w kwietniu 1914 roku wystarczyło Stapińskiemu pokazać z mównicy harap pańszczyźniani ażeby namiętność rewolucyjno-społeczną rozpalić do czerwoności.

Niestety! Wieki całe traktowała szlachta swych poddanych gorzej niż bydło a gdy przyszło jej na myśl walczyć o wolność utraconą chodziła wtedy „w biedzie do żyda” z obicankami. Obicanka – cacanka. Zaczął to już przecież Jan Kazimierz ślubem we Lwowie, powtórzył Kościuszko w Połańcu. Stale ta sama nuta odzywała się we wszystkich powstaniach, powtórzyła się też w zamierzonym roku 1846. Czemu miał ciemny chłop więcej wierzyć: swej pooranej skórze czy po raz piąty powtarzany obietnicom? Tradycja rzeczona wywarła dalsze skutki. Wszak tarnowszczyzna to ojczyzna Bojki, Witosy, wielu działaczy, Radka-Sobelsohna, nawet niejednego z dzisiejszych luminarzy w Polsce, z ducha rewolucyjnego wyrosłych, choć dziś by się bardzo zdziwili, gdyby te słowa przeczytali. A chłopski lud tamtejszy stanowi dziś w Polsce najbardziej zdecydowaną społecznie masę, która prawdopodobnie wiele jeszcze niespodzianek przyniesie sferom rządzącym.

Ale odbiegłem od rzeczy. Chcę skończyć dzieje stryja Błażeja. Lekko duchem pozostał i po żeniaczce, gospodarstwem się zbytnio nie trudził, za to lubił odbywać huczne zabawy, młoda żona też nie była od tego. Piękna konie, „balowanie” po kuzynach, weseliskach /sam trochę grywał na skrzypcach/. Najstarszy Klemens, chrześniak mego ojca wyemigrował do Ameryki, młodszy Michał do Borysławia, najmłodszy Jan, zwany „Skobel” od dziecka

okazujący wielkie zdolności muzyczne, zaczął swą karierę na wyrobionych własnoręcznie gęśliczkach i już jako jedenastoletni chłopiec zaczął grywać po weselach. Coś we dwa lata potem, zachwycony gra wędrownych cyganów, uciekł z nimi na włóczęgę i po paru latach dopiero, gdy mu się naprzykrzyła, zatrzymał się przy bracie Michale w Borysławiu /w kopalni nafty/, bo do domu bał się wracać. Wrócił dopiero mając przeszło 30 lat, gdy już ojciec był mocno podeszły w wieku i ... do cna prawie zrujnowany. Zastał już kilkoro młodszego rodzeństwa z drugiego małżeństwa, z których dwoje było już na emigracji w Ameryce, najstarszy syn Aleksander kończył seminarium nauczycielskie w Tarnowie. Nie bardzo więc było do czego się „Skoblowi” ucześcić. Ze dwa latka zeszło mu na objaniu się po okolicy jako grajkowi weselnemu i na bałamuceniu dziewcząt. Był bowiem elegantem swego rodzaju. Dość przystojny i zgrabny, wąs zawadiacki, silne łuki brwiowe, wyraziste blade oczy, wyniosłe czoło, czupryna pielęgnowana, fasonowo zawiązany krawat a przede wszystkim gra na skrzypcach, niezrównana w swym rodzaju, nadzwyczajne blagierskie zdolności, właściwe zresztą wszystkim potomkom Błażeja – robiły wśród płci pięknej spustoszenie no i ... niejednokrotnie dzieci. Nie omieszkiwał też czasem popisywać się paroma kuglarskimi sztuczkami, bo wiedział, że to robi wrażenie. Co do gry, to zapędził nią w kozi róg nawet „ślepego Werca”, ociemniałego poetę i muzyka, spolonizowanego Niemca z kolonii Schönanger. Był w tej grze cudowny takt, werwa i czystość tonu. Repertuar naturalnie skoczny, tamtejszy, a więc głównie polki, mazurki i oberki ale z charakterystyczną cygańską modulacją. Miałem już wtedy 9 czy 10 lat, słuchanie jego gry było mi największą ucztą. Później przekonałem się, że na tamym Powiślu wytworzyło się coś w rodzaju jego szkoły. Szczególnie przyjęła się w powiecie Dąbrowskim, gdzie się później w Słupcu „Skobel” osiedlił. Będąc w Tarnowie w szkole od jego ucznia, niejakiego Śliskiego, niedokończonego seminarzysty /wyjechał do Ameryki/ przejąłem mój repertuar. Także w grze kolegi Lelka Wawrzka, obecnie sędziego w Sądzie Okręgowym w Krakowie, poznałem te same motywy /zaczepnięte od swego stryja, muzykanta, będącego też pod wpływem „Skobla”/.

Jak się wreszcie osiedlił „Skobel”? Po prostu przyżenił się do dość zgrabnej dziewczyny, niejakiej Szarpałówny w Słupcu, przy czym w dziewczosłębach dzielnie mu był pomocny mój starszy o 9 lat ode mnie brat Franciszek. Niewielkie tam było gospodarstwo ale mogło by być zasobne, bo rola rędzenna pierwszorzędną, dział wikliny wiślanej – pozwalały mieć się dobrze, byle skrzętnie gospodarzyć. Ale zamiast tego – muzykowanie, wprawdzie też intratne, gdyż przeciętne wesele dawało zawsze ponad 200 koron dochodu. Jest tam taki zwyczaj, że tańczący drużbowie względnie goście weselni, czy tylko tzw. „postronni” sami opłacają każdy taniec, gospodarz tylko żywi muzykantów i poi. Cóż, kiedy „Skobel” rzadko kiedy

z tego jakiś grosz przynosił do domu. Wszystko zostawało w karczmach, szynkach, raczył się kto chciał. Ponieważ były to czasy masowej i dość zyskowej emigracji zarobkowej do Ameryki, pojechał więc tam też i nasz „Skobel”. Naturalnie i tam nigdzie przy żadnym zajęciu dłużej nie zagrzał miejsca tylko przeważnie grywał, z mniejszym jednak powodzeniem, bo emigrantom więcej imponowały „europejskie” zespoły muzyczne tamtejsze, które oni nuworysze, uważali za coś kulturalnie wyższego. Z tym wszystkim przykrzyło mu się jednak bez żony, więc ją bombardował ją przyzywającymi listami, obiecując złote góry. Przyjechała, zostawiwszy w domu dziecko z matką. Gdy zaszła w ciążę wyprawił ją czuły mąż do domu do matki a później sam przyjechał akurat na same chrzciny. Niezadługo wyjechał do Ameryki z powrotem i znów po jakimś czasie bombarduje żonę listami o przyjazd. „Po co, po trzeciego bachora?” – odpisała i nie pojechała. W jakiś czas później otrzymuje wiadomość, że mężulek siedzi w ciupie za uwiedzenie dziewczyny. Wypłacają zaś bracia żony zasądzone odszkodowanie i po pewnym czasie „Skobel”, niby skruszony wraca na łono rodziny. Nieco ustatkowany bo już po czterdziestce.

Wybucho wojna 1914 roku. Powołany do tzw. „starego land szturmu” /starsze pospolite ruszenie/ wykręca się jakoś szybko przez rewizje lekarską i wraca do domu. Dziś grywa już z synami choć biegłość już nadwątlona. Ma lat 60.

Najstarszy z drugiego małżeństwa syn Błażeja Aleksander oddany został do szkoły średniej /gimnazjum klasyczne/ w Tarnowie. Naonczas w wyższych klasach był także uczniem mój brat Jan i sprawował nad smykiem Olkiem kuratelę. Szczególnie utkwiło Olkowi w pamięci lanie jakie otrzymał miast spodziewanego uznania po przyniesieniu skradzionych w parku strzeleckim rajskich jabłek. Po dwóch czy trzech latach gimnazjalnych studiów przeszedł do seminarium nauczycielskiego w Tarnowie, po ukończeniu którego pracował jako nauczyciel w obwodzie szkolnym dąbrowskim. Będąc na stanowisku w Smykowie, zapadłej wioszczynie pośród lasów między Radomyślem i Tarnowem poznał tam rodzinę Tarków. Ojciec, zbożaczony chłop już nie żył, ale zabezpieczył swe potomstwo poważnemu dość jak na niego i te czasy depozytami w banku, po 22 tys. koron mniej więcej na głowę. Olek, choć szalapat, był jednak trzeźwym człowiekiem toteż niedługo posłyszeliśmy o jego ślubie z Tarkówną Balbiną czyli „Binią”, dziewczyną pyzată, niskiego wzrostu, najstarszą. Typ z tych, co się prawie nie zmieniają. Taka sama pamiętam w 1906 roku jak i w 1926 roku. Choć nieukształcona nie dała się zjeść Olkowi w kaszy, chłopu wygadanemu jak mało kto. Z dowcipów mniej i więcej wybrednych był słynny. Wykapany konterfekt swej matki, mocno chuderlawy, zawsze budził obawy, które się sprawdziły. Małżeństwo pozostało bezdzietne, nie żalowali sobie, więc posag „Bini” dość prędko się

rozszedł, tym bardziej że Olek ratując rodziców od ostatecznej ruiny, spłacił długi obciążające resztki gruntu, wyremontował dom rodzinny i starał się młodszego brata Wojciecha, mego rówieśnika wykierować na ludzi. Ten, nie wiele odbiegłszy od temperamentu brata nie bardzo jednak mógł gdzieś zagrzeć miejsca. Np. z terminu u znanego w Tarnowie krawca Kubisztala zwiął już po trzech tygodniach. Wreszcie wyemigrował do Ameryki, tam ożenił się, ale czy małżeństwo, czy kurz fabryczny nie służyły mu na płuca i przyjechał do kraju, najpierw sam, później tuż przed wojną 1914 roku żona. Wziął wtedy jakieś opuszczone gospodarstwo w Słupcu w dzierżawę i wkrótce powołany został na wojnę. Zginął trafiony kulą w głowę. Biednym staruszkom rodzicom czyniono trudności w otrzymaniu zasiłku wojenno-rodzinnego z powodu prowadzenia oddzielnego gospodarstwa, podczas gdy w tym samym czasie nie wstydzili się habsburskie arcyksiężne pobierać zasiłków wojennych z tytułu służby wojskowej swych kuzynów.

Olek, podówczas kierownik szkoły w Podlipiu pow. Dąbrowski z racji swej budowy ciała wolnym był od służby wojskowej. Inwazja rosyjska 1914-1915 tam wybiła najsilniejsze piętno /bliskość frontu nad Dunajcem/. W roku 1919 Olek przeniesiony został na stanowisko kierownika 7-klasowej szkoły powszechnej żeńskiej w Szydłowcu pow. Końskie w byłej Kongresówce. Tamże odwiedziliśmy Olków w naszej „podróży poślubnej” z żoną latem 1924 roku. Towarzyszyli nam dalej do Nadbrzezia, Tarnowa, Laskowej i Brnia, Olek zabawiał wszystkich swym humorem i dowcipami. Zmarł w niespełna 3 lata później na gruźlicę w sanatorium nauczycielskim w Zakopanem. „Binia” owdowiawszy zamieszkała przy młodszej siostrze Zofii w Skarżysku zamężnej za nauczycielem Gębskim. Ta przeciwnie obdarzona była kupą dzieciaków /coś ze 12/ i w 1924 roku gdyśmy ją widzieli wyglądała na matkę swej starszej siostry.

Najmłodsza latorośl Błażeja, Marysia około 7 lat młodsza ode mnie wyszła po wojnie za mąż za Myszkę, ród kolonistów z Dąbrówki, przybyły z Tarnobrzeskiego. Dziś są Myszki na miejscu „Staska-Błaska”. Stary „Stasek-Błazek” /stryj Błażej/ był typem dość charakterystycznym. Zawsze w sukmanie lub kozuchu baranim, czapa baranica, proste buty, krótko strzyżone siwe wąsy, ogorzala, powiędła twarz, włosy zawsze czarne, choć rzadziejące, chód „łogawy” z powodu trochę koślawych kolan, niuchający tabakę i zawsze używający powiedzonka: „A jakże – te – psiokrew – cy jaze jaze”. Do wypitki i tańca zawsze skory gdy tylko była sposobność; na 3 lata przed śmiercią w czasie wojny doznał złamania nogi po upadku z wozu. Jechał z jarmarku i najechał go podpity kum. Kum był w strachu, że będzie oskarżony o spowodowanie ciężkiego uszkodzenia ciała, przyszedł więc do leżącego Błazka się ugodzić. Rozumie się z litrową flachą wódki. Tak zapijane układy trwały dwa

tygodnie dzień po dniu. Błazej lekarza nie wzywał, aby w razie nie dojścia ugody do skutku móc okazać swą krzywdę. Przeliczył się, bo tym czasem noga zgoiła się sama, choć krzywo. Zmarł Stasek-Błazek, najstarszy syn dziada na uwiad starczy czy astmę w 1919 roku mając 84 lata.

Pierworodną była Knapowa. Nie pamiętam jej. Mąż jej też lubił gest szeroki i pamiętam go jako zupełnie zrujnowanego, nędzarza po prostu. „Rolę” podzielił między synów Jana i Józefa. Pierwszy utrzymał się na poziomie, nawet podniósł dzięki żonie Polakównie z rodziny czermińskich Warędów, znanych ze skrupulatności gospodarzy. Baba wzięła swego Jasia porządnie pod pantofel, na czym dobrze wyszedł. Natomiast Józef Knap był zmuszony wysprzedać się idąc w ślady ojca i wyemigrować do Ameryki, wprzód zaciągnawszy kilkaset guldenów pożyczki poręczonej przez mego ojca. Na pokrycie tego długu brakło już środków i spłacić go musiał mój ojciec. Na pokrycie zaciągnąć musiał sam dług hipoteczny, który mozolnie spłacał w ciągu lat w nader ciężkich dla niego czasach. Z wdzięczności wykpiwano go poza oczami. W ogóle miał słabość do swych siostrzeńców. Siostrzeńcy nie omieszkiwali zaś wykorzystywać tej słabości kiedy się dało. Jeszcze u schyłku swego życia dał się naciągnąć Janowi Knapowi, mówiąc nawiasem jednemu z najbogatszych gospodarzy Ziempniowa na grubszą „pożyczkę”. Zwrócona została, owszem, tylko że kwota ta przedstawiała już wartość ... 1,5 litra wódki. Były to czasy gwałtownej inflacji markowej. Knap za pożyczkę wyprawił córce huczne wesele a ojciec na to wesele nie bardzo miał się w co ubrać. Jan Knap Pozostawił trzy córki i jednego syna Władysława, po którym od młodości poznać było że był jedynakiem. Tylko ciężkiej ręce matki zawdzięcza, że się nie zbisurmanił. Oszczędziła go wojna i rosyjska niewola, ożenił się w 1923 roku i ze starym rządzi ojcowizną.

Wróćmy do samego dziada „Staska”. Osiadł opodal dworu na nadanym, czy kupionym nadbrzeżnym kawałku i na zachodniej części Motylówki, pobudował sobie chałupę obszerną, w której świetlica służyła zarazem za muzeum chomont, siodeł, starych rzędów jak i miejsce igraszek dla prosiąt; czeladź poganiał i zrzędził, przez zamożność, tradycję rodzinną, dobre stosunki z dworem – poważali go. Był nabożny i trumnę sobie kazał sporządzić za życia. Nie pochowano go w niej, gdyż rozeszła się ze starości przed jego śmiercią. Leżała na strychu i raz wsypano w nią bób, którego nie było gdzie podziać. Nikt ze służby potem tego bobu jeść nie chciał. Owdowiał „Stasek” około roku 1875 i niedługo potem ożenił się powtórnie, dochowawszy się z drugą żoną dwóch synów i dwóch córek: Jana /”Dziedzica” vel. „Dyndasa”/, Wawrzyńca, Marię i Katarzynę. Najgorzej na tym wyszedł mój ojciec, stąd między naszą rodziną a przyrodnim stryjostwem był za mej pamięci stan wojenny.

Zmarł „Stasek” ma krótko przed moim przyjściem na świat, w końcu 9-go dziesięciolecia. Wdowa, macocha ojca, wysoka z długim nosem, nieco pochylona kobieta, kłótliva jęzda wyszła wkrótce powtórnie za mąż za Masejadę z Łysakowa, który się przyżenił. Urodziła mu jeszcze trzy córki: Zofię, Anielę i Franciszkę. Ostatnia, nieco młodsza ode mnie była moją towarzyszką zabaw dziecinnych ku zmartwieniu naszych matek, gdyż zdradzaliśmy sobie nawzajem sekrety rodzinne. Wyszła za mąż w Kawęczynie, ściśle na Dąbrówce za kolonistę Myszkę Pawła /brata Błażejowego zięcia/. Na tę dąbrówską kolonię przeniósł się na parę lat przed wojną i Masejada ustąpiwszy miejsca dorosłemu już żeniącemu się pasierbowi Janowi, czyli „Dziedzicowi”. Tak zakończył się stan naprężenia rodzinnego między naszymi rodzinami, bo „Masłowata” wyniosła się, „Dziedzice” byli zamknięci w sobie i nie wchodzili nikomu w drogę, rodzice zaś zdążyli już zapomnieć o swych urojonych czy prawdziwych krzywdach.

Biografia rodziny najbliższej

Pora przystąpić do biografii ojca, Klemensa. Stasek-Klymenc, później, gdy wybił się nad otoczenie tylko „Klymencem” zwany. Ciekawe, że na kilkanaście wiosek wokoło, gdzie przecież imię Klemens. Jako parafialnego patrona, było pospolite – tylko ojca oznaczano tym imieniem w znaczeniu nazwiska, często zapominając o właściwym. „Klymenc” samo, bez dalszego przydomka, to już wiadomo było kto. My jednakże zwani byliśmy w pierwszym rzędzie „Stascokami” a dopiero w drugim, bliżej objaśniającym – „Klymencokami”. Urodził się ojciec w roku 1842, nie wiem, czy dziecinnie lata spędzał już w samodzielnej zagrodzie dziada czy też jeszcze na folwarku. Raczej to drugie. Pamiętał jeszcze ostatniego Osuchowskiego z powodu imienia „Placyd” – „Plackiem” zwanego. Uczyć się zaczął chyba nie prędko, jeśli dopiero w 18-tym roku życia przeszedł do szkoły średniej. Pobierał pierwsze nauki w szkółce wiejskiej we Brniu, mieszczącej się na dzisiejszym „Podbrowarzu”. Jak nazwa wskazuje, musiał tu niegdyś istnieć browar dworski i pewnego rodzaju ośrodek życia wsi bo i karczma. Tam więc było naturalne miejsce na szkołę. Nauczyciele szkółek wiejskich, które zresztą rzadko gdzie się wtedy znajdowały, byli naonczas wychowankami tzw. „preparand” tj. kursów akademickich. Pietruski, ostatni nauczyciel tego typu w Brniu /jeśli nie liczyć ojca/ był pierwszym światło dawcą ojcu. Pamiętali go za moich czasów starzy ludzie, a wdowa po nim dawała gminie znać o sobie jeszcze przed wojną 1914 roku, gdyż należała się jej z gminy mała pensja wdowia.

Niewiele się w dzieciństwie namękolili nauką a jak się już rzekło – i rusz ciężka praca. To też na zdrowiu mu nie zbywało. Nie pamiętam go bez siwych wąsów, nie dziw, bo 50 lat już liczył gdy się urodziłem, ale przecież w 75-tym roku życia, gdym go poczył rozebranego do mycia, potężne guzy mięśni przebijające spod śniadej skóry, to ja, 25-letni młodzieniec poczułem się wobec niego chucherkiem. Naonczas stać jeszcze go było na to, by, nie mogąc dźwignąć 100 kilowego worka zboża z wozu – zarzucił go sobie na plecy przy pomocy zębów. Opowiadał to jeden ze znajomych, który był świadkiem takiej sceny na jarmarku w Mielcu. Nie przyszedł mu z pomocą, choć widział, że stary irytuje się na żonę, iż pomoc mu nie jest w stanie umyślnie z ciekawości, co z tego wyniknie. Nie mógł potem wyjść z podziwu. Było to już w czasie wielkiej wojny. W ostatnim, 86-tym roku życia jeszcze odbywał względnie dalekie piesze podróże. Szybko podupadać na siłach zaczął dopiero w ostatnich miesiącach życia. Zmarł w lutym 1927 roku.

Jak już powiedziano, w 18-tym roku życia, pod wpływem Pietruskiego zapewne, odwiózł „Stasek” młodego „Klimka” do Tarnowa, i umieścił go na jakiejś stancji /zdaje się u Kubisztala – ojca/, i zapisał do gimnazjum. Mieściło się ono przy katedrze w średniowiecznym budynku, dziś stojącym pustką /za mych czasów w części budynku mieściła się tania kuchnia robotnicza i studencka/. Można sobie wyobrazić jak tam nauka szła rozwałkoniemu wiejskiemu podrostkowi, który języka wykładowego nie znał. Był nim jeszcze niemiecki. Długo tylko pamiętał mnemotechniczne reguły łacińskie i wyjątki gramatyczne. Znać dobrze je wbijano w głowę.

Nadszedł rok 1863. Ojciec repetował wtedy klasę II. W byłej Galicji znalazło powstanie początkowo główne oparcie. Kraj żył w gorączce. Zbierano ofiary, ekwipunek, sporządzano materiał sanitarny, organizowano oddziały powstańcze. Rząd austriacki prowadził chwiejną politykę, miał ochotę Rosji bruździć a nie chciał zrywać z nią stosunków. Społeczeństwo polskie to niezdecydowanie umiało wykorzystać tym bardziej, że już wtedy zaczęło przejmować od czasów Agenora Gołuchowskiego coraz więcej w swe ręce administrację kraju wypierając coraz więcej dotychczasowych Niemców i Czechów. Na terenie Tarnowa organizował oddział powstańczy Dunajewski. Odbywał niby tajne ćwiczenia pośród wawozów między Tarnowem i wsią Krzyżem, gdzie po dziś dzień zachowały się ćwiczebne okopy strzeleckie. Oddział składał się prawie wyłącznie z młodzieży szkolnej i rzemieślniczej. Wyekwipowany był dość przyzwoicie, mundury zielone /znali już kolor ochronny dzisiejszy/, czapki zgrabne, płaskie skośne rogatywki. Oddział był w sile mniej więcej batalionu. Znalazł się w nim i ojciec. Z innych, znanych mi uczestników – Bulanda, za mych czasów jeszcze profesor w I gimnazjum w Tarnowie, wtedy uczeń klasy IV;

Pawlikowski, późniejszy aptekarz w Mielcu. Około 21 czerwca 1863 roku oddział wyruszył na podwodach dostarczonych przez okoliczne ziemiaństwo drogą przez Lisią Górę, Dąbrowę, Szczucin ku granicy rosyjskiej, ku Wiśle. Austriacy udawali, że nie widzą. Oddział przeprawił się pod wsią Besową /na lewym brzegu / za Wisłę, gdyż dowódca otrzymał mylne wiadomości, że w tej okolicy przebywa silniejszy oddział powstańczy, z którym szedł się połączyć. Tymczasem był tam oddział, ale przeważający rosyjski. Dunajewski wpadł w zasadzkę i po stoczeniu niefortunnej bitwy /ojciec miał zastrzelić dwóch Moskali jak mówił, oko zresztą miał dobre do starości, na upatrzonego drapieżnika szedł z jednym tylko nabojem/, przyparty został z powrotem do rzeki.

(**Grabiec**. Działo się 19/06/1863. Było to pół oddziału /700 ludzi razem/ płk Jordana upatrzonego na Naczelnika Wodza. Jordan rozdzielił te 700 ludzi na dwie części, jedna pod mjr Dunajewskim rozbita pod Żabcami. Zginął Dunajewski i ¼ ludzi).

Zdziesiątkowany oddział rzucił się do przeprawy wpraw, wielu potonęło, ojciec stracił tylko karabin w wodzie. Przemokniętych w krzakach po stronie galicyjskiej wyłapał teraz szwadron huzarów austriackich, bo rząd tymczasem zdążył już zmienić orientację i usiłował zrehabilitować się w oczach cara grzebiąc powstańcze poczynania. Ojciec był wśród uwięzionych. Wśród w różny sposób okazywanego współczucia przez ludność odwieziono jeńców do Tarnowa. Za sprawą kół wpływowych, w gruncie rzeczy też w tę działalność zamieszanych, więzienie ich tam nie trwało długo. Nie mógł tego jednak ojciec przewidzieć, nawykłemu do wiejskiej swobody trudno się było pogodzić z perspektywą Bóg wie jak długiego więzienia, więc próbował ratunku w symulacji choroby. Udało się, oddano go do szpitala, skąd na drugi dzień zbiegł. Wiedząc, że drogi ku północy, w kierunku stron rodzinnych i granicy są penetrowane teraz dość pilnie przez wojsko celem wychwytywania powstańców, wybrał drogę okrężną ku Dębicy. Ale miał widocznie pecha. Rozpoznał go tam jakiś funkcjonariusz i kazał aresztować. Odstawiono go do więzienia w Kolbuszowej zakutego w kajdany. Zauważył jednak wkrótce, że dziedziniec więzienny nie był zbyt pilnie strzeżony a kajdany niezbyt mocne. Silne trzaśnięcie nimi o mur uwolniło ręce a i krata okienna okazała się nie bardzo trudną do wyłamania, przynajmniej dla niego. Zbiegłszy był już teraz ostrożniejszy. Do domu nie wrócił, bo po pierwsze spodziewał się /mylnie zresztą/, że go tam w pierwszym rzędzie szukać będą, po wtóre wiedział już, że ojciec „Stasek” wyłoi mu skórę, po pierwsze za zły postępek w nauce, po drugie za mieszania się w „awantury” i że w ogóle o wyrodku słyszeć nie chce. Poszedł więc na służbę na kolonię niemiecką, zdaje się w Turzowie, początkowo pod fałszywym nazwiskiem „**Sulima**”.

Zeszło mu tam jakiś czas, wreszcie zaangażowano go jako nauczyciela do szkółki wioskowej przy dworze w Trzcianie koło Mielca. Gdy w jakiś czas potem zmarł Pietruski we Brniu, objął tę placówkę i pozostawał na niej aż do chwili reformy szkolnictwa ludowego i przysłania nauczyciela nowego typu –Romana Kolmana, mego ojca chrzestnego. Bakałarzył więc ojciec gdzieś do roku 1875. W międzyczasie udobruchał się stary „Stasek”, marnotrawnego syna, jako znaczniejszą osobę estymował nawet, obiecywał pozostawić na całej ojcowiznie, spisał nawet odnośny testament, a przede wszystkim postanowił syna odpowiednio ożenić. Miał Klimek już lat 30 /w wojsku austriackim nie służył, przy poborze lekarze za porządną łapówkę uznali go za głuchoniemego/. Sam był oficjalista rzecz jasna te sfery mu były najbliższe i w nich znalazł kandydatkę na przyszłą synową.

Nad Wisłoką, na lewym brzegu na północ od Mielca, na połowie drogi do Borowej, w 7 km od Brnia położona była wieś i majątek Rzędzianowice. Zdaje mi się, że majątek wtedy już był w rękach żydowskich, o ile się nie mylę niejakiego Mojżesza Meyera, który w sędziwym wieku wyemigrował do Palestyny, tam kości złożyć.

W ogóle był to czas masowego przechodzenia majątków w ręce żydowskie wskutek zadłużenia u nich. Najgłośniejszym takim skupywaczem był Symche Anhheim, popularnie zwany „Simsia”, był karczmarz ze wsi Ziemniowa, wzbogacony po roku 1846. Niejeden wioskowy żydek zubożył się wtedy na zrabowanych papierach wartościowych przez chłopów nie znających ich wartości. W rękach „Simsi” znalazł się i Breń, ongiś Osuchowski.

Otóż był u Meyera w Rzędzianowicach ekonom nazwiskiem Wojciech Myjak z Czermina potem ożeniony z Anielą Kulig, była panną respektową lub tym podobne.

(Może się mylę, Myjak może był wtedy w Dąbrówce, w Kawęczynie, a później w Rzędzianowicach).

Przed ich ślubem jeszcze Aniela powiła córeczkę Kasię. W metrykach zapomniano później po zamążpójściu wnieść poprawki i pozostała Kasia wpisana pod nazwiskiem panińskim matki. Zresztą może ojciec nie bardzo był pewnym swego ojcostwa? Jak starsi moi bracia twierdzą – nie odnosił się do wnucząt ze zbytnim wylaniem, więc by to potwierdzało. Za mej pamięci żył jeszcze ale go nigdy nie widziałem. Babka zmarła tuż przed moim przyjściem na świat. Była to podobno kobieta znacznej urody, z miejska jakby ubrana, sztuka kulinarna w jej domu musiała stać wysoko co już odczuwałem na sobie przez córkę jej a mą matkę. W szczególności szczyć się miała bujnymi, lnianymi włosami. Bardzo do niej podobna wnuczka Aniela, córka mej ciotki Apolonii, gdy wyemigrowała do Ameryki – była pospolicie przez Yankesów uważana za Szwedkę. Jeśli sobie uprzytomnię rysy mej młodszej siostry Bronisławy, moje z czasów młodych, Aleksandra – odnajduję też sporo cech

skandynawskich. Mam długą, prostokątną a raczej trapezową głowę, włosy lniane, wąsy blond, brodę czerwono-złotą z łysymi charakterystycznymi miejscami na przedzie podbródka, przez to po „hiszpańsku” oddzielona od reszty brody, zresztą już w inny kolor, bo znów blond. Typy bałtyckie Szwedów, Estów, jak w swym życiu widziałem właśnie takie mają owłosienie. Zresztą i usposobieniem wyczuwałem to, odróżniałem się zawsze od otoczenia. Tak nawykłem do tego, że czułem się nieswojo, gdy napotykałem typ sobie podobny. Skąd się wzięła ta domieszka krwi? Powiedzieli mi, że w Czerminie kiedyś, tj. w XVII wieku osadzono jeńców szwedzkich. Może to od nich? U Myjaków z linii bocznych tych wszystkich cech nie widziałem, więc idą one zapewne nie po dziadku a po babce.

Babka wywodziła się też z rodziny folwarcznej, miała kilka sióstr, wszystkie podobnie jak ona tułały się po kątach, o jednej mi wiadomo, że miała kilkoro nieślubnych dzieci, żyjąc z nimi rozumie się w wielkiej biedzie, by wreszcie wyjść za jakiegoś wyrobnika Niemca spolszczonego - Śtyleza? i jeszcze jego synem i córką obdarzyć. Drugą „babeczną ciotkę” znałem dobrze bo była najmłodsza, zmarła stosunkowo późno, była zamężna za chałupnikiem w Czerminie pod Kościołem /ciotka **Karolinka**/. Trzecia, choć najmłodsza, żona też mocno starego pijaczyny –gajowego Lubaszewskiego /Lubarzewskiego/ – zmarła też stosunkowo późno za moich czasów, lecz nie znałem jej.

Aniela, tj. babka moja była zdaje drugą w rzędzie do starszeństwa. Najstarsza jej córka **Kasia** – to moja śp. matka. Miała jeszcze młodszą córkę **Apolonię**, zamężna za Janem Forezkiem /Forczkiem/ w Czerminie, wiecznie bijącym się i procesującym ze swym bratem i sąsiadem Wojciechem. Do aresztu szedł jak do kawiarni.

Poza tym miałem czterech wujów, z których tylko najmłodszy **Stanisław** Myjak, emerytowany starszy wachmistrz 1 pułku szwoleżerów żyje jeszcze. Ogrodnikiem był kiedyś i kilkanaście lat nie było o nim słyhać, aż dopiero na kilka lat przed wojną odnalazł się w Tarnowie przyjąwszy tam stanowisko instruktora w Krajowej Szkole Ogrodniczej. Wtedy go dopiero poznałem. Miał około 38 lat, wyglądał starzej, jasna łysawa czupryna, duże blond wąsy o bródka. Był kiedyś plutonowym ułanów w armii austriackiej w czasie czynnej służby, a o awanse podoficerskie w kawalerii austriackiej nie było łatwo, więc nie wytrzymał, gdy wybuchła wojna 1914 mimo, że już był podoficerem opuścił szeregi pospolitego ruszenia. Miał lat 43. Zgłosił się do Legionów i w II Brygadzie odbył całą kampanię wraz z więzieniem w Huszt. Był jednym z pierwszych instruktorów polskiej jazdy, odznaczony kilkakrotnie krzyżem walecznych. Wojnę polsko-bolszewicką przeżył w odcinku Szeptyckiego na Wileńszczyźnie w artylerii konnej, później przeniesiony do szwoleżerów. Przeszedł w stan spoczynku w roku 1927. Mieszkał do niedawna w Warszawie, nie wiem, czy jeszcze teraz.

Korespondencyj nie lubił całe życie. Na żeniączkę zdecydować się nie mógł. Z rysów bardzo był podobny do sióstr tj. ciotki i matki. W lutym 1934 roku dowiedziałem się, z listu od brata Wojciecha, że stryj, właściwie wuj Staszek ożenił się na starość z jakąś wdową w Mińsku Mazowieckim i że ... żona jego poroniła.

Innych wujów prawie nie znałem.

Najstarszy **Józef** został organistą, ożenił się z Jadwigą Kasprzykówną w Żwirniku za Tarnowem, umarł dość wcześniej na gruźlicę osierociwszy dwóch synów i dwie córki. Wdowa przesiedliła się do Tarnowa wiodąc tam mizerny żywot głównie z nikłej dzierżawy swego gruntu posagowego i kształciła dzieci jak mogła. Starszy syn Jan został księdzem otrzymawszy przy wyświęcaniu nowe nazwisko „Mieczysławski” /Kapituła powodując się zrozumiałym rozsądkiem zmieniała nazwiska swoim elewom seminaryjnym, gdy miały szpetniejsze brzmienie/. Zmarł zdaje mi się w roku 1924 po ropnym zapaleniu uszu. Młodszy Eustachy jako student prawa poszedł w roku 1914 z 57 pułkiem piechoty na wojnę i zginął na froncie włoskim w 1915 lub 1916. Aniela jest nauczycielką w wiosce pod Tarnowem, Zofia robotnicą w Tarnowie i mieszka tam z matką. Niezamężne.

Młodszy **Franciszek** był nauczycielem i też dość młodo zmarł osierociwszy córkę i dwóch synów. Jeden jest gdzieś urzędnikiem, drugi agronomem. Hela, Roman i Marian. Wdowa żyje w Nisku

(Marian urzędnikiem skarbowym w Grudziądzu, Roman nauczycielem w szkole rolniczej w Żabiem, obaj żonaci).

Najmłodszy wuj **Jan** zmarł młodzieńcem będąc chorym na gruźlicę płuc. Choroba jego była podobno źródłem gruźlicy w naszym domu.

Ciotka Apolonia owdowiawszy 10 lat temu żyje przy najmłodszej córce Emilii wydanej za Płatka. Trzy starsze córki wyemigrowały do Ameryki i tam wyszły za mąż. Hela, Aniela, Kasia. Jedyny synek Tadzik zmarł w wieku 9 lat na serce. Tyle w krótkości o krewnych matki.

Matka, najstarsza w domu miała dopiero 14 lat gdy ją wydani za mąż. Niezbyt chętnie szła za grubo starszego od niej i nie grzeszącego zbytnią urodą człowieka, ale o sprzeciwie nie mogło być mowy. Rzecz była między ojcami ułożona. Ze śmieszno-zazdrośnickich, mocno już wtedy śmiesznych przymówek ojca coś ze dwa razy zasłyszanych dorozumiałem się, że młodej Kasi wpadł w oko jakiś oficjalista czy dzierżawca nazwiskiem „Sztom”, który nie był od tego, aby z pannicą, piękną blondyneczką nie poflirtować. Skądinąd wiem od niej samej, że oświadczał się jej z gorącym afektem syn gospodarski z Kawęczyna Piotr Swół?, którego pamiętam jako statecznego gospodarza, zawsze z dużą fajką i z piękną jakby z

marmuru wykutą głową choć mocno łąsą. Biedaczysko tak kochał się w swoich koniach, iż przy mobilizacji trzema w roku 1914 mimo podeszłego wieku tam pojechać się uparł swym mobilizacyjnym „forzpanem” w obawie aby mu kto obcy koni nie zmarnował i na wojnie dostawszy tyfusu zmarł. Prawie równocześnie zginął od kuli karabinowej jego najstarszy syn Stanisław, niewiele starszy ode mnie, ongiś uczeń tego samego gimnazjum, później urzędnik powiatowy. Matka wolałaby wyjść za Swóła, lecz stało się, że musiała wyjść za Pisarczyka.

Wojciech (1)

Zamieszkali w szkole w Brniu i tam po 2 latach pożycia przyszedł na świat najstarszy brat **Wojciech** (1), 18 lat starszy ode mnie, którego bez wąsów nie pamiętam. Obecnie jest kierownikiem szkoły powszechnej w Nadbrzeziu pod Sandomierzem, przechodzi teraz w stan spoczynku po 40 letniej pracy nauczycielskiej.

Opiszę teraz w krótkości jego dzieje, gdyż w trakcie mego życia w domu rodzinnym spotykałem się już z nim tylko jako gościem. Był więc Wojtuś ładnym, zdrowym chłopcem, nos tylko nieco fajkowaty po ojcu odziedziczył, zresztą przypominał zupełnie matkę. W ogóle podobieństwo matczyne przeważało u nas wszystkich. Zresztą z biegiem lat, jak to rzeczywiście nieraz w małżeństwach bywa, nastąpiło pewne zbliżenie rysów u matki i ojca. Tylko krzaczaste długie brwi no i ...grube wąsy i nieco siwizną przyprószone, przyrzedłe czarne włosy odbijały od nikłych bladych brwi i jasnych włosów matki. Zrozumiałe, że pamiętam ich już tylko w podeszłym wieku, ojca z siwymi wąsami. Kiedyś były one podobno „szade” jak u szatynów. Wojtkowe wpadały już więcej w kolor żółty. Zdrowiem cieszył się ten chłopak najlepszym z nas wszystkich. W chłopięctwie tylko pochwyciła go epidemia duru brzuszego, czy plamistego nie wiadomo. Zresztą nie wiedział nawet co to ból zębów. Żywego usposobienia i gadatliwy choć figle i psoty się go trzymały, był zawsze lubiany przez otoczenie. Nowy nauczyciel Kolman uznał, że posiada duże zdolności do nauki i powinien być wysłany do szkoły średniej. Zdolności miał rzeczywiście, ale trochę mniej chęci i pilności. Po jednorocznym uzupełnieniu potrzebnych do gimnazjum początków języka niemieckiego w szkole ludowej w Mielcu został posłany do gimnazjum nr 1 w Tarnowie. Wtedy mieściło się już w nowym gmachu przy seminarium duchownym. Zachowanie się jednak ucznia poza szkołą pozostawiało niejedno do życzenia. Bicie szyb, bicie Żydów z dobraną paczką itp., zmusiły ojca do umieszczenia go w bursie św. Kazimierza. Ale i w szkole samej nie obywało się bez dotkliwych psot, które kosztowały ojca nie tylko zgryzoty ale i pieniędzy. Postępy w nauce też na tym traciły, uczniowi uprzykrzyła się buda i z drugim kolegą zwiął z klasztoru Bonifratrów, nie pamiętam już gdzie. Ale i stamtąd zwiął niedługo

powróciwszy na łono rodziny, aby po odebraniu „należnej porcji” zostać odwiezionym z powrotem do Tarnowa, tym razem za poradą Kolmana do seminarium nauczycielskiego, gdzie jako byłemu uczniowi IV klasy gimnazjalnej skrócono kurs o jeden rok /przyjmowano do „przygotówki” po II klasie/. Jakoś tam skończył i objął prowizoryczne stanowisko nauczyciela w Tarnobrzegu, gdzie pracował blisko lat 10, następnie kierownictwo szkoły wiejskiej w Nadbrzeziu. Tam go dopiero poznałem bliżej mając lat 13, gdyż bawiłem u niego przez 3 niespełna miesiące roku 1904 uzupełniając swe braki wykształceniowe w języku niemieckim przed egzaminem wstępnym do gimnazjum. Mieszkał tam u pewnej słomianej wdowy – Ruckiej /mąż był w Ameryce/. Na śniadanie wypijał tylko kubek czystej herbaty, na obiad najczęściej zjadał tylko talerz gotowanej wołowiny, no a na kolację nie przychodził w ogóle, często i posłanie czekało na próżno do rana. Czas schodził na graniu w karty, pijatykach to z kolegami okolicznymi to z miejscową „inteligencją” /strażnicy celni, żandarmi, księża/. Wyglądał mimo to świetnie, barczysty, o grubym karku, wszelkie dolegliwości cielesne leczący doraźnie rumem „Kuba”. Dla wesołości i dowcipu niepośledniego lubiany był wszędzie. Zwano go wśród przyjaciół „Pytłas” – jak sam twierdzi z powodu przyrównywania dla siły fizycznej do modnego wówczas Pytlasińskiego – atlety, a jak mnie się zdaje z powodu „pytlowania” tj. gadatliwości. Trzydziestka już kawalerowi przechodziła a do żeniaczki mu nie było pilno. Usiłowali go wyswatać rodzice, znowuż w sferach oficjalistycznych, na nic. Słyszałem będąc w Nadbrzeziu o zakusach tamtejszych niektórych dziewczoi na jego wolność. Bez skutku. Jednak przed losem nie uciekniesz. Niedługo po moim wyjeździe zwiększono etat nauczycielski w Nadbrzeziu o jedną „siłę”. Dotąd był sam. Była nią prowizoryczna nauczycielka /bez ukończonego seminarium, takie wówczas z powodu wielkiego zapotrzebowania przyjmowano/. Cecylia Klimczykówna rodem z Przemyśla, ukrainka. Całym jej bogactwem była niezwykła werwa, wesołość i ładny altowy głos. Wydatny nos potrafiła jednak nosić z wielkim wdziękiem i czasem mogła nawet ujść za przystojną. Jak tam było to było, dość że gdzieś w początku roku 1905 otrzymują rodzice ze zdziwieniem wiadomość, że najstarsza latorośl się żeni. Co nie poradziły swaty, poradziła siła przyzwyczajenia do tego co blisko, a o to łatwo u człowieka, który „dojrzał” do małżeństwa. Wszyscyśmy mniej więcej grzeszyli w ten sposób i matka nieraz później już z rezygnacją i sarkazmem mawiała: „No, wyście wszyscy wyrywni do żeniaczki jak Żyd do flaszki, pod nos wam chyba podstawić”. Ożenił się więc Wojtuś /przepraszam – „Wujcich” – nigdy my młodszy inaczej o nim się wyrażali/, biedę małżeńską klepał, bo to całe gospodarstwo od początku trzeba było zaczynać a tu i nieco długów się zrobiło. W roku 1906 (1905?) przychodzi na świat synek Tadek, wykapany prawie ojciec, nawet z tym samym

charakterystycznym chodem „od siebie” /tym samym chodem i mnie natura obdarzyła, innych nie/. Łobuz żywy jak rteć, do nauki trochę leniwy ale złotego serca chłopak. Wkrótce przybył i drugi potomek Wiesław, usposobienia matki, bo więcej do niej podobny, zawsze niby chorowity ale zawzięta sztuka, w bójkach dziecięcych walczył do upadłego ze starszym bratem i aż siniał z bezsilnej wściekłości, gdy tamtemu przyszło na myśl, że przestrzegać? starszeństwa musi być utrzymany i ustąpić nie wolno. Córeczka i trzeci syn zmarły w 1-szym roku życia. Druga córka Marysia urodzona w roku 1912 przeżyła już nędzę wojny ale jej prawie nie pamiętam. Z wybuchem wojny Wojtek mając lat 40 powołany zostaje jako pospolitak starszego rzędu /służy Land szturm/ i przydzielony do miejscowego posterunku żandarmerii. Posterunki te tworzyły osłonę mobilizacji ogólnej i koncentracji. Właśnie oddziały osłonowe koncentrowały się dalej od granicy. Granica tuż. „Rosyjski” Sandomierz widny jak na dłoni, o celny strzał karabinowy. Wkrótce ruch wojsk na linii Dębica – Nadbrzeże stał się szachowy, Sandomierz prawie bez oporu zajęto a żandarmeria tamtejsza odeszła osłaniać ruchy wojsk w kierunku na Radomyśl nad Sanem. Służbę osłonową na tym odcinku cechowała wielka dezorganizacja. Nikt nigdzie nie wiedział czy ma przeciwnika za sobą czy przed sobą. Moskale też zresztą operowali tam tylko oddziałami osłonowymi. Czasem przychodziło do „mimowolnych” potyczek. W jednej z nich tylko trafem „Wojtek uniknął śmierci, gdy wysłany we dwójkę na patrol natknął się na silniejszy patrol rosyjski zajęty w jakiejś zagrodzie polowaniem na ...gęsi. Nie wiadomo czy przywitani Moskale strzałami zza płota a ci nie pozostali dłużni. Wszyscy strzelali szybko na oślep. W pewnym momencie Wojtkowi czapka zleciała z głowy i gdy schylił się by ją podnieść – akurat kula moskiewska przebiła słupek w płocie na wysokości jego głowy. Jak nagle strzelać zaczęli tak i nagle obie strony przestały strzelać i Moskale ponabijawszy na bagnety każdy swą gęś odeszli w las. Z trudem potem Wojtek z towarzyszem odszukali swój oddział, którego dowódca, jakiś stary Czech, porwał się czym prędzej do odwrotu usłyszawszy gęstą strzelaninę bo sądził, że cała armia rosyjska na niego wali. Tymczasem armia Dankła podsunęła się pod Lublin i Wojtek wraz ze swym posterunkiem na krótko wrócił do Nadbrzezia w domowe pielesze, bo wnet nastąpił odwrót, w czasie którego przydzielono go jako przewodnika /gdyż znał teren/, do jakiegoś szpitala polowego, potem kazano eskortować jakąś siostrę Czerwonego Krzyża. W czasie tej wędrówki, znalazłszy się blisko Brnia wstąpił na parę godzin do rodziców. Pierwszy raz go wtedy widziałem w rynsztunku bojowym. Byłem bowiem w domu, gdyż oszczędziła mnie pierwsza mobilizacja jako rocznik 1891, właśnie przed miesiącem przed komisją poborową przeglądany po raz trzeci /w czerwcu/. Zmizerowany był i obrośnięty ale pocieszał się jak wszyscy, że „może dzieciakom naszym po

tej wojnie będzie lepiej”. Pożegnał nas wkrótce i jak się potem okazało, nie prędko znów zdążył odnaleźć swój posterunek, przebywszy /pieszo/ całą Odyseję. Zima i wiosna 1915 zeszyły mu na stanowisku gdzieś koło Bochni. A tymczasem w czasie odwrotu wojsk jak wszędzie tak i w Nadbrzeziu szerzono panikę przed następującymi Moskalami, tym bardziej, że poprzez Wisłę strzelać poczęto. Wielu mieszkańców Nadbrzezia usiłowało się więc „ewakuować” w bezpieczniejsze miejsce. Tak samo „Ceśka”. Mogła wziąć z sobą tylko tyle, ile unieśli obaj chłopcy /jeden 8 lat drugi 7/ bo sama nieść musiała trzymiesięcznego „Wojtusia” i prowadzić dwuletnią „Marynię”. Uciekli daleko, bo do ... Sokolnik, wsi o 5 km na wschód od Nadbrzezia położonej. Za powrotem okazało się, że mieszkanie zostało do cna prawie złupione, rozumie się przez życzliwych sąsiadów. Mało co z tego odebrano. Ach, pomyliłem się, Wojtek wrócił raz jeszcze, a to we wrześniu 1914 do domu /tj. posterunku do Nadbrzezia/, kiedy Austriacy opamiętawszy się z powrotem ruszyli na północny wschód, odebrali Sandomierz, lecz osiągnęli tym razem tylko linię Sanu. Wtedy to /z końcem października 1914/ udało mi się z wielkim trudem wydostać ze starostwa w Mielcu pozwolenie na wyjazd do Nadbrzezia, gdyż uważaliśmy z rodzicami, że trzeba koniecznie prowadzić „Ceśkę” z dziećmi do Brnia, gdzie spodziewaliśmy się przynajmniej głodu nie zaznać w razie ponownej okupacji przez wojska rosyjskie, którąśmy przewidywali. Pierwszy raz wtedy jechałem koleją w czasie wojny i to blisko frontu. Dziwnym mi się wydało to zamarcie zwykłego ruchu podróznego. Samo wojsko, baraki przy stacyjkach, sama jazda niezwykle szybka, to znów ślimacza z długimi postojami. W Nadbrzeziu na stacji duże baraki, w których gospodarzyli pospolitacy starszego powołania u służby etatowej. Wśród nich spotkałem tam Jana Bednarza, kowala z Brnia i gorzelnika z Łysakowa pan Wilta zwanego przez władzę „Tujkiem”, naszego wspólnego przyjaciela. Obaj niedługo potem pomarli. Kowal na zapalenie płuc, gorzelnik na gruźlicę. W szkole zastałem Wojtka z rodziną, wśród opustoszałego mieszkania, klasy, chałupy zajęto przez wojsko, wszędzie ruch i zaśmiecenie. Teraz radziła sobie rodzina jeszcze jak mogła, ale zgadzano się z tym, że w razie ponownego odwrotu lepiej będzie kobiecie z dziećmi do Brnia uciekać. Przede wszystkim sądziliśmy /jakże mylnie!/, że tak dziura w bok od główniejszych traktów będzie najspokojniejsza. Na razie jednak sprawa nie była aktualna, o ponownym odwrocie chodziły tylko słuchy. Wojtka akurat komendant wysłać musiał służbowo do Dębicy czy Tarnowa ale przyrzekł mu, że w razie czego zrobi wszystko, aby rodzinie wyjazd ułatwić. Wybrałem się więc wraz z Wojtkiem na stację, bo czas mego pobytu był ograniczony. Widziałem w Nadbrzeziu po raz pierwszy ewakuację rannych z pola walki. Od strony Sandomierza przez nowy /polowy/ most na Wiśle ciągnęły chłopskie podwozy po zoranej, zepsutej drodze

uważając po dwóch rannych, oficerów po jednym. Zwracał uwagę jakiś olbrzymiego wzrostu porucznik rosyjski ranny w rękę. W drodze na stację /był przejmujący, nocny, październikowy chłód/, skonstatowaliśmy, że huk armat jest jakiś o wiele bliższy niż w dniu poprzednim. Ruch cywilny na boki był już zupełnie zamknięty, o bilet się już nie można było dopytać, wsiadłem wraz z Wojtkiem z innymi żołnierzami do jakiegoś pustego towarowego wozu /przy pociągu dla ewakuacji rannych/ i w Mielcu go pożegnałem. Odtąd zaczęła się jego Odyseja, tj. poszukiwanie swego posterunku po całym zachodnim Podkarpaciu. O niź lepiej jego samego spytać! Sam wysiadłszy w Mielcu o mało życiem nie przepłaciłem nieostrożności. Przy wyjściu stał z bagnetem jakiś starszy pospolitak Węgier, który uparł się mnie nie wypuszczać z peronu. Może miał takie instrukcje, w każdym razie nie mogąc się z nim dogadać postanowiłem wydostać się na ulicę bokiem znana mi drogą koło magazynu. Nie wiedziałem, że stał tam drugi wartownik, którego zbudził szelest kroków i przerażony, że mógł kogoś, może szpiega, przepuścić już broń zaczął repetować. Na szczęście w porę jeszcze usłyszałem przerażone wezwania: „Kehrt euch!” i wróciłem się. Z biedą dopytałem się o urzędnika ruchu, nietutejszego, lecz zmobilizowanego jakiegoś Szwaba, który zorientowawszy się w sytuacji nie podarował mi jednak jazdy na gapę i musiałem uiścić normalną cenę biletu karnego. Niedługo, bo zdaje się w 5 dni potem przyjechała „Ceśka” z dziećmi do Brnia, z biedą wyszukawszy jeszcze jakąś podwodę w Mielcu.

Druga inwazja nastąpiła wkrótce /ok. 10 listopada/. Po pewnym czasie zaczęła mocno tęsknić za środowiskiem do którego przywykła, za domem opuszczonym, za kumoszkami. W szczególności dokuczał jej brak tytoniu, była bowiem namiętna palaczką. Umyśliła więc sobie powrócić do Nadbrzezia. Darmo perswadowaliśmy i łajaliśmy w końcu. Komunikacji żadnej nie było, puszczać się wozem nie było ani bezpiecznie ani sposobu. Ojcu pozostawała tylko jedna stara szkapa i młode źrebię. Więc nie mówiąc nic nikomu i pożyczwszy od naszej starej przyjaciółki „Motylki” w tajemnicy 1 koronę na drogę wybrała się sama piechotą. Dobre 6 mil. Można sobie wyobrazić oburzenie matki i moją złość. Na miejscu widocznie zorientowała się, że potrafi sobie choć i z Moskalami dać radę i po upływie tygodnia wróciła zmówiwszy sobie podwodę z Trzciany. Był tam chłop sklepikarz, przesiedlony niedawno z Tarnobrzieskiego, znany jej, niejaki Biernat, który wówczas odnowił swój handelek jeżdżąc po towary do Sandomierza. Miasteczka Galicyjskie były wtedy jeszcze do cna opustoszałe. Mimo naszych protestów zabrała dzieci i swe skromne tobołki i wyruszyła /zmarła w 1935 roku/. Nie szło jej łatwo w domu, zarabkowała prowadząc stołownię oficerską, chłopcy za przykładem innych nauczyli się ściągać co się dało po składach i jakoś przetrwali okupację. Synek jednak najmłodszy zmarł. Ładny był chłopczyk,

we Brniu chował się świetnie na razowej pszennej mące z mlekiem, bo matka nie karmiła. Dopiero po ustąpieniu Moskali w czerwcu 1915 roku dowiedzieliśmy się o tym. Wrócił wreszcie i posterunek żandarmerii Wojtka na swe miejsce a w parę miesięcy potem zakończył Wojtek swą żołnierską karierę wycofany z szeregów do pracy zawodowej w swej szkole już od roku przeszło zaniedbanej. W roku 1916 przychodzi na świat córeczka Danusia a w parę lat później „Niunia” /Anna/. W roku 1919 oddaje obu synów do gimnazjum w Tarnobrzegu. Raz odwiedziłem ich tam z ojcem na stacji. „Tadek” ku niezadowoleniu ojca nieświetnie robił postępy. Kiedy w Sandomierzu otwarto gimnazjum /w roku 1920 czy 1921/, przenieśli się tam.

Na klasie zdaje się trzeciej „Tadek” skończył swą średnią edukację i oddał go ojciec do szkoły ślusarskiej w Świątnikach pod Krakowem. Odwiedzał mnie stamtąd czasem, kiedy w roku 1921 byłem w Krakowie zdawając doktorat. Lubiliśmy wszyscy tego chłopca, choć niezbyt skorego do nauki i trochę popędliwego i pomagałem mu jak mogłem finansowo w czasie „studiów” w Świątnikach, bo czasy to były ciężkie dla ojca, jak dla wszystkich zresztą wtedy kto nie był paskarzem. Po skończeniu tego zakładu, w wieku lat 18 zgłosił się ochotniczo do służby wojskowej w marynarce wojennej. Trzy czy cztery lata przesłużył i w Gdyni osiadł ożeniwszy się z Kaszubką. Ma obecnie syna „Zbigniewa”, podobnego sobie łobuza; 4 letniego Wiesława /zmarł w wieku 9 lat; także „Marian” („Marek”) i ?/. Pracuje przy dźwigach portowych.

Młodszy brat Wiesław ukończył gimnazjum w Sandomierzu, wydział filozoficzny /polonistykę/ we Lwowie i obecnie już drugi rok /po odbyciu służby wojskowej/ pędzi belferkę w gimnazjum prywatnym w Staszowie /ożenił się w roku 1938/.

Obaj chłopcy są tego wyrośnięci i świetni pływacy.

Marynia skończyła przed dwoma prawie laty seminarium nauczycielskie w Sandomierzu ale trafiła akurat na kryzys i hiperprodukcję w swym zawodzie; nie wiem czy do tej pory zdążyła odjąć jakie stanowisko. Pod względem fizycznym, manierowym wykapaną matką, tylko lepiej rozrośniętą /wyszła za mąż za Szalkowskiego w roku 1935; córki Urszula i Magdalena – Nowa Huta/ .

Młodsza Danusia /wyszła za mąż za Achenbacha w roku 1938; syn Adam (jego córka Ewa) i Andrzej/ portret Tadek, blondynka, z ładnymi niebieskimi oczyma jest jeszcze uczennicą w seminarium, tak samo jak „Niusia” /McKay – Australia/.

Stary trzyma się jeszcze dobrze, choć już wódeczność nie bardzo mu służy i kawałów z piwem dziś już nie pokaże takich jak np. w czasie naszej podróży w roku 1924, kiedy na stacji w Sączu wytrąbić potrafił 18 bomb jedna po drugiej. Ale humorem jak może nadrabia,

jego listy były zawsze ewenementem. Co prawda tylko ten humor, usposobienie mało przejmujące się a przynajmniej nie na długo – pozwoliły mu przetrwać niejedne ciężkie chwile. Zdolności ma duże i na dobrą sprawę mógłby zostać świetnym felietonistą. Obecnie przechodzi na emeryturę /zmarł nagle na serce w roku 1937/.

Stanisław (2)

W szkole w Brniu przyszedł na świat drugi jeszcze z kolei potomek rodziców **Stanisław (2)**. Zmarł, zdaje się na tyfus mając lat 14. I jeszcze trzeci **Jan (4)** /był jeszcze **Władysław (3)** zmarł jako niemowlę i był to trzeci faktycznie syn/ tam, a może już w domu dziada urodził się. Kiedy bowiem Kolman objął stanowisko kierownika szkoły, nową szkołę zaczęto budować w Kawęczynie dla obu wiosek, rodzice przenieśli się na Zadworze do dziada prowadząc wspólnie gospodarstwo. Nie bardzo mile wspominała matka tę wspólnotę. Dziadostwo byli dość przykrymi świekrami, babka zwłaszcza zrzędziała starowina, która w parę lat później zmarła. Wtedy obróciły się w niwecz kalkulacje majątkowe rodziców. Dziad bowiem ożenił się powtórnie, miał nowe dzieci, dokonał nowego podziału jak się rzekło pobudowawszy sobie osobną zagrodę. I rodzice musieli starą opuścić bo waliła się. Pobudowali nową obok nowej dziadowej na 4 lata przed moim przyjściem na świat. Nie świetnie ona wyglądała. Stodoła na dębowych filarach opłotkowana, stajnia ze starego materiału, jak pamiętam już sypała się, dom, choć jak na tamtejsze stosunki dość obszerny, ale niezbyt solidnie postawiony, za świeży materiał /drzewny/ nie był dostatecznie wyschnięty, funkcjonowanie pieca zawsze kulało, stąd i wilgoć, zwłaszcza w zimie i chłód dawały się we znaki. Dom był na przestrzał przedzielony sienią, ale od jej północno zachodniej strony nie było wejścia. Stała tam przy ścianie „stępa”, pierwszy przyrząd, który intrygował ma dziecinną wyobraźnię. Po stronie zachodniej izby mieszkalne, tj. kuchnia i pokój. W kuchni jedno okno na północny zachód z widokiem na „kinet”, Szafranów i las Łysakowski, drugie na północny wschód z widokiem na ogród i dalsze chałupy Zadworza. Z pokoju jedno okno na północny wschód, drugie na południowy wschód z widokiem na „górkę” i „Dwór”. Czas pora zimową spędzaliśmy głównie w kuchni. Po drugiej stronie kuchni mieściła się komora i „komórka”. W półmroku tej ostatniej stał ręczny kołowy młynek do mielenia zboża, zwany przez nas „kierat”, zawsze jednak kiepsko funkcjonował i woleliśmy mleć w żarnach. Przodem stały tam beczki z kapustą kiszoną, zsypywało się ziemniaki i buraki do podręcznego użytku i mieściła się tam mała piwniczka a właściwie ryty dołek na garnki z mlekiem. W komorze mieściły się deskowe przegrody na zsypywane zboże, kącik na mąkę, kilka pak, skrzynia spiżarniana, no i półka, na której, gdy nieco podrosłem, jałem odnajdywać cenne dla mnie skarby; szpagaty,

żelaziwa, jakieś końskie chemikalia i ... wybrakowane papierzyska i książki. Niejedną ciekawą rzecz między nimi znalazłem. W komorze i pokoju mieszkalnym były podłogi z dech – zdaje się unikat wtedy we wsi. Oba okna pokoju wychodziły na „ogródek”. Rosły tam tylko kwiaty od południa i włoszczyzna od wschodu. Od południa przysłaniał okno poza tym pora letnią wielki krzew winogronowy. Winogrona rodziły się tam bardzo dobrze i dojrzewały dobrze dość wcześnie. W ogóle kąt tu między Tarnowem i Tarnobrzegiem obdarzony jest klimatem najłagodniejszym w Polsce poza Zaleszczykami. Latem bywają tam burze isticie Mickiewiczowskie z tak typowym przebiegiem, że po czasie pojawienia się chmury na horyzoncie, sposobie przypiekania słońca, po wyglądzie chmury można było z góry przewidzieć jej skutki. Burz tak gwałtownych lub długotrwałych nie spotykałem w innych częściach kraju. Biada dachowi, co niezbyt mocne miał wiązanie, owocom w sadzie, drzewom trochę nadłamanym! Pożary od piorunów były dość częstym zjawiskiem. Pamiętam niejedną noc, co cała uszła na grzmotach i oświetlona prawie ciąglą błyskawicą. Poza ogródkiem niewielkie obejście, które zamykała od południa stajnia, od wschodu sad. Założył go brat Janek przy pomocy moralnej Kolmana. Prostokątny, około $\frac{1}{4}$ morga polskiego wynoszący miał od południowej strony grządkę na jarzyny, dalej krzewy winogrodowe, dalej krzewy agrestowe o porzeczkowe, wreszcie drzewa owocowe. Było coś 12 gatunków jabłoni, 8 gatunków grusz, 2 gatunki śliw, jedna czereśnia, dwie wiśnie, razem ok. 48 drzew. Naturalnie było to za gęsto, pokazywało się to dopiero, gdy drzewa wyrosły. Gałęzie dolne nie mogąc się do słońca dostać pousychały, trzeba je było obcinać a górne pięły się coraz wyżej, tak że za lat kilkanaście były to już wysokie drzewa, z których zbiór trudno było zebrać. Płot przy obejściowy – zachodni wysadzony był agrestem, także płot północny /względnie północno zachodni/, już na starym obwałowaniu Brnia położony. Płot północno wschodni wychodził na pole uprawne ku „Kapinosowi”. Ten kawałeczek ziemi był może najżyźniejszy z ojcowej „włości” ale chwastem zarastał nie gorzej od łąki. Zapewne było to kiedyś tzw. chałupniko lub stajniko. Sad przedzielony był wzdłuż dróżką żwirem drobnym wysypaną szeroką na 1,20 metra, obramowaną długimi wąskimi grządkami z kwiatami, ziołami pachnącymi, leczniczymi i malinami. Przez środek w poprzek także dróżka lecz nie obramowana, do komunikacji bocznych służyły wysypane piaskiem węższe ścieżyny. Ładnie więc to dość wyglądał, zwłaszcza gdy drzewa nie były jeszcze zbyt duże no i dopóki spoczywały na tym wszystkim oko i ręka Janka i siostry Zosi, bardzo w początkach ogrodowych zamięłowanych. Zapomniałem wspomnieć o posadzonych przez nich świerkach i jodłach przy płocie wschodnim. Kilka z nich rozwinęło się z czasem w piękne chojaki; w kącie wschodnim w ziemi ławeczka, jakby w zakrytej altance. Tam nie raz lubiłem się

zaszywać później z ciekawą lekturą. Po śmierci wspomnianego rodzeństwa sadek podupadał coraz więcej na wyglądzie, młodszy nie mieli ku temu ani odpowiedniej wiedzy ani zapachu, rodzice czasu. Za moich czasów lat młodzieńczych sad był już na pół dziki, dziś – nie wiem czy istnieje jeszcze, Wbrew jednak kazań moralistów, co twierdzą, że przykładem tylko kołki się uczy pożytecznych rzeczy – nie zauważyłem aby ten przykład sadownictwa kogoś we wsi w przybliżony sposób zaraził. Do dziś sadownictwo tamże, o ile kultywowane w ogóle, nie wyszło poza ramy mizernego prymitywu. Chłop tamtejszy ma jakby pogardę do owoców, z wyjątkiem może śliwek. To też najchętniej jeszcze szarej (?) śliwy. Reszta to „małerkłasy”, prawie dla „ciurachów”. Od tego tylko brzuch może boleć a naprawdę się nie pożywi. „Mój tatuś ani mój dziadek nigdy „hangryzoni” /agrestu/ nie jedli a żyli, mogą i ja” – mówi babci mój rówieśnik kiedy przy jakimś handlu zamiennym nie mogliśmy dojść do zgody. Moim towarem był właśnie agrest.

Ten agrest na krzakach z zwłaszcza od strony „kinetu”? nieraz śni mi się do dziś, gdyż bywało, że godzinami, np. podczas wakacji później wylegiwałem się pod tymi krzakami nie próżnując. W rogu zachodnim /kacie/ stała osika, dziś już duże drzewo, ja je jeszcze pamiętam młodym. Za to osika na rogu południowym już na polu przy drodze poza sadem stojąca utkwiała mi w pamięci już jako potężne drzewo, z konarami wysoko podciętymi, tylko z czubkiem rozłożystym, pień około 1,5 metra średnicy. Mówiliśmy – „topola”. Sadził ją pono ojciec mając lat 10 a więc liczyła sobie około 50 lat. Obok „topoli” od wrót szła dróżka ku „Dworowi”. Zaraz po prawej stronie kawałek dość dobrej ziemi /bo stare chałupisko/ wykorzystywany był prawie zawsze na jarzyny pastewne, a więc buraki, kukurydzę, brukiew, koniczynę. Dalej trójkątna nieduża łączka zwana przez nas młodszych „pastewnikiem”, przez starszych „dołkiem”, bo przy starej chałupie dziadowej była tam sadzawka. I później w czasie deszczów można się tam było wykąpać w wodzie lub nasłuchać żabiej orkiestry. Po lewej stronie dróżki siano najczęściej konopie, stąd specyficzny miał ten kąt zapach i urok. Między konopiami a sadem zostawiał ojciec zazwyczaj kilka zagoników na kwadratowy ugorek, bo lubił tam wieczorem przy swej osice wypoczywać po pracy pilnując pasących się koni na koniczynce ugorku. To miejsce, albo na „wałku” było od strony „kinetu” było najsposobniejsze do dumań wieczornych, wsłuchiwanie się koncert nocy, jaki wyprawiały żaby „kinetu”, roje komarów swym brzękiem i psów szczekania. Słowików tam nie słyszałem, prędzej sowy. Zaprzysięgły śpiewak tych stron to skowronek. Cieszy się też wielką u ludzi sympatią. Myśliwiec, co by się tam odważył zabić skowronka nie uszedłby na pewno z życiem. Sam uwierzyć nie chciałem, że są takie kraje, gdzie się na skowronki poluje.

A wieczory letnie tam rzeczywiście są piękne. Zorza wieczorna mało gdzie bywa tak uroczyście wyjaskrawiona, cisza z powodu akustycznego, lejowatego położenia w nocy tak dokładna, że odległe głosy słychać zda się blisko. Np. słychać wyraźnie dudnienie pociągu w odległości 15 km. W bagiennych zaroślach „kinetu” rozlega się czasem krzyk ptaka błotnego niesamowity, to znów krzyk sowy z dworskiej stodoły. Gdy woda wzbierze widok urozmaica się pluskiem wielkich drapieżników wodnych co nocą polują i podwójnym widokiem zorzy, bo w wodzie odbitym. Między „wałkiem” a „kinetem” rozciągał się kawał łąki zwanej „błoniem”. Nierówny był ten teren tego murawnika, spadający ku wodzie, względnie ku szuwarowcowemu i tatarakowemu bagnisku. Przy tym w kilku miejscach były doły zarośnięte bądź świeże, z których wybierano piasek i glinę. Piasek bywał czasem bardzo piękny „wiślany”, także znajdowało się dużo krzemków nieraz sporych, różnobarwnych, często pstrych. Kiedyś były tu widocznie przez Wisłę wyrzucane. W długiej wędrowce od Tatr pozostały z odłamów skalnych tylko części najtwardsze i wyszlifowane nieraz bardzo ładnie. Krzemki wielkości najwyżej pięści dziecka – takie było me pojęcie o kamieniu w dzieciństwie. Za „kamień” uważałem właściwie tylko kamień młyński i żarnowy. Innych bowiem kamieni tam nie ma.

Opodal domu był przy „kiniecie” stawek, zwany „brodek”. Służył bydłu za schronisko, jeśli w południe zbyt ostro cięły muchy i bąki po nogach, a nam za kąpielisko. Dno częściowo piaszczyste, więcej naniesione mułem, to też wychodziliśmy po kąpieli brudniejsi niż przed. Zresztą lubiliśmy za przykładem nierogacizny tarzać się w pobrzeżnym bagnie, choć nie wiedzieliśmy nic o kąpielach przeciwreumatycznych. Nasze dzieciństwo właściwie kształtowało się na tym „błoniu”. Najwięcej uroku miały końcowe dni kwietnia, gdy murawa świeżo się zazieleniła i wysypało się na nią bydło ze stajni przymorzone chudą paszą w czasie zimy. Dzieciaki wszystkich przybłoniowych gospodarstw /było ich sześć/ jako pastuszki mieli najlepszą sposobność stykania się i zbijania bąków. Kiedy trawa na „błoniu” była już mizerna, co zresztą wkrótce następowało, wyganiano tamże bydła i trzody chlewnej miało już tylko na celu właściwie przewietrzenie, popas odbywał się w porze rannej od 5tej – 9tej i wieczornej od 4tej – 8mej w „polu”, tj. na własnych łączkach, ugorach drogach polnych, miedzach. Rozumie się nie wolno było, póki pasza była obfitsza, pozwalać wydeptywać ją bydłu. Pastuszki musieli przez cały czas karmy ślęczyć też przy pyskach trzymając w ręku powrozy czy łańcuchy i umiejętnie poskramiać zapędy swych krówek i jałówek bacząc, by pasza dokumentnie wyjadana była ca po calu. Swobodniej wypuszczane były bydłatka dopiero, gdy susza i słońce prażące trawie szybko odrastać nie pozwalały. Że jednak i te

„pastwiska” nigdy obecne /wystarczające/ nie były a dookoła „szkoda”, tj. uprawione pole własne lub cudze, więc czujność pastuszka zdwajać się jeszcze musiała.

Nie wiecie zapewne, że pod tym względem dzielą pastuszkowie bydłota na dwie kategorie: „bawiące się”, czyli lojalnie skubiące da dozwolonym i „ciekające”, tj. wykorzystujące każdą chwilę nieuwagi pastuszka, aby podejść do „szkody” i skubnąć z niedozwolonej ziemi młodego owsa lub koniczyny. Ci co twierdzą, że krowa to głupie bydło, dobrze by zrobili przyjrząwszy się tej walce krów z pastuszkiem na chytrą. Pieśni pastusze i fujarki w tym mają swe źródło, bo bydło lubi śpiew i gwizd, chętnie przysłuchuje się zapomina o łakomości a pastuszkowi o to chodzi. Dziełem pasterzy niemuzykalnych jest pętanie i „przykrócanie” /przywiązywanie łba do nogi przedniej/ bydła, aby mu „ciekanie” utrudzić. Pasieniem bydła zajmowały się z reguły dzieci w wieku szkolnym, pilnowaniem świń i drobiu w wieku przedszkolnym. W wieku pozaszkolnym chłopiec awansował normalnie na parobka i pasał tylko konie, jeśli je miał, a jak nie – szedł na służbę lub emigrował „na Saksy”. Dziewczyna awansowała na „dziewkę”, tj. na pomocnicę matki w gospodarstwie domowym. U nas pasienia odbywało się najwięcej na tzw. „łące”, tj. połaci gruntu obejmującej około 10 morgów polskich o 1 km od domu na wschód, wzdłuż starego obwałowania Brnia. Była to niegdyś rzeczywiście mokra łąka dworska, którą ojciec odkupił od „Simsi”. Nie za gotówkę rozumie się, bo jej nie miał wiele, ale spłacał pożyczkę hipoteczną długie lata.

Niezbyt wdzięczny to był kawał ziemi. Orka była ciężka, skiby zasychały w wielkie twarde grudy wymagające ręcznego rozbijania, wymakanie wodą wymagało mozolnych, dość głębokich a licznych przekopów gruntowych, tzw. „przeczek”, każdy plon przerosły był tak różnym zielskiem a przede wszystkim ostem, że zbiór jego, choćby dla samego kłucia w palce do przyjemności nie należał. Ten stan rzeczy już ja pamiętam, przede mną było jeszcze gorzej. Jeszcze tam częściowo tylko miał glinę, przeważnie kwaśny, próchnicowy czarnoziem. Dziś, po latach wyprawy jest to już urodzajna gleba, zdolna rodzić wszystko, co w tych stronach uprawiają. Środkowa, najniższa część pozostała nie zaorana i na niej głównie spędzaliśmy swe lata dziecięce pasąc bydło. Urozmaiceniem tego monotonnego zajęcia był rechot żabi w bagiennym, dołki na środku łąki /dziś już murawą zarosły/ i błotne kwiecie, mrówkowe i trzmielowe gniazda a pod jesień pieczenie ziemniaków na ogniskach rozniecanych wysuszonym łajnem bydłęcym i końskim. Łączka wspomniana z biegiem lat ciągle kurczyła się, gdyż ojciec wraz to dalej ją podorywał powiększając w ten sposób grunt uprawny. Dziś może już nic z niej nie zostało. Pastuch oddychał pełną piersią dopiero w późniejszej jesieni, kiedy wszystko było zebrane z pola i wtedy dawnym zwyczajem zacierały się

granice własności i dozwolano bydłu bujać swobodnie nie pętanymi po ugorach, ścierniskach, kartofliskach, „niecynach” /rola zaorana, porośnięta chwastem/. Teraz znów jak na błoniach zbierać się mogli pastuszki i wyczyniać zabawy lub bajki opowiadać. Drugą taką sposobnością były lata, gdy z jakich bądź powodów z paszą kiepsko się zapowiadało na własnym polu. Wtedy za niewielkim czynszem dzierżawnym wynajmował ojciec od Żyda wypas na polach dworskich. Tak dla bydła, jak i dla pasących był to raj. Bydło w gromadzie na dużych przestrzeniach, nieskrępowane, zupełnie inaczej „bawiło się”, pilnowanie było tylko pro forma, a pastuchy oddawać się mogły najróżniejszym zajęciom. W takich czasach nauczyłem się kręcić baty, robić brzozowe miotły, łowić piskorze w kobiałkę, piec je na patyku itd.

Taki w krótkości opis sytuacyjny miejsca rodzinnego i warunków życia młodego pokolenia. Zapytacie, jak było ze szkołą, skoro dzieci szkolne z reguły były pastuszkami? Było to tak. Do szkoły godzina drogi /ok. 4 km do Kawęczyna/, nauka zaczynała się o 8mej, więc od 5tej do 7mej paśli, potem zastępowało ich pokolenie młodsze, wprawiające się, przedszkolne lub starsze. Jeśli nie było ani jednego ani drugiego - to po prostu szkołę odwiedzano tylko w porze roku niewypasowej. Więcej troskliwi rodzice posługiwali się w takich razach pastuszkami służebnymi. Własne dzieci mogły przez to uczęszczać do szkoły. W naszej rodzinie przeważnie ta potrzeba nie zachodziła.

Władysław (3), Jan (4)

Trzecim dzieckiem rodziców z kolei był brat **Władysław** (3); zmarł w niemowlęctwie. Czwartym **Jan** (4). Tego pamiętam już, choć przez mgłę. Miałem bowiem lat niespełna 6 gdy zmarł w wieku 19 lat. Był to wysoki, przystojny, smukły szatyn z włosami na jeża, muzykalny /najlepiej pamiętam jego skrzypce/ i podobno bardzo zdolny. Jak Wojtka tak i jego oddano później do gimnazjum w Tarnowie. W przeciwieństwie jednak do starszego brata był wzorowym uczniem tak pod względem postępów jak i zachowania. Przez grono nauczycielskie i kolegów bardzo lubiany i poważany. Podobno jeden pobyt wakacyjny z rówieśnym prawie wujem Janem w Rzochowie, chorym na gruźlicę płuc naraził go na zakażenie się tą chorobą. Męczące korepetycje, którymi pomagał sobie /rodzice żyli wtedy w ciężkich warunkach na dorobku/ przyczyniły się do rozwoju choroby. Patrzyłem na tragedię ostatniego roku jego życia, który już spędzał w domu. Dochodziła do mej świadomości przez malującą się rozpacz na twarzy matki, co już wtedy zmuszało mnie do smutnych refleksji. O śmierci w ogóle miałem wtedy takie pojęcie, że nie chciałem wierzyć, gdy po jego zgonie objaśniali mnie starsi bracia, że już nie wstanie, że to czeka każdego i mnie też. „Nic

podobnego, odrzekłem, jak będę miał umrzeć to ucieknę do Franki” /”Franka” była to komornica, córka nieślubna ciotki „Śtylezki”, niegdyś piastunka starszych braci, do której zawsze uciekałem, gdy coś zbroilem w domu/. Zmarł Janek będąc w klasie IV w roku 1897 w marcu. Matka długo nie mogła się z żalu utulić, ojciec milczał jak zwykle, lecz gryzł się nie mniej. Choroba ta nie pozostała bez realnych skutków w rodzinie. W dwa czy trzy lata później zmarła siostra Zofia na gruźlicę płuc w wieku lat 19 lub 20; w roku 1910 młodszy ode mnie brat Tadeusz; w roku 1924 matka w 66tym roku życia też na gruźlicę, ja sam /w roku 1896 lub 97/ musiałem kiedy po szeregu lat stwierdzono u mnie zwapniałe ogniska w płucach. Jednak poza kilkoma atakami silnego /nie do wytrzymania/ kaszlu niczego więcej nie odczuwałem przebycie później kilku ciężkich chorób zakaźnych nie wpłynęło na pogorszenie sprawy.

Aniela (5), Zofia (6), Maria (7)

Następnymi dziećmi były z kolei córki: **Aniela (5), Zofia (6), Maria (7)**. Ostatnia zmarła w dzieciństwie. Pierwsze dwie pamiętam już dorosłymi dziewczętami, przynajmniej mnie się tak przedstawiały. Anielkę lubiłem więcej, bo więcej się mną zajmowała, nigdy prawie nie karciała czy mnie, co zresztą wynikało z jej temperamentu. Nie mając sama zbyt dużego zamiłowania do porządku nie odczuwała potrzeby karcenia bałaganiących bachorów, skora do plotkowania i gawędy w braku innej sposobności potrafiła się naginać do naszego poziomu, no i ... nie targała za uszy za fałszywy ton przy śpiewania kolęd. Jak później się dowiedziałem stanowiła dla matki przedmiot wrażliwego kłopotu, gdyż jakkolwiek dość miłego usposobienia, nie mogła wytrzymać porównania z niewiele młodszą siostrą tak co do urody jak i inteligencji i gospodarności. Zrozumiałe, że ewentualni konkurenci oglądali się raczej za młodszą, co znów dla matek jest trudne do przyjęcia. Kiedy się więc trafił konkurent z drugiej wsi, z Kawęczyna, niejaki „Czepiel” Grzegorz, wdowiec 36 letni, właściwie zadurzony także w młodszej, lecz zbyt ślamazarny, żeby mu energiczna teściowa nie potrafiła narzucić swej woli – wydano za niego Anielką. W jesieni roku 1898 odbyło się w chacie naszej wesele, na którym Zosia zbierała główne laury jako starsza družka. Grał stary „Jeż” na kłarnecie a „Skwarowie” na skrzypcach i basach. W posagu otrzymała Anielka 1 000 zł, na które prócz długu ojciec sprzedać musiał część gruntu w latach pomyślniejszych nabytego, jałówkę i krowę.

Grzesia odwiedzałem nieraz w Kawęczynie. Nie wesoło się Anielce tam układały stosunki we wspólnym pożyciu z żyjącymi jeszcze świekrami, podobnie jak matce kiedyś. Grześ wprawdzie na ojcowiznie został, posiadłość starego Wojciecha podzielona jednak była

już między czworo rodzeństwa tak że jemu pozostało gospodarstwo 6 morgowe, co prawda dobrej, tłustej ziemi. Mieli 8-ro dzieci w tym 2 dziewczynki, najstarsza Marysia, zupełnie podobna do babki, starej Czepielowej. Ona dopiero dorósłszy zaprowadziła wzorowy ład w domu po śmierci dobrej lecz niezbyt ochędźnej matki. Synowie ładni, zdrowe chłopaki na ogół lecz trzeci z rzędu Władek, najsympatyczniejszy z nich uległ mając lat 9 kalectwu zachorowawszy na przewlekłe zapalenie kolana z następstwem zeszywnienia i przykurczeniem nogi. Drugi z rzędu Staś zmarł w roku 1918 prawie równocześnie z matką na gripę, która wtedy szalała i zabierała mnóstwo ofiar. Miała Anielka wtedy lat 40. Jasiek, najstarszy, Franek, Władek, Mietek, Stefan i (?) żyją z ojcem i gospodarzą się jak mogą na kupie; w innych czasach na pewno by wyemigrowali prawie wszyscy. Obecnie o to bardzo trudno a o zakładaniu nowej rodziny też zdaje się mowy nie ma.

Młodsza siostra Zofia. Pamiętam ją też niewiele, choć gdy wyjechała miałem już 7 lat. O wiele energiczniejsza od starszej – było jej wszędzie pełno. Lubiła bardzo śpiewać wzięwszy repertuar od Janka. Te piosenki, które znam, starej daty, pamiętam z tych czasów. Repertuar ten pisany był na kajeciku, który wziął a spadku Józek i przechowuje go do dziś. Pamiętam – stale podczas ślania łóżek rano śpiewała: „Patrz w jasne lazury, złotem bite tła”. Nie wiem czyje to, ale po stylu poznaję Słowackiego. Ballady i romanse Mickiewicza też mieściły się w tym repertuarze. My młodszy przechodziliśmy pod jej ręką nie lada szkołę śpiewu. Wieczorem o zmroku pousadzani w kuchni na łóżku lub obok musieliśmy odbyć zawsze śpiewanie coraz to nowszych pieśni okolicznościowych kościelnych, w szczególności w czasie kolędowym. Na nic senność czy brak ochoty, choć z płaczem trzeba było zawodzić a za fałszowanie były uszy w robocie. Najlepiej z nas śpiewał Józek dobrym sopranem. Oczytana była bardzo i „Pana Tadeusza” umiała na pamięć. Wyglądu dobrze nie uprzytamniam sobie. Miała konopne włosy, niebieskie oczy, ciemne brwi. Zdając sobie sprawę z ciężkiego położenia rodziców po śmierci Janka, wyjściu za mąż Anielki a widząc szereg rówieśnic masowo w tych czasach emigrujących do Ameryki, co sobie bardzo chwaliły, uparła się wyemigrować za ich przykładem. Mówili później niektórzy, że przeczuwając swój koniec nie chciała go dożyć na oczach matki mając w pamięci koniec brata. Z ciężkim sercem pożegnała ją matka, jakby przeczuwała, że jej już nie ujrzy więcej. Wyjechała w roku 1899 lub 1900. Pamiętam był to marzec.

Emigrowano wtedy z naszych okolic masowo, nie było domu, gdzie by przynajmniej jedno nie wyjechało do Ameryki. Rzadko kto z tych emigrantów posiadał pieniądze na drogę. Podróż kosztowała wtedy 240 koron /około 400 zł obecnie/. Najczęściej ktoś znajomy z Ameryki przysyłał nowicjuszowi kartę okrętową „sifkartę”. Kolej do Hamburga lub Bremy

kosztowała grosze prawie. Towarzystwa okrętowe, agencje emigracyjne miały tak zorganizowany swój wywóz towaru roboczego, że każdy bez szwanku i przygody dojechał jako pakunek. Kto znajomych nie miał wędrował najpierw przez parę sezonów na roboty do Prus, ażeby z trudem na tę drogę zarobić. Takie były syte pruskie płace robocze! Ale cóż, w kraju nie można było i tego zarobić! W sezonie najbardziej ożywionym, robotnik przy żniwach zarabiał po dworach przy młocce nawet po ...15 centów /około 50 groszy/ dziennie!

Czym więc żyły masy biedoty wiejskiej, to jest małorolni chałupnicy i komornicy? Zarobkiem emigracyjnym, w braku jego kradzieżą. Każda robota na folwarku była odpowiednia zorganizowana aby robotnicy mogli się z właścicielami podzielić plonami. Nie było takiego karbowego, który by sobie z tym zjawiskiem dał radę. Zresztą sam robił to samo na swój sposób. Ten stan rzeczy trwa zresztą wszędzie w Polsce do dziś i niejako te niskie płace w rolnictwie są świadomie na to kalkulowane. Pod tym względem mają rację obrońcy większej własności ziemskiej, gdy twierdzą, że dwory dają utrzymanie biedocie wiejskiej. Kraść bowiem w gospodarstwie jest o wiele trudniej. Ale z konieczności i to się zdarza i o ile tylko złodziej nie jest przyłapany na gorącym uczynku nikogo to zbytnio nie dziwi łącznie z poszkodowanym. Wiedzą że kradnie bo musi. Na szacunku ogółu, rzadko się zdarza, aby taki złodziej trafił. Chyba rabuś pospolity lub koniokrad.

Z naszych stron emigrowali najczęściej do stanu Massachusetts do fabryk tkackich, bo jedni drugich ściągali. Jakaś miścina fabryczna Bonsville była wtedy najczęściej na ustach. Tam też znalazła się Zosia. Niewesoły tam los ją spotkał. Biedaczka nie przeczuwała, czym opłacały przechwalające się znajome swe rzekome powodzenie życiowe w Ameryce. Przynajmniej te, co były przystojniejsze. Wkrótce przekonała się, że nie sposób gdziekolwiek w fabryce dłużej miejsca zagrzać nie narażając się na bezczelne propozycje ze strony dozorców itp. Spokój znalazła dopiero na służbie w domu prywatnym, niestety niedługo się już nim cieszyła. Choroba, której zawiązki przywiozła zapewne z domu robić szybko zaczęła postępy i zmarła w szpitalu, skreśliwszy jeszcze w dzień śmierci pożegnalny list do rodziców. Wkrótce zawiadomił ich szpital oficjalnie o jej śmierci; pamiętam nadeszłą kartkę z niebieskim drukiem po angielsku. Ojciec nairytował się na Olka, że nie był w stanie nic z tego wykombinować a przecież już chodził „do szkół”.

Młodsza siostra Marysia zmarła dzieckiem jak wspomniałem.

Franciszek (8)

Następny z kolei, czy też może przed Marysią był brat **Franciszek (8)**, od lat 30tu w Ameryce i tamże naturalizowany. Był już parobkiem jak go pamiętam, to znaczy opiekował

się końmi, sypiał w stajni i pracował końmi z ojcem. Niewysoki, barczysty, blondyn, mówili że byłem do niego bardzo podobny. Był to typ marzyciela o wielkich zdolnościach i wszechstronnych lecz zdaje się mało wytrwały. Nie było rzeczy, którejby nie próbował. Robił harmonię, rower drewniany, komponował wiersze i jasełka, fabrykował kostiumy, szył buty, stroił figle po weselach i przywoził bandom kolędniczym, a przede wszystkim czytał co mu w ręce popadło i następnie z upiększeniem opowiadał przygodnym słuchaczom. Gdy zbliżał się 21 rok życia /ja miałem wtedy lat 10 lub 11/ zwyczajem ówczesnym nie myślał tracić 3 lat życia na służbę wojskową. Wszyscy chłopcy przedpoborowi z reguły uciekali przed służbą wojskową do Ameryki, chyba notorycznie niezdolni. Ponieważ przeważnie wyemigrowaliby i tak później wobec musu ekonomicznego i poniekąd powszechnej psychozy wychodźczej, więc rząd niezbyt energicznie tym „szwarcunkom” przeciwdziałał. Zarabiali tylko Żydki trudniący się tym łatwym przemytem. Trzeba pamiętać, że między Austrią a Niemcami nie było przymusu paszportowego.

Wyjechał więc Franek w roku 1902. Służyło mu zdrowie lecz nie bardzo szczęście i spryt. Mimo stosunkowo dużej inteligencji nie zdołał się tak przynajmniej urządzić jak wielu jego kolegów głupszych od niego. Skłonność do marzycielskiego idealizmu rzuciła go w wir pracy społecznej /polityka, spółdzielczość/, co mu jednak przyniosło w rezultacie ciężkie straty materialne, niewdzięczność ludzką i zniechęcenie. Prędko opanował język angielski w mowie i piśmie. Zamiłowanie do dłubaniny nie opuściło go i tam. Sporządził sobie np. raz własnoręcznie warsztat tkacki swego pomysłu i tkał w wolnych chwilach dywany w mieszkaniu aż się domek trząsał. Lubił muzykę i próbował grać na różnych instrumentach, często własnego wyrobu. W Ameryce sprawił sobie fisharmonię. Ożenił się mając 27 lat z robotnicą emigrantką spod Frysztaku Katarzyną z domu Froduma, młodą, szczupłą i pono dość płochą dziewczynką, co go podobno kosztowało niejedną zazdrośliwą zgrzyotę. Mieli wkrótce syna Bolesława, wyrósł na wysokiego, szczupłego blondyna, jest podobno mechanikiem. Po wojnie urodziła się im córeczka. Cały ich dorobek to domek na przedmieściu w Lonsdale czy Woonsocket z ogrodem. W obecnych kryzysowych czasach w Ameryce muszą przechodzić ciężkie chwile. Nie tak było jednak 10 – 20 lat przed wojną. Przemysł, górnictwo i rolnictwo amerykańskie potrzebowały dużo rąk, każdy zdrowy człowiek mógł w ciągu kilku czy kilkunastu lat dorobić się jakiejś sumki, co mu pozwalało stanąć na nogi po powrocie do kraju. Można powiedzieć” Ameryka przeprowadziła na długo przed Witosem reformę rolną w Galicji, bo za amerykańskie pieniądze chłop wykupił u Żydów dworską ziemię. Ameryka dała dopiero chłopu poczucie swej godności ludzkiej i ubiła grunt dla rodzących się działaczy ludowych. Bez emigracji amerykańskiej nie byłoby ani

Stojałowskiego, ani Słapińskiego, ani Daszyńskiego, ani Bojki, ani Witosy. Nie byłoby też zastępu inteligencji rekrutującej się ze wsi co tak kolosalny wpływ miało na kształtowanie się losów Polski w okresie zawieruchy 1914 – 20 i potem.

Aleksander (9)

Młodszy brat **Aleksander** (9), urodzony w roku 1886, prawie 6 lat ode mnie starszy. Nie pamiętam go już pasącego świń, lecz bydło, najpierw sam. Później z młodszym o 2 lata Józkiem. Zabłąkałem się czasem do nich w pole, bo nęciły mnie ich gniazda trzmieli jakie tam wygrzebywali lub pieczenie ziemniaków w suszonych łąnch krowich. Dym unoszący się ku niebu z tego prymitywnego ogniska działał na moja wyobraźnię. Zniechęciłem się jednak wkrótce do tych eskapad, bo starsi wyręczali się mną w pilnowaniu bydła karcąc mnie w razie opozycji. Utkwiła mi w głowie jedna „bohaterska” ucieczka, gdy jako 5 letni bachor zdołałem ujsć Olkowi, co mnie gonił dobre pół kilometra. Pamiętam go jeszcze chodzącego do klasy III w Kawęczynie, poczym oddano go do pierworodnego Wojtka do Tarnobrzegu, aby tam w miejskiej szkółce mógł otrzymać początki języka niemieckiego, co było niezbędnym dla szkoły dalszej. Zdaje mi się, wpierw rok jeszcze uczęszczał do szkoły w Mielcu w tymże celu będąc na stacji. Gadulski był zawsze i lubił, gdyśmy później nieraz razem pasali bydło fantazjować na temat, jakby to było, gdybyśmy byli bogaci, lub opowiadać przeczytane powieściadła.

Po „edukacji” w Tarnobrzegu oddał go ojciec do tzw. szkoły wydziałowej w Tarnowie, umieszczając tam na coraz to innych ubogich stancyjkach, przeważnie szewców. Miało to ten skutek, że synalek, zawsze zresztą nie nazbyt do nauki chętny, przyszedł, może do słusznego przekonania, że lepiej buty klepać niż się uczyć. Przestał po prostu chodzić do szkoły pomagając swojemu opiekunowi, szewcowi Starostce w robocie. O czym jednak dyrekcja szkoły powiadomiła ojca i skończyło się na laniu. „Gdybym cię chciał kierować na szewca, to oddałbym cię do Jocha” – zawyrokował stary /Joch – Joachim Mendel był to niemrawy, ślepany Żyd z Brnia, trudniący się po trosze rzeźnictwem (dobijał zdychające bydło), po trosze szewstwem, po trosze handelkiem, a we wszystkim partaczył okropnie/.

Po dwóch czy trzech latach tej szkoły oddany został do tzw. „przygotówki” tj. jednorocznego kursu przygotowawczego przy seminarium nauczycielskim w Tarnowie. Po upływie roku przeszedł na I rok seminarium jako tzw. „kandydat”. Przez pierwszy i drugi rok mieszkaliśmy razem, początkowo na Pogwizdowie na Przecznicy szpitalnej w nędznej stancyjce u niejakej babci Otfinowskiej, mając okna na śmierzące podwórko. Jedna z córek gospodyni, stara panna, była ekspedientką w papierni Brauna, druga młodsza, bujna, dość

przystojna blondyna wodziła się z kornecistą 57 pułku piechoty, sierżantem Antoszem. Dziecko już było, a babka wmawiała w nas, że był i ślub. Po 3 miesiącach przenieśliśmy się na stację do wujenki Józefowej, zamieszkałej na Pogwizdowie o wiele dalej, przy Szpitalnej nr 15 w domku, pewnie króla Ćwieczka pamiętającym, należącym do murarza Bruzdy /jego syn czy wnuk jest obecnie posłem do Sejmu z BBWR/. Domek ten stoi do dziś, może trochę więcej wpadnięty w ziemię. Zajmowała tam wujenka jedną izdebkę wraz z dwoma córkami Anielą i Zosią i synem Eustachym /Staszkiem/. Starszy Jan mieszkał już w bursie. W tej izdebce my obaj z Olkiem mieliśmy też swe łóżko, sypialiśmy razem. Tak nabraliśmy w tym wprawy, że nawet dziś, po wielu latach, gdy się przydarzy, przybieramy w czasie snu takie pozycje, żeby jak najmniej jeden drugiemu przeszkadzał. Po dwóch latach tego gniecenia zdołał umieścić się Olek w internacie pod wezwaniem św. Stanisława. Opłacać tam trzeba było wszystkiego 4 korony miesięcznie, resztę skromnego, internackiego utrzymania pokrywało stypendium.

Orłem nie był, wkuwać się musiał dość mozolnie. Miał jednak zdolność krytycznego i obrazowego ujmowania sprawy, no i wcale niezłych nauczycieli. Skończył swe studia w 1909 roku. Trzeba było starać się o nauczycielską posadę. Dziś tyle się mówi o przepełnieniu w tym zawodzie, jak zresztą w innych, a przecież i wtedy nie szło to tak łatwo. Podanie złożono do powiatowych władz szkolnych w Mielcu /każdy zwykle, gdy tylko można było, ciągnął w swe rodzinne strony/ zostało odmownie załatwione – z braku wakansów – a może tylko należytego poparcia. Ten sam los spotkał starania w sąsiednim powiecie Dąbrowskim, gdzie już jeździł osobiście. Poradzono mu tylko, aby podał się w powiat Limanowa Szkoły te, nie wiadomo dlaczego, może dla większej prymitywności szkółek i tym samym cięższej w nich pracy, odstraszały kandydatów i tam łatwiej było się dostać.

Wkrótce otrzymał zawiadomienie, że został przyjęty jako nauczyciel prowizoryczny w szkole ludowej męskiej w samej Limanowej. Był to dla niego i dla nas w ogóle, zasiedziałyh dzieci równin ewenement nie lada. Olek zaawansował w naszych a głównie w swoich oczach na coś egzotycznego, na „górala”. Udał się tam w jednym ubraniu i z kilku koronami w kieszeni, akurat prawie tyle, co potrzeba było na drogę. Strach z tego powodu podcinał mu nogi, co to będzie na pierwszy początek, nim dostanie pierwsza pensję! Wkrótce jednak miał poznać tę prawdę życiową, że kredytu człowiekowi jako tako usadowionemu nie potrzeba zbyt mozolnie szukać, sam do niego przyjdzie. Żydki w tym.

Trafił na solidne grono kolegów i porządnego kierownika /śp. Sikora/. Przez swą pracowitość i skrupulatność zyskał sobie uznanie i nie omieszkało obarczyć go nauczaniem przedmiotu, od którego każdy jak mógł się wykrycał, tj. śpiewu. Nadzwyczajnie muzykalny

wprawdzie nie był ale miał więcej od innych zapachu. Zamieszkał w pierwszym roku w umeblowanym pokoiku jakiegoś wpadniętego w ziemię starego domku z sekretarzem tamtejszego adwokata, niejakim Banią Antonim, wysłużonym podoficerem, mianującym siebie „koncypientem” i jakimś czeladnikiem ślusarskim. Tam odwiedziłem go po raz pierwszy i tam też po raz pierwszy raczyłem się z tym ślusarzem wyborną żytniówką łańcucką.

W następnym roku przeniósł się już na mieszkanie gdzie indziej wspólnie z dwoma kolegami Garmcarnczykiem i Szlenkierem, zapisał się do „Sokoła” i na wakacje w roku 1910 przyjechał do Brnia z sokolskim mundurem, gdyż wybierał się w nim na zlot do Krakowa przy okazji rocznicy 500 lecia Grunwaldu. Pojechałem z nim i ja wtedy po raz pierwszy do Krakowa.

W roku 1912 przeniósł się z kolegą Szlenkierem na mieszkanie do swego obecnego teścia Kaszuby, wówczas woźnego w starostwie, kiedyś kucharza z zawodu. Hanka była jeszcze wtedy małą 10 letnią dziewczynką. Gdy zapisując się na uniwersytet wstąpiłem do Limanowej odwiedzić Olka, pamiętam gdy podawała do stołu, to spoza niego tylko duże ładne oczy było widać.

Perypetie, tak życia, nawet małomieszczańskie awanturki i przygody erotyczne jakie w tej mieścinie Olek przeżywał, to wszystko było mi dokładnie znane, gdyż wrodzone mu gadulstwo kazało mu spowiadać się z nich w czasie ferii świątecznych, czy wakacyjnych, które zwykle razem spędzaliśmy w Brniu. W czasie ferii letnich przykładaliśmy się setnie do żniw, przy czym Olek, choć fizycznie nieświeżnie zbudowany, okazywał się wytrzymalszy ode mnie. Za to z bólami przejściowymi żołądka miał często do czynienia, nie raz bywało, że gdyśmy się objedli agrestu lub jabłek Olek dostawał swoich „skurczy” i kładł się na ziemię brzuchem.

W maju 1914 odwiedziliśmy go wraz z matką w Limanowej. Wkrótce domyśliłem się, że zapraszał tam matkę właściwie celem zaznajomienia się z przyszłymi teściami. Może to było podświadomie, ale czuć było w powietrzu, że się durzy w swej byłej uczennicy, wspomnianej Hance, która tym czasem podrasłała i usiłowała pozować na pannę. Właściwie podejmowali nas tam Kaszubowie, choć Olek już wtedy u nich nie mieszkał. Zrobiliśmy całą rodziną, nie wyłączając 2 letniego Kazika Kaszubiaka, wycieczkę na Łysą Górę, przy czym nasza matka zadziwiła tubylców „górali” swą wytrwałością w spinaniu się.

Nastał lipiec 1914 rok. Olek przyjechał do Brnia z końcem czerwca jeszcze na wakacje jak zwykle, ja zaś z końcem lipca, bo zatrzymały mnie w Krakowie egzamina rygorozalne I okresu. Pobaraszkowaliśmy razem zaledwie coś trzy dni tylko, pamiętam,

wydzieraliśmy się ucząc się na głosy „Sam jeden, sam jeden na cały ten świat”. Nagle mobilizacja i Olek, choć na razie wolny od powinności jako zaliczony z powodu słabej budowy ciała do pospolitego ruszenia – wyjechał jednak natychmiast do Limanowej w myśl instrukcji uprzednio danych mu przez starostwo limanowskie, gdyżznaczony był na komisarza mobilizacyjnego. A więc już w czerwcu 1914 roku Austria liczyła się z zarządzeniem mobilizacji na lada dzień. Wypadki dalsze zerwały nasz kontakt. Nawiązał się dopiero w rok później.

W listopadzie roku 1914 widać było i w Limanowej, że inwazja rosyjska bliska, przeto ewakuowano urzędy. Kaszubowie bojąc się pozostawić córki przy sobie na miejscu na niepewne losy wojny woleli wyprawić ją na ewakuację z Olkiem, którego zresztą i tak w duchu już uważali za przyszłego zięcia. Tak więc odbyli Olek z Hanką swą podróż „przedślubną”. Ewakuowani zostali do Czech w okolice Pilzna. Po zwycięskiej ofensywie gorlickiej, wrócili a właściwie wcześniej jeszcze, bo Limanowa niedługo była okupowana. Olek przeniósł się na samodzielne stanowisko do wioski Kaniny przy traktie Limanowa – Nowy Sącz. Był tam sam. Branka pospolitacka oszczędziła go, bo szczególnie w tych ciężkich czasach nieświeżo wyglądał a funkcjonariuszy państwowych, względnie krajowych do pospolitego ruszenia bez broni nie powoływano. Przyszła żona tymczasem jęła pracować w starostwie, bo agendy wzrosły, sił było brak i angażowano coraz więcej kobiet. Przewracać to zaczęło trochę dziopie w głowie, czym zaniepokojona matka postanowiła położyć temu kres. Będąc w grudniu 1917 roku jako świeżo upieczony „Fähnrich” na urlopie i odwiedziwszy Olka w Kaninie widziałem, że rzecz o małżeństwie jest ułożona.

Piękny był śnieżno mroźny poranek, gdy przybyłem na stację do Limanowej. Aczkolwiek wiedziałem, że najprościej było jak w dym do Kaszubów i tam już niedługo będę musiał na Olka czekać, może go tam nawet od razu zastać – skusił mnie spacer dłuższy tego ranka ku Sączowi, jak się rzekło szosą około 10 km dość ładnej drogi; po lewej stronie ładna dolina z Pisarzową i Meciną, drogą żelazną tamże, dalej wyniosłe pasmo Jaworznicke. Po prawej coraz ku Gorcom i Pieninom wznoszące się pasma i szczyty górskie z Mogielnicą głównie na widowni. Widoki po drodze dość malownicze. Widać też opodal cmentarz wojenny – pamiątka bitwy rozstrzygającej stoczonej przed trzema laty tu właśnie na górze Jabłoniec. Przybywszy na Wysokie, tj. pod Kościół na najwyższym wzniesieniu wsi Kaniny przy szosie położony, dowiedziałem się dopiero, że „szkoły” tj. domu odnajętego w połowie na klasę i mieszkanie nauczyciela muszę szukać na wsi w dole. Z trudem dopytałem się o tego gazdę Lisa, gospodarza domu. Olka jak przeczuwałem, nie zastałem bo siedział w Limanowej, więc posiliwszy się jajecznicą i kawą pani Lisowej poszedłem spać. Koło

południa nadszedł Olek. Niewiele można było użyć spaceru po ładnej okolicy z powodu gołoledzi to deszczu. Wieczorem tylko z wysokości szosy podczas zachodu słońca obserwowałem po raz pierwszy mieniające się w zorzy wieczornej szczyty Tatr. Na drugi dzień poszliśmy do Limanowej. Hanka nie zupełnie jeszcze wyszła z ostrego zapalenia stawów. Gdzieś w miesiącu styczniu czy lutym 1918 roku dostałem zaproszenie na ślub. Nie skorzystałem zeń, bo podówczas forsownie wkuwałem się do egzaminów z reszty I rygorozum /anatomia, fizjologia, histologia/ chcąc zmarnowane 3 lata studiów nadrobić.

Kiedy z końcem czerwca 1918 roku miałem już w kieszeni dokument podróży /Offener Befehl/ na południe, wstąpiłem /do piekieł, po drodze mu było z Sambora/ do Limanowej od Krakowa i razem z młodą parą /on 32 lata, ona 17/ wyjechaliśmy do Brnia. Wyjechał po nas ojciec do Mielca. W drodze przez Trzcianę miał uciechę, gdy synowa zapytała go słysząc dukanie żab w rowach przydrożnych – co to za kukułki kukają? W swych stronach nigdy nie słyszała koncertu żabiego. Nie widziała bocianów i gdy zobaczyła egzemplarz brodzca na bagnie „kinetu” pobiegła za nim kilkaset metrów boso ku uciecze sąsiadek.

Gdy w styczniu 1919 roku po zwolnieniu z wojska wracałem z Krakowa do Brnia wstąpiłem do Kaniny /jeszcze w mundurze chorążego sanitarnego z „trzepaczkami” na ramionach/, Olkowie mieszkali jeszcze u Lisa. Byłem wtedy na weselu wyprawianym córce czy kuzynce przez tamtejszego gospodarza, przybysza spod Lwowa, niejakiego Darowskiego. Wesele odbywało się na organistówce koło kościoła. Rodzina Darowskich zaliczała się do półinteligencji. Miał dwie dość przystojne córki, które poznałem na tym weselu. Starsza z ładnym głosem wdzięcznie śpiewająca Karłowicza „Chylisz główkę” była zamężna za wysokim dryblasem, podobno pijaczną, buchalterem Gulą. Młodsza Zosia, panna 17 lat, wcale ładna znana już była z ociążałości fizycznej i skłonności do tycia. Spotkałem ją w 4 lata później już jako mężatkę w Brześciu nad Bugiem. Przedtem była tam biuralistką w województwie i roztyła się już tak że jej nie poznałem. Wyszła za porucznika długi czas będącego referentem Komendy Miasta. Wyhasała się Hanka na onym weselu do siódmych potów a ja, nieświetny wtedy tancerz też. Wtenczas zwiedziłem tam z Hanką też Przyszową, gdzie teraz mój kolega dr Żuk Skarczewski założył w majątku swego ojca letniskowe sanatorium. Gdy następny raz tam Olków odwiedziłem, nie pamiętam już w którym miesiącu, mieszkali już na górze u Żaczka na organistówce i tam też była klasa.

Jakoś jesienią 1919 roku bawiąc w Brniu otrzymaliśmy od Olka wiadomość o urodzeniu się im syna z zaproszeniem na chrzciny. Pojechałem i trzymałem chłopca /po raz pierwszy w życiu/ do chrztu w nowym kościele w Limanowej z Kaszubową. Szelma

kumoszka postanowiła na szwank narazić cnotę swego kuma i po kościele zawiodła mnie wraz ze swą sublokatorką, jakąś słomiana wdową, na libację do jakiegoś Mośka czy Berka i gdy już porządnie mieliśmy w czubkach zwiąła pozostawiwszy mnie babie na pastwę. Z biedą wykręciłem się sianem z uwodzicielskich uścisków jakimi mnie obdarzyła zawiódłszy pijanego do kasyna urzędniczego, pustego wtedy. Na tyle jednak byłem trzeźwy aby sobie zdać sprawę z niezbyt wielkiej ponętności kusicielki. Na to zresztą trzeba było rozporządzać pewną wprawą, którą mimo 28 lat nie rozporządzałem. Chrześniak, mały Romcio chował się nieźle, choć matka prawie nie karmiła i w ogóle wtedy ciężko było odchowować dzieci przy tej biedzie, jaką wówczas cierpieli pracownicy państwowi. U chłopa, który paskował wtedy ile wlaźło, trudno się było czego dokupić, tak że nawet kondensowane mleko amerykańskie, które czasem przyjechawszy do Krakowa mógł wziąć ode mnie /wojskowy lub akademicki deputat żywnościowy/ stanowiło w domu rarytas.

W międzyczasie przeniósł się Olek na stanowisko kierownika 5cio klasowej szkoły powszechnej do Laskowej, 12 km na północny zachód od Limanowej, gdzie dotąd pozostaje. Ciężkie warunki bytu, o których wspomniałem skłoniły go do złożenia podania o przeniesienie w Poznańskie, bo wtedy /rok1920/ było tam wielkie zapotrzebowanie i wielu nauczycieli przeniosło się otrzymując intratne stanowiska. Zaproponowano mu szkołę gdzieś koło Kcyni. Wybrał się tam na oględziny ale coś go zniechęciło, może ludzie. Koniec końców pozostał na swym miejscu.

Wiosną, na Św. Zielone roku 1920 będąc odkomenderowany na dokończenie egzaminów do Krakowa odwiedziłem Olków po raz pierwszy w Laskowej. Brzaskiem ślicznego dnia wysiadłem na przystanku Łososina i jakiś żołnierz, urlopnik z Jaworzowej co też ze mną wysiadł, wskazał mi drogę. Pożegnał mnie na głównej szosie, bo sam poszedł w las na krótsze drogi grzbietem Gronia. Po dalszej drodze przekonałem się, iż okolica tu malownicza więcej niż poprzednio mi znane. Rzeczka Łososina wije się w pięknej, miejscami dość szerokiej dolinie, a że okoliczne, niezbyt odległe szczyty dosięgają do 900 m., niektóre piętrzące się dość stromo nad rzeką, więc wrażenie to robi nieraz wysokogórskie.

Wieś Laskowa rozłożona jest nad środkowym biegiem tej rzeczki. Gospodarstwa rozrzucone po stokach ku rzecznych sąsiednich gór względnie pasm. Gdy idąc szosą do Łososiny minie się Młynne, szosa rozwidła się. Ramię lewe idzie w górę pomiędzy dwa wzniesienia: Odrończe po stronie prawej, tj. na południe i Makowica po stronie lewej tj. na północ. Wzniesienie pierwsze wnet się kończy i otwiera się widok na dolinę wsi. Makowica uwydatnia się coraz bardziej, jakby wznosi się. Gościniec biegnie u jej stóp aby dalej serpentyną wspiąć się na sąsiednie wzniesienie Widomą, zamykającą kotlinę Laskowską od

płn-wschodu. Z Widomej poprzez Rozdziele pięknym łukiem zatacza szosa w dół do pasma Kobyłki, biegnąc przez widoczną z Widomej Żegocinę do Lipnicy, Wiśnicza i Bochni. Drogę tę przebyliśmy w 1931 roku z Olkiem i Maryską samochodem gdyżśmy z Laskowej wybrali się w czasie wakacji w odwiedziny mego kolegi dr Lelka sędziego w Bochni.

Drugie ramię rozwidlenia szosowego prowadzi w prawo w dół obok Łososiny u stóp Odrończa po lewej stronie. Za rzeką piętrzy się najpierw stromo opadająca Załupa, poza nią jeszcze wyżej pasmo Groniowo-Sałasowe. Za Załupą wąwóz dotychczasowy rozszerza się nagle w piękną, lejowatą kotlinę. Dno kotliny równe, dość obszerne, kiedyś widać było jezioro rzeczne. Na dolinie tej rozsiadł się kiedyś dawno jakiś żeński klasztor. Wieś stanowiła jego własność. Klasztor za czasów austriackich skasowano a majątek nadano, czy sprzedano Rzochowski. Ostatni z nich zmarł przed paru laty i majątek odziedziczył /drogą zapisu z pominięciem innych krewnych/ siostrzeniec Michałowski. Dryblasisko – ani wyglądem zewnętrznym, ani inteligencją, ani manierami nie różniący się od chłopca prostego, co go jednak nie potrafiło uchronić do zgubnego a tak powszechnego dziś u ziemian życia nad stan. Robi już bokami choć otrzymał majątek dobrze zagospodarowany i okazałą gotówkę. 300 morgów polskiej dobrej ziemi i więcej niż drugie tyle lasów. Stary dworek modrzewiowy, podobno sięgający XVII wieku jest ciekawym architektonicznym zabytkiem, z podwójnym dachem, oryginalnymi malowidłami na bazylikowym stropie w jadalni, gdzie kiedyś była kaplica. Pod dworem wpada do Łososiny potok rozdzielski, co w Rozdzielu bierze początek i przerzyna się między Widomą z jednej strony a Jabłonicą z jej bratem Czupragiem z drugiej strony. Pod dworem też urywa się nagle dolina przyrzeczna północna, rzeka zbliża się tuż do podnóża Jabłownicy. Szosa jakby tylko wisi na zboczu i często zasypuje się obsuwającymi się odłamami piaskowca. Z drugiej strony i rzeka często podmula gościniec. Ciągle trzeba podmurowywać.

Za to na brzegu prawym dolina rozszerza się coraz bardziej. W nią schodzą się wzdłuż odnośnych potokowych dopływów wsie obubrzące: Jaworzna – Kamionka, Żmiąca – Krosna itd. Szosa przez Ujanowice prowadzi do Nowego Sącza. Wsie jak Żmiąca, Kobyłczyna, choć blisko mają w linii powietrznej do Limanowej, mało mają z nią styczności handlowej, wolą korzystać z bardziej odległego Sącza, gdyż prostą drogę do Limanowej zagraża im wysokie i strome pasmo Groń – Sałas z najwyższym szczytem Jaworz (910 m.). Ciągnie się ono dość wąskim a wysokim grzbietem od wsi Łososiny ku wschodowi otwierając ku południowi widok na dolinę Sowliny – Limanowa – Pisarzowa – Męcina – Klęczany a za nią na Mogielnicę, Pieniny, Gorce i Tatry. Widok na Limanową przesłania wyrosła wśród doliny

Łysa Góra. Dolina mała między nią i wspomnianym grzbietem ma szwajcarską malowniczość.

Od strony północnej otwiera się widok w pierwszym rzędzie na pobliskie siostrzane wzniesienia jak Załupa i Rozpite opadające mniej lub więcej stromo ku rzece Łososina aby je dalej zamknąć odnogą grzbietową w kierunku północnym – Bystrym Działem, częściowo tworzącym strome „Stoły”. Za Bystrym Działem dalej na wschód znów siostrzane wzniesienie – Obidowa, zamykające wioskę Jaworzna, cudownie położoną osłoniętą szczelnie z trzech stron a tylko z biegiem potoku otwierającą się ku Łososinie. Identyczna, prawie nie do odróżnienia jest następna wioska Żmiąca między Obodową a drugim siostrzanym wzniesieniem pasma Sałasowego – Kretówką. Zdaje się i dalsza Kobyłczyzna ma ten sam charakter. Nie byłem tam. To odosobnienie geograficzne odbiło się wydatnie nie tylko na klimacie, który w tych wioskach osłoniętych jest o wiele łagodniejszy niż np. w Limanowej lub Laskowej ale nawet na charakterze mieszkańców. Jaworzanie, Żmiączanie są solidni, spokojni i gospodarni, oświeceni i uspołecznieni. Może dzieła tu i tradycja wieków. Wioska Żmiąca np. ma już swoją monografię napisaną przez prof. Bujaka, w której wyprowadzone są jej tradycje od Jagiellonów, czy jeszcze wcześniej. Ciekawe, że ruch ludnościowy na przestrzeni tylu lat nie zmienił się prawie wcale. Na tym mikrokosmosie widać dowodnie, jak człowiek zależny jest od otaczającej go przyrody.

Laskowianie stanowią zupełnie inny typ mimo sąsiedztwa o miedzę. Przypuszczam, że ma to swe źródło znów w warunkach geograficznych. Kiedyś, gdy dróg nie było, mało kto tam mógł docierać; wejście ze wszystkich stron przejmowało grozą. Trudny do przebycia mur Jaworzyński oddzielał tę okolicę od kotliny Limanowskiej, szlaku staro-góralskiego, zapewne i kupieckiego; wejście zachodnie korkowała bystra Łososina przerywająca się między stromymi zboczami Załupy i Odrojca, na północy bezdrożne, lesiste szczyty, na wschodzie znowuż kapryśne rozlewisko rzeczne. Oczywiście te wszystkie przeszkody nie istniały dla tubylców, którzy zapewne nie omieszkali ich wykorzystywać praktycznie dla celów zbójnictwa bezpośredniego czy pasterskiego. Szereg legend tamtejszych w tym rodzaju np. o zbójniku Zelku, co wielki skarb zakopał na Groniu i mimo okrutnego bicia przez żandarmów nie zdradził miejsca, wreszcie miał zginąć zastrzelony podczas próby ucieczki z Wiśnicza – zdają się potwierdzać to przypuszczenie. Masyw „Rozpite” tuż za najdogodniejszą a obronną przełęczą na jaworzyńskim grzbiecie, swoją nazwą mógłby świadczyć, że tam mogła się mieścić stacja rozdzielcza łupów z nieodłącznym popijaniem. Do dziś zalesienie i rzeźba tego masywu przedstawia tam istny labirynt, który się świetnie do tego mógł nadawać. Odbiło się to na charakterze ludności. Podejrzliwa, zawiadacka pod

względem kulturalnym stojąca znacznie niżej od wiosek sąsiednich. Mimo, że osiedle to jedno z największych w tej okolicy zgrupowane na stokach olbrzymiego leja, którego dnem dwór i pojeziorna równina. Obok niej kościół a nieco w bok, blisko ujścia potoku z Rozdiela – szkoła.

Buda to, że aż wstyd na tak dużą wioskę. Tuż przy bocznym gościńcu, znacznie wyżej od niej położonym, tak że nawierzchnia sięga połowy okien. Mieści dwie walące się klasy z podłogami, powałami, oknami i piecami pozał się Boże, i mieszkanie kierownika / 2 pokoje z kuchnią/. Dojazd „suchą nogą” niemożliwy, gdyż musi się odbyć brodem kamiennego potoku, który w czasie wylewu huczy jak grzmot i w ogóle nie jest do przebycia. Można sobie wyobrazić jaka może być frekwencja szkolna dzieci w słońcu lub zimą, gdy trudno dostępnymi stokami muszą iść 4-5 km ! Surowe warunki bytu i surowe, mało okrzęsane natury. Ale też i nędzy skrajnej nie brak. Wyzyskiwana też jest bezczelnie przez dwór, płacący śmieszna robocizną i wymagający horrendalnych odrobków za najlichsze skrawki podzierzawianej ziemi. Toteż dla podżegaczy polityczno-społecznych jest tu raj. Ciekawe, że parę lat temu najwięcej tam ruchu polityczno-organizacyjnego w sensie oczywiście radykalno-opozycyjnym sprawił ... 11 letni chłopak, nazwiskiem Kuchta, syn pijaczyny sklepikarza i zarazem pisarza gminnego. Rozwydrzone, niekarne chłopstwo wsi trzymał ten smarkacz mocno w garści i terroryzował. Po kompletnej ruinie swego ojca musiał wyemigrować na miejski bruk i jeśli się nie znajdzie ktoś, co skieruje niezwykły talent tego chłopca na właściwe tory, będzie z niego genialny zbój lub ... komisarz. Dziś, gdy go brakło we wsi, gromada znów chodzi luzem, jednak kilka mocniejszych indywidualności dotąd nie daje spać władzom spokojnie.

W takie to środowisko popadł Olek w 1921 roku. Nie wiodło mu się tam na wstępie, bo utracił jedyne synka Romcia w czerwcu tego roku, gdy wybuchła tam złośliwa epidemia czerwonki. Z czasem przywyknął i obecnie i on i Hanka i Kunda, śmieszna, wiecznie jednako wyglądająca karlica, niby służąca, właściwie piąte koło u wozu – stali się jedynymi z plam tamtejszego kolorytu. W 1935 roku wzięli na wychowanie dziewczynkę, córkę młodszej siostry Hanki, Maryśki, która wnet po ślubie rozeszła się z mężem, ojcem Tereski chłopakiem ladaco i hochsztaplerem, z zawodu kuśnierzem, niejakiem Pałką. W roku 1934 przebył Olek po raz pierwszy w życiu cięższą chorobę tj. zapalenie płuc. Przebieg tego chorowania, które prawie w całości śledziłem, dowiódł mi raz jeszcze, że najnieznośniejsi są pacjenci chorujący pierwszy raz, jeśli są inteligentami. Istny teatr. Co prawda wyzdrowienie zawdzięczał raczej swej chuderlakowskiej kompleksji, bo przy innej a przy swoim przepracowaniu w takich rozpaczliwych warunkach przejechałby się na pewno.

Kilka mych urlopów wraz z synkami, małymi jeszcze wtedy bębnami i z żoną tam mile spędziliśmy. Były to jeszcze lata, gdy zakątek ten jeden z najpiękniejszych w Polsce był prawie nie znany. Dziś już ściągają tam coraz tłumniej obozy letnie i harcerskie no i letnicy. Brak jeszcze należytego rozumienia swego interesu ze strony tamtejszej ludności i starania ułatwienia letnikom pobytu, tak, że na razie ściągają tam tylko amatorzy pierwotności. Wątpię, czy sam jeszcze się odważę na dłuższy tam pobyt z rodziną, bo chłopcy już na tyle wyrosli, że tym samym sumptem można ich już wodzić po innych jeszcze nieznanym im a również potrzebnych do poznania szlakach.

Józef (10)

Z kolei przypada określić dzieje następnego z braci, o 1,5 roku młodszego od Olka, mianowicie **Józka (10)**. Ten , o 4 lata starszy ode mnie, był od dzieciństwa więcej zżyty ze mną, bo pamiętam go jeszcze świniopasem, potem pastuchem wraz z Olkiem, potem starszym pastuchem z moją osobą jako pomocnikiem, wreszcie parobkiem. Wyróżniał się z całego rodzeństwa wesołym usposobieniem, umiejętnością podchwytywania śmiesznych stron u drugich, zmyślnością w nadawaniu trafnych przezwisk charakteryzujących kapitalnie dane osoby, wreszcie niezwykłą rącznością w pracy. Po tym względem tylko zdaje się on i Zosia wdali się w matkę. Nauka, zwłaszcza rachunki nie szły mu zbyt składnie ale nie najgorzej. Złotego serca choć nieco porywczy, co się czasem odbijało na mojej skórze boleśnie, znał jednak miarę w wyzysku młodszego przez starszego (alias mocniejszego przez słabszego). Kiedyś np. w okresie, gdy szczytem mych marzeń było posiadanie bata (sam posługiwałem się wierzbowym kijaczkim) do popędzania krów, którym już Józek się pysznił i zaproponowałem mu, że przez 3 miesiące będę pasał sam, jego puszczać na „tłuki” z innymi pastuchami i nic o tym nie powiem w domu – przyjął ofertę ale z tym warunkiem, że termin ten będzie trwał tylko 3 tygodnie. Ale i tu go jednak niepokoiło widocznie sumienie i wręczył mi bat uroczyście już po 10 dniach. Kiedy podrósł i zbliżał się czas poboru do wojska austriackiego (aresztunku?) – śladem Franka i innych rówieśników, jak to było wtedy w zwyczaju – pojechał i on do Ameryki „na zawsze”. (Było to wtedy łatwe, moc było szmuglerów żywym towarem za tanie pieniądze; nie było co prawda przymusu paszportowego między Austrią, Niemcami i Ameryką). Był to rok 1908 lub 1909. O pracę nie było mu w Ameryce trudno, śladem znajomych i brata zatrzymał się w tkactwie w stanie Massahusets. W 2 czy 3 lata później ożenił się tam z emigrantką Zofią Strycharzówną z rodzinnej parafii, z wioski Wola Otałęzka. Z dwojga ich dzieci starsza Czesława wyszła za mąż za jakiegoś półinteligenta Słowaka rodem; sama jest fryzjerką. Młodszy Franek zmarł,

wyrósłszy już na tęgiego młodzieńca, po operacji ślepej kiszki w tymże samym roku. Pocieszyli się strapieni rodzice wnukiem od córki. To są już ostatnie dzieje, ale jeszcze w roku 1921 przybyła cała rodzina Józka do Brnia na wezwanie ojca, który po katastrofie z roku 1920 (śmierci jednej i ciężka choroba drugiej dorosłej córki) czuł się bardzo postarzały i przybity. Mieszkali do 1922 roku razem, jednak idylla nie trwała długo. Gdy stary ochłonął, spostrzegł się, że trzeba będzie berło władzy gospodarczej oddać synowi, który przecie po to przyjechał, a tu sam czuł się przecie na siłach, przynajmniej tak mu się zdawało. Nie obyło się, jak to zwykle bywa i bez pewnych drobnych ale przykrych nieporozumień między synową a świekrą, która ironicznie patrzyła na niewinne zresztą mieszczańskie nawyki młodej, nie obyło się i bez nieporozumień między ojcem i synem, który w końcu poczuł, że jest niepotrzebny. Stary np. uważał, że orka w polu to jego sakramentalny obowiązek i prawo zarazem i bywało, że bez ceremonii odbierał synowi bat i capagi. A trzeba wiedzieć, że nie mógł nie mieć zaufania do synowskiej pracy, gdyż znał ją jeszcze z jego „parobczańskich” czasów, wiedział przecie, że wszystko mu się pali w rękach. Chodziło jednak „o władzę”. Tak, tak! To nie lada problem psychologiczny. Koniec końców po roku niespełna Józek miał tego dość i śladem innych reemigrantów wyszukał sobie w powiecie bydgoskim osadę resztową niemieckiego kolonisty we wsi Murucin, kupił ją od niego za 1000 dolarów (całe swoje oszczędności; jak wszyscy w rodzinie, umiał uczciwie pracować ale nie umiał „robić” pieniędzy). Osada była wcale przyzwoita, ok. 8 ha dobrej ziemi w jednym kawałku z łąką torfiastą, bliźutko kolei wąskotorowej, okolica dość ładna i zdrowa. Odwiedzałem go tam parę razy jako kapitan na urlopie. Wypchałem tam i Olków w roku 1925, gdy byli u nas w Brześciu. Już jednak w tymże roku czy następnym sprzedał tę osadę ze stratą innemu reemigrantowi a sam wybierał się do Ameryki z powrotem wraz z Kongresem Eucharystycznym. Rachuby go zawiodły, pojechać się nie udało, trzeba było na gwałt o coś nowego się zaczepić. Kupił więc inną osadę w Stronnem pod Koronowem, już znacznie gorszą. Odwiedziłem go tam wraz z żoną w roku 1927. Przedtem jeszcze tamże odwiedził go ojciec, który właściwie wybrał się doń na stały pobyt uprzykrzywszy sobie zięcia we Brześciu, jednak po 3 tygodniach, gdy dowiedział się, że musi być tam zameldowany w gminie, uprzytomnił sobie, że oto jest na obczyźnie i mógłby tam złożyć swoje kości. Zabrał się tedy najprędzej z powrotem (dobrych 600 km, 12 km pieszo z Mielca, 85 lat !). W kilka miesięcy później zmarł tracąc szybko siły, skarżąc się na żołądek i brak apetytu.

Niedługo gospodarzył i Józek w Stronnem. Mimo, że mniejsza osada wiodło mu się i tam nie najgorzej jak w Murucinie, to znaczy wcale dobrze, bo nie zwykł zasypywać gruszek w popiele, ale jak twierdził, nie mógł się żyć z nieokrzesanymi (po części to i prawda)

Wielkopolanami a naprawdę tęsknił, a pewnie więcej jeszcze żona, za ruchliwym życiem fabryczno-miejskim do jakiego przywykła przez lat kilkanaście. Tymczasem koniunktura na ziemię polepszyła się, dolar spadł o połowę i sprzedawszy osadę jakiemuś Kaszubowi odebrał to co przywiózł z Ameryki i w roku 1928 tamże wyjechał z rodziną z powrotem. W podróży tej gościłem ich u siebie we Warszawie, gdy odbywałem tu specjalizację. W Ameryce trafił na kryzys ekonomiczny i bezrobocie. Inny byłby zmarniał w tych warunkach; on jednak znany był jako pracownik doskonały i zawsze jednak jakoś utrzymywał się na fali i nawet coś przyrobił. Wreszcie kupił sobie tam dwa czynszowe domki i Boga by chwalił, gdyby nie wspomniane nieszczęście, tj. śmierć syna. Mieszka w Blackstone Mass. Box 165.

Helena (11), Marcin (12), Michał (13), Roman (14)

Z kolei miałem siostrę **Hele** (11), która zmarła mając parę miesięcy. Potem urodziła matka bliźnięta, chłopcy, **Marcin** (12) i **Michał** (13); zmarli wkrótce po przyjściu na świat. W roku 1892, 20 listopada według metryki, a jak twierdziła matka 20 grudnia tegoż roku przybyłem ja (**Roman** (14)) na świat z kolei. Własne dzieje odłożę jednak na ostatek.

Tadeusz (15)

O 2 lata młodszy ode mnie był **Tadek** (15). Z nim to głównie spędzałem me dzieciństwo. Razem uczyliśmy się chodzić; ja wtedy po raz drugi p utracie zdolności chodzenia wskutek jakiejś choroby (błonicy pewnie lub Heinemedina). Musiałem mieć ze 3 lata, jeśli pamiętam tę naukę. Chłopak ten – Tadek – miał trochę dziwne usposobienie. Bardzo uparty, bardzo muzykalny, mniej ode mnie skłonny do rozmyślań, więcej skłaniał się do rzeczy praktycznych, w starszych kółku czuł się zawsze nieswojo, gdy młodsza odeń o 2 lata siostra nieco podrosła, przyłgnął w zabawach dziecięcych do niej i ja pozostałem sam ze sobą; Józek był dla mnie za stary troszkę. Nauka szła mu dość tępo; gdy Józek pojechał do Ameryki (ja byłem w szkole) ojciec radził Tadka mieć swym następcą na gospodarstwie. Niestety w 18 roku życia zapadł na gruźlicę płuc i w marcu 1910 roku zmarł.

Ten nowy cios zniosło gospodarstwo tylko o tyle, że był to czas dość dobrej koniunktury, łatwiej było w domu o grosz i tym samym o najemnika w gorętszym czasie, przytem podraszały dziewczęta młodsze, z których starsza pomagała już dzielnie matce a młodsza objęła niepodzielnie berło pastusze. Przez najgorętszy czas, tj. we żniwa obaj z Olkiem na wakacjach uwijaliśmy się od świtu do nocy. Gros całego ochędunku i ciężkich prac fizycznych w reszcie roku spoczywało na ojcu, który mimo odwiecznego, niby astmatycznego kasłania z rana trzymał się pewnie jak tur. Nie mniej spoczywał ten łańcuch i

na starzejącej się matce, która zresztą zawsze była faktyczną acz nie formalną głową rodziny. W przeciwieństwie do ojca, lubiącego więcej rozmawiać ze sobą jak z innymi lub z nami, była rozmowna, bardzo spostrzegawcza i nader obrotna. Dziś wprost wyobrazić sobie nie mogę, kiedy ona znalazła czas na to, aby nam wszystkim ugotować (a znała się na tem pierwszorzędnie), uprać dom cały, obszyć nawet, bo nie znaliśmy tego, co to kupna bielizna, a przytem nakarmić świnię, drób, wydoić krowy, posprzątać (nie znosiła brudu), zebrać jarzynę czy chwast z pola dla nas i chudoby, upielić grzędy i jeszcze często pomagać w pracach polnych, i jeszcze znaleźć czas polecieć na plotki do kumoszek lub na czytanie książek, które jej często wyciskały serdeczne łzy współczucia dla bohaterów. Jej też pracowitości i zapobiegliwości zawdzięczał dom, że należał poniekąd do arystokracji chłopskiej, że dzieci powychodziły na ludzi a ojciec nie pogrzyżył się przez swą w gruncie rzeczy naiwną dobroduszość. Jakkolwiek bardzo ambitny i uparty, czem nieraz prowokował kłótnie z matką, ustępował jej jednak w rzeczach istotnych, w zamian matka podtrzymywała jego prestiż ustępstwami ogólniejszej natury. Do niego należała kasa główna, tj. pochodząca z grubszych transakcji jak sprzedaż krów, bydła, świń lub zboża. Matka zarządzała małą kasą z utargu za drób i nabiał. Musiało jednak jej być wiele, jeśli musiało starczyć na cały dom, tj. bieżące wydatki. To „wiele” były to jednak słynne groszowe sumy. Kasa główna mogła być przedstawiać się lepiej, gdyby ojciec umiał wyzyskiwać swe stanowisko społeczne i umiał czasem odmówić łaszącym się krewniakom i interesantom. Przede wszystkim piastował dłuższy czas urząd scholarza gminnego, wprawdzie bardzo skromnie płatny ale dający sposobność ubocznego zarobku, zwłaszcza w tych, prawie że „niepiśmiennych” czasach. Przytem czynny był jako domorosły geometra; w komorze wisiał symbol tego zawodu – łańcuch mierniczy na stopy i sążnie. Wiele dzionków, nieraz z zaniedbaniem pilnej pracy w domu, spędził na polach chłopskich czy dworskich dokonując pomiarów dzierżaw, wykopów czy nawet odsprzedawanych parceli. Nigdy mu solidności tej roboty nie kwestionowano. Cóż, kiedy rzadko kiedy te prace nosiły inny charakter jak grzecznościowy. Poczęstunki nieodłączne były utrapieniem całego życia dla matki. Często wracał z takich imprez mocno podchmielony, czasem umorusany w błocie lub zakuty w pancierz lodowy na mrozie i dopiero w domu rezonował. Jak to wszystko nie odbiło się na jego zdrowiu - nie mogę pojąć. Miał ambicje pioniersko-polityczne, uległ wpływom rodzącego się ruchu ludowego i do końca życia pozostał mu wierny w jego radykalnych przejawach. Może też pod tymi wpływami solidaryzował się całkowicie z dumną tradycją ogółu tamtejszych chłopów odnoszącą się do wydarzeń 1846 roku. To było też zapewne powodem, że w swej młodości (1863 rok) jakby się wstydził (w tradycji chłopskiej było to „pańskie” powstanie) i nigdy o tem nie wspominał

przy nas. To co wiem, wiem od innych i od matki. Za mej pamięci był już na widowni Stapiński i jego gorąca walka z magnaterią i klerem. Nie dał się ojciec wziąć na agitacyjny lep księży, gdy chodziło o zyskanie jego „prawyborczego” głosu mimo kuszących obietnic odnoszących się do kształcących się synów. Przypłacił to zresztą utratą stanowiska urzędowego, z którego zresztą i tak, jak się rzekło, miał niewiele. Ta stałość przekonań zjednały mu jednak wielki mir u okolicznych i miał tę satysfakcję, że np. w samorządzie gminnym przy największym nawet rozpętaniu walki wyborczej, on był jednak tym, który decydował o losach wójtów i ławników, gdyż koniec końców ogół szedł za jego głosem. To samo było w wyborach do galicyjskiego sejmku we Lwowie lub parlamentu austriackiego we Wiedniu. Pozostał więc zawsze solą w oku umiarkowanych bądź wstecznych kierunków a powiat mielecki jest po dziś jednym z najbardziej politycznie uświadomionych i nieugiętych.

Bronisława (16)

Z kolei młodsza o 4 lata ode mnie była siostra **Bronisława (16)**. Jasnowłosa, bardzo roztropna dziewczyna, bardzo zdolna, zadziwiała mnie krytycyzmem, z jakim czytała niektóre powieści. Dość jej było przeczytać Sienkiewicza tylko, aby pozyskać zdolność osądu o książkach i autorach innych. Ja, który uchodziłem w gimnazjum za bardzo odczytanego, nie mogłem nieraz spostrzec tego co ona spostrzegała. Poza tym była dość małomówna, wybuchowa, ale wbrew kobiecej naturze nadzwyczaj dyskretna. Tak samo jeszcze młodsza Hela II (17). Powierzona im tajemnica to jak kamień w wodę. Ciężko było Bronce, gdy brat Tadek zmarł, bo stała się główną podporą starzejących się rodziców mając 16 lat a siostra była jeszcze dzieckiem. Z wybuchem wojny światowej przez 1-szy rok ja pomagałem w gospodarstwie, bo mnie mobilizacja szczęśliwie ominęła, na 2-gi rok, gdy już poszedłem do wojska, z podrośniętą już Helką gospodarzyły same z rodzicami. Latem 1920 (lipiec) zachorowała wraz z siostrą na ciężką szkarlatynę z powikłaniami ze strony nerek i serca. Słaba była przez dłuższy czas potem, tak, że gdy w roku 1922 wyszła za mąż, zachodziła obawa, czy zdoła wytrzymać macierzyństwo. Obawy okazały się płonne, rodziła świetnie 8 razy, z tego 7 dzieci, 4 chłopców i 3 dziewczynki chowają się, matka, acz zapracowana czuje się dobrze. Wyszła za Józefa Baradzieja z pobliskiego Łysakowa, syna zamożniejszego gazdy, brata mego kolegi (chodził do gimnazjum jednak w Mielcu, jest teraz inspektorem skarbowym w Nowym Targu - Michał). Drugi szwagier, a raczej brat szwagra jest proboszczem w Niedźwiedziu pod Turbaczem (Franciszek). Ponieważ tak się złożyło, iż Bronka została sama na ojcowiznie (ok. 8 ha) a mąż wniósł mniej więcej połowę tego, poza tym coś dokupiono, więc też, jak na tamte stosunki liczą się za zamożnych. Ostatni raz byłem

u nich razem z Olkiem i śp. Wojtkiem w roku 1936 w lecie. Niezupełnie już wtedy przypominało się na miejscu gniazdo rodzinne. Dom przebudowany, nie można powiedzieć żeby praktyczniej, ładu dawnego choć skromnego trudno w chałupie się dopatrzeć; niestety Bronka nie odziedziczyła po matce zmysłu porządkowości a mąż chował się bez matki i też o niej nie ma pojęcia. Co prawda, przy tylu drobnych dzieciach i dużym gospodarstwie trzeba by rzeczywiście chyba niezwyklej energii śp. Matki, aby to jakoś wyglądało. Inwentarz żywy, pozostający pod bezpośrednią pieczęią szwagra, prezentuje się wcale dobrze; sceptycyzm ojca naszego co do jego gospodarowania w polu też okazał się nieuzasadniony. Najstarszy syn Jasiek, bardzo pono zdolny chłopak chodzi teraz do III kl. Gimnazjum w Mielcu (rok 1939). Musi jest bardzo muzykalny, bo zamęczał nas refrenem fokstrota granym na „pozał się Boże” skrzypidlach. Posłałem mu później mu swój klarnet. Młodszy Romek, tępszy do nauki, kieruje się na gospodarza. Dalej idą Zosia, Danusia, pucułowaty Antek, dalszym dwojgu nie wiem jak na imię. Słowem, jakoś tam Boga chwałą i żyją.

Helena (17)

Najmłodszą z rodzeństwa była **Hela II** (17). Urodzona w 1900 a więc przeszło 8 lat młodsza ode mnie. Ja ją właściwie najwięcej „wybawiłem”, tj. wypiaستowałem. Jako oczko w głowie mamusi była z początku troszkę rozkapryszona przez poddawanie smakołyków poza programem, co miało ten skutek, że nieregularności w odżywianiu jej wzrost ucierpiał i była niższą od nas wszystkich – no nie całkiem małą ! Gdy podrosła troszkę weszła w obowiązki pastuszki i to długoletniej już a przeważnie samotnej. Stąd pewien rys zadumy. Było to krępe, hoże dziewczę, ciemno-blond, podobnie jak starsza siostra bardzo inteligentne, małomówne i dyskretne, różniła się od starszej większym taktem, wesołością, zamiłowaniem do porządku i pasją do koni. Jeździła na oklep jak stary kozak. Była przez ludzi i przez chłopców więcej lubiana od starszej i wyrosła wkrótce na jej mimowolną groźną konkurentkę. Żadnej cięższej choroby do 20 roku życia nie przechodziła i może to było powodem, że organizm nie był w stanie przewalczyć cięższego zakażenia. Jak się rzekło, w lipcu 1920 roku zachorowały prawie razem na płonicę. Helka dostała prawie z miejsca zakażenia ogólnego i po 2 tygodniowych cierpieniach zmarła w mych oczach (przyjechałem na wezwanie ojca na „polski” urlop z Krakowa) pograżając nas wszystkich w głębokim smutku. To jak i ciężki stan drugiej siostry miały ten skutek, że zjechał w niespełna rok później Józek z Ameryki.

Tyle o najbliższych. Pora przystąpić do zapowiadanej autobiografii.

Moje wspomnienia dziecinne sięgają zapewne bardzo młodych lat, gdyż jak wspomniałem, pamiętam naukę powtórnego chodzenia odbywaną razem z młodszym bratem o 2 lata. Ponieważ człowiek normalnie uczy się chodzić z końcem 1 roku życia, więc ja nie miałem chyba wtedy więcej jak 3 lata. Pamiętam, że najchętniej przewracałem się z początku na pośladki, w czym mnie młodszy brat naśladował. Dowodzi to, że musiałem uprzednio ulec paraliżowi. Prócz młodszego braciszka wszyscy mi wydali się wielkoludami i zastanawiałem się, czy oni mając głowę tak wysoko, mogą widzieć dobrze drobne rzeczy na ziemi? Refleksje te były zapewne wynikiem nieświadomych wysiłków własnych w dokładności widzenia, miałem upośledzony wzrok (niezborność nadwzroczna znacznego stopnia), co uświadomiłem sobie dopiero w szkole. Wada ta uniemożliwia wyraźne widzenie bez nastawienia celowego. To się odbiło na całej mej psychice. Widząc świat zewnętrzny (i to nie kształtny) tylko wtedy, gdy się na coś zwracało uwagę nawykłem właściwie od kołyski do egocentryzmu i pozbawiony byłem w znacznej mierze odczuwania rzeczywistej rzeczywistości i zmuszony do stwarzania sobie własnego świata. Stąd nadmiernie wybujaanie fantazji już od najwcześniejszych dni. Parę charakterystycznych przykładów: symbolizowałem sobie wszystkie nowo zasłyszane słowa. A może trzeba by to nazwać obrazowaniem. Słowo np. „ciąża” było dla mnie długo skojarzone z mrokiem izdebnym, w którym unoszą się w niezliczonej ilości pomarańczowe bańki mydlane. Słowo „choroba” – kostur w kącie oświetlonej lampą izby, na którym zawieszono płachtę. Słowo „człowiek” – olbrzymiego wzrostu włóczęga, popielato ubrany, leżący w stodole na słomie, obuty jeden trzewik, drugi zdjęty. Słowo „nieograniczony” – mały, lilipuci człowieczek mozolnie wygrzebujący się z olbrzymiej kupy ziarna. Gdy pierwszy raz usłyszałem słowo „śledź”, wyobraziłem sobie balię, w której rzędem poukładano pieczone prosiaki. Nie wiem jak mogłem być wtedy duży. Pamiętam, że posadzono mnie na piecu, abym nie przeszkadzał w zabawie w ciuciubabkę starszym. Jako najmłodszy bawił się w tę grę o 8 lat starszy Franek, inni byli starsi, Józek nie był dopuszczony jako za mały. Wnoszę z tego, że nie miałem chyba jeszcze lat 3. Nudziło mnie to oglądanie zabawy z góry i jałem krzyzczeć. Dla uspokojenia mnie któreś powiedziało „Bądź cicho, to jak mama przyjadą z jarmarku to przywiozą ci śledzie”. Znali mnie widocznie, że zacznę medytować nad nowym słowem i ucichnę. Tak się też stało. Jak przez mgłę przypominam sobie taki obrazek: posuwam się na pośladki słonecznego wiosennego dnia (na pewno wiosennego, ten koloryt trawy, powietrza, zapach ziemi jest nie do zapomnienia) po soczystej runi pastwiska (błonie obok ogrodu) ku

pasącemu się białemu koniowi. Jestem już przy zadnim kopycie i sięgam palcami do pęcín. Przenikliwy krzyk od strony domu. Po latach dowiedziałem się, że koń mnie kopnął w czoło, szczęściem z bardzo bliska, więc tylko nadłamał kość czołową. Przytomność straciłem nie wiem na jak długo. To siostra Zosia widziała wypadek przez okno, krzyknęła i wybiegła po mnie. Drugi raz zdarzyło mi się stracić przytomność to pamiętam znacznie słabiej, gdy wybiegłszy w czerwonej sukience na podwórze (było w zwyczaju chłopców do lat 3-4 ubierać jak dziewczynki) zostałem porwany na rogi przez buhaja wychodzącego ze stajni i rzucony szczęśliwie na oborę. Przypominam sobie tylko kasztanowate, sprzężone cielsko i wielki strach. Zawsze też później, gdy mi chciano wzbronić wstępować do jakiegoś tajemniczego miejsca, mówiono mi: „Tam siedzi byk”. To wystarczyło. Pierwszych szerszych wiadomości ze świata udzielał mi Władek Śtyler służący u ojca za parobka. Był on właściwie naszym dalszym kuzynem, bo synem siostry naszej babki Kuligówny. Matkę jego, już prawie na łożu śmierci, biedną komornicę mieszkającą w małej chałupce na „błoni” opodał pamiętam ledwo przez mgłę. Zostawiła kilkoro już wyrosłych dzieci prócz najmłodszego Franka, Olkowego rówieśnika. Troje starszych było nieślubnych, troje młodszych (Władek, Agata i Franek) ślubni po Śtylerze. W chacie pozostała po niej córka siostra Franka, po dziś dzień licząca się niejako do naszej najbliższej rodziny, bo była piastunką całej naszej starszej generacji od Wojtka począwszy na Józku skończywszy. Do niej to, jak dawniej wspomniałem uciekałem, gdy coś zbroilem w domu i nigdzie mi ani w domu tak kartofle nie smakowały jak u niej, choć były postne. Biedne to było dziewczynisko, trochę ułomne bo małe, nieco garbate ale nadzwyczajnie pracowite i uczynne a przy tym gadatliwe i rozsądne. Jej los podzielało zresztą wielu podobnych „komorników” bezrolnych. Żyli z dorywczych zarobków, jakże mizernych po dworach, zamożniejszych gospodarzach, brali od nich zagoniki na odróbki, jak się dało to „na pańskim” podkradali, to przy omłocie, to przy kopaniu coś tam zboża czy kartofli od bogatszego się dostało na konto przyszłego odrobku, na a poza tym głodowało się. Nie lepiej już i teraz na przeludnionej wsi galicyjskiej (przepraszam - małopolskiej).

W parę lat potem wyszła Franka za mąż za sąsiedniego chałupnika Motyla, który owdowiał był. Był to ciekawy typ. Niedużego wzrostu, o drobnym szybkim kroczeniu, z krótko przyszytymi wąsami i nieodłączną fajką, miał w sobie coś z proletariackiego eleganta. Bo też szczyił się (po pijanemu oczywiście) nie lada przeszłością: furmaństwem u jakiegoś obywatela Kieruzińskiego. „Ty psiatreś” to było jego przekleństwo. Był zaprzysiężonym golarzem sąsiadów i nadwornym stolarzem, kołodziejem, cieślą i stelmachem mego ojca. Oczywiście wszystkie te fachy partaczył, co ojcu wcale nie przeszkadzało. Charakterystycznym było, że gdy w późniejszym wieku raz poważnie zaniemógł, to na wieść

o tem ojciec mruknął: „Hm, bestyjo, szkoda go, duchem by coś zdłubał”. Przygłuchy był zawsze a im później tem gorzej, więc żona przywykła mówić bardzo głośno i dziś jeszcze sporo lat po śmierci mówi krzycząc. Co prawda jest to ogólną nawyczką wieśniaków. Bronki np. nie mogłem w żaden sposób utemperować w tym względzie na ulicy, kiedy przyjechała mnie odwiedzić w Krakowie wiosną 1920 roku.

Tak więc Franka została mężatką i przeniosła się do sąsiedniej chałupki zaprowadzając w niedużej izdebce dość miły porządek, tak, że ich dom stał się wkrótce miejscem zebrań sąsiedzkich i pogawędek. Tam po raz pierwszy podziwiałem obraz Adama i Ewy w raju z kuszącym wężem. Dzieci nie mieli. Miała jednak dwie córeczki nieślubne jego siostra i starszą z nich postanowili wziąć za swoją. To jednak dodało im nowego bodźca, by przecież dojść do jakiejś własności poza mizerną chałupiną. Jak zdobyć większy grosz ? Jedyną drogą była emigracja. Motyl jako głuchawy nie nadawał się do tego, wobec tego pojechała, oczywiście za pożyczone pieniądze Franka. Niespełna 2 lata tam była pracując na fermie koło Chicago. Przeżycia tamtejsze, urządzenia zwykłe cywilizacyjne były dla niej tak niezwykłą rewelacją, że ma o czym opowiadać na całe życie. Nie obyło się i bez tragicomicznych historyj. Ktoś złośliwy napisał z Ameryki list słomianemu wdowcowi, że żona zdradza go z niejakim Pomykałą z Wampierzowa i mają oboje uciekać do „cieplej Ameryki”. Biedny „psiotreś” o mało nie oszalał ze wstydu i rozpacz. „Nie ma co, obwieszę się, psiotreś” – zawyrokował potrząsając ostentacyjnie powrozem. Może by i to zrobił, ale pech czy szczęście chciało, że siostra żony Agata, która mu gospodarzyła zaczęła przedrzeźniać jego rozpacz mówiąc po chwili: „Co, jescieście się nie obwiesili ?”. Złość wyraził więc na Agacie sprawszy ją tym powrozem i zapomniał o zamiarze samobójczym. Wróciła wkrótce żona z drobną zaoszczędzoną krwawym potem sumką ale wystarczającą na kupienie koło 2 morgów ziemi na „pańskim” czyli u żyda i wystawienie tam jakiej takiej zagrody. Żeby jej nie była krzywda w tej świadomości, że właściwie pracuje na krewną swego męża tylko, ułożyła jej małżeństwo ze swym bratankiem, synem najstarszego z rodzeństwa. Cóż, nie bardzo się jej wdzięcznie odplacił ten bratanek za dobrodziejstwo, bo i żonę zamęczył i ciotkę wygryźć chciał z jej własnego kąta na starość. Nie darmo jednak życie rozumu nauczyło Frankę. Nie dała się; odstąpiła zięciowi zarazem bratankowi tylko ze względu na dzieci pół domu, odseparowała się i żyje jak dawniej własnym życiem, dzieląc swój czas między własnym kątem i zagładaniem do sąsiadów, głównie Baradziejów, którzy są dla niej naszym dalszym ciągiem.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad tą osobą, bo jest ona symbolem jakże ciężkiej doli tego najbiedniejszego chłopca, po terażniejszymu mówiąc „bezrobotnego”, który jednak

odważnie bierze się z losem za bary i przeważnie zwycięża. Jest symbolem tego przywiązania do skrawka ziemi, który usiłuje zdobyć, utrzymać i powiększyć za wszelką cenę. Jest dalej symbolem trwałości związków rodzinnych, choćby dalszym na naszym wieśniaczym gruncie. Oto ludzie, na piersiach których powinny w pierwszym rzędzie błyszczeć krzyże zasługi.

Gdy nieco podrosłem objąłem od Józka berło świniopasa na błoni. On już pastuchował z Olkiem. Poza tym trzeba było spędzać gęsi i kury. Na tle tych obowiązków kształtowały się moje pojęcia o życiu i prawie. Pozostawało jednak dość czasu na wsłuchiwanie się w brzęk much i komarów (mnie, jako jasnego blondyna febra się nie czepiła, zresztą prawie wszyscy chorowali na „ogroskę”), klekot bocianów, skrzeczenie srok, krakanie gawronów i rechot żabi; wpatrywać się w odbijające się w rozlewiskach kinetowych zorze wieczorne, na zbijaniu bąków z rówieśnikami a głównie z młodszą nieco ode mnie Franką Masejadzianką, z którą pasjami budowaliśmy miasteczka z piasku. Nie w smak to było moim i jej rodzicom, bo zawsze zawiść do macochy i vice versa nie zginęła jeszcze. Stara Masejadzina zaglądała do nas jedynie raz w roku wczesnym rankiem (jeszcze ciemno wtedy było zawsze), gdy szła do spowiedzi wielkanocnej, aby się przeprosić. To nie przeszkadzało oczywiście jędzy w kilka dni potem znów zatłuc kurę lub poszczuć gęś, gdy przypadkiem znalazła się na jej pastwisku. I tak było w roku. Myśmy tam nie bywali nigdy, aczkolwiek to było parę kroków. Wyjątek był uczyniony tylko na wesele ciotki (przyrodniej siostry ojca) i wesele stryja „Dziedzica”. Co prawda druga strona głównie chyba ponosiła winę tej nieprzyjaźni (zresztą jakże częstej między braćmi, gdy o miedzę z sobą graniczą !). Dowodem tego był obkrojony pas murawy, stanowiący granicę naszych posiadłości, o przeszło metr na niekorzyść ojca, który w swej dobroduszości nie protestował zbyt energicznie, gdy zwolna skibę za skibą mu podorywano. Dopiero z chwilą wyniesienia się macochy ustępującej miejsca żonatemu synowi – swary ustały.

Pierwsze wesele na jakim byłem gościem siedząc z dwoma innymi bachorami na piecu było wesele Motyla z Franką Kulig. Odbywało się u jego sąsiedniej krewniaczki z racji większego pomieszczenia, Michałowej „psiacier”. Była żoną Pisarczyka Michała, dalekiego naszego krewnego, typ tatarski, bardzo w koniach zamiłowany tak, że choć ubogi, bo zaledwie pięciomorgowy rujnował się pod koniec życia na chowanie szkapy, którą utuczył jak wołu. W ogóle typy Pisarczyków „po mieczu” bardzo tatarskie przypominają. U nas się zatarty przez przeważający typ nordycki po kądzieli. Rzecz ciekawa, że jednak wspomniana Franka „Motylka” to typ czysto negroidalno-mongolski. I dojdź tu dzisiaj do jakichś rasologicznych wniosków ! Śmieszne rzeczy.

Wesele takie ogrywane było z reguły, jeśli bogatsze, przez 4 grajków, tj. 2 skrzypiec, bassetla i klarnet, jeśli uboższe – bez klarnetu. Tańczono tylko polki i oberki, przeważnie „na okrętkę”, tj. w lewo. Doskonałość w tańcu to ruchy tak równe, żeby szklanka z głowy nie spadała. Dawnych ceremoniałów weselnych już powoli zapominano. Jeszcze były oczepiny z charakterystycznymi śpiewami (Oj chmielu itp.). Melodią ulubioną było „Wesele”, zawodzący, nigdy nie kończący się refren, śpiewany i grany w czasie jazdy od ślubu. Zawodzenie to jednak nie było smętne lecz wesołe. Do tańca refren ten przerabiany był na najrozmaitsze warianty. Tempo mazura. Ten mazur uważany był jednak za pański taniec. Starsza družka ofiarowywała swemu družbie „różgę” tj. bukiet kwiatów opięty na czymś w rodzaju młyńskiego kołowrotka. Do fasonu należało wpiąć między kwiaty owoce sezonu, np. kiście winogronowe jesienią. Drużki we wiankach na głowie, družbowie z bukietami przy czapkach ze zwieszającymi się wstęgami. Wesele, które z reguły sprawiał ojciec panny młodej nie kosztowało go ani 1/10 rzeczywistych kosztów. Musiał tylko, jeśli zamożniejszy, zdobyć się na zarżnięcie krowy czy wołu, na piwo, koniecznie kawę z cukrem. Resztę znosili zaproszeni goście. Wstyd było pójść na wesele z gołymi rękami. Wódka i wino należały do pana młodego. Muzykę opłacali tańczący, wśród nich także „postronni” lub „krakowiacy”, tj. młodzież nie zaproszona i nie ugaszczana ale na tańcach tolerowana. Korowód pojazdów zjeżdżał z muzyką z kościoła wpierw podpiwszy w przykościelnej karczmie, a więc z fantazją wśród wyścigów. Muzyka ta ograła wpierw dom przed bramą, którą zaprosili ją gospodarze złożywszy mały okup do basów. Następnie wychodziła muzyka przed drzwi na spotkanie każdego znaczniejszego gościa. Po zebraniu się gości sadzano ich do śniadania. Była tu tylko kawa biała z białym pszennym chlebem, co uchodziło za wielki rarytas. Do wieczora nie podawano już nic ciepłego, raczono się tylko w komorze napitkami przegryzając serem, chlebem, bułkami z masłem, wyjątkowo wędliną lub pieczonym drobiem na zimno. Muzyka grała prawie bez przestanku, a tańczono do upadłego. T.j. nikt nie upadał, wytrzymałość w tym była zadziwiająca. Dyrygent, t.j. pierwszy skrzypek bardzo zrecznie wzywał granie tuż przed tancerzem, co do którego uważał, że kolej na niego opłacić się. Z nastaniem zmroku zwykle dopiero zastawiano właściwą ucztę weselną t.j. „obiad”. Upraszano przedtem znającą się na rzeczy niewiastę na kucharkę, umiejącą rzecz urządzić masowo. Niewymyślne było menu. Zwykle składało się z: kapuśniaka, flaków na rosole z kaszą jaglaną, sztuki mięsa i pierogów z serem. Wszystko po kolei w ogromnych donicach glinianych obok czarnego chleba jako zakąski, własnymi łyżkami z za cholewy, no a do mięsa bez narzędzi się obeszło. Po uczcie znów tańce aż do północy, gdy zegara nie cofnięto w tył. Nie wolno było tańczyć w piątek. Tak się odbywały skrócone wesela już później i aż do dziś,

ale za mego dzieciństwa trwało zamożniejsze wesele prawie cały tydzień. We wtorek zaczynały się „ogrywiny” u pana młodego, w środę rano a raczej w nocy zjeżdżano po pannę młodą wioząc ją do kościoła, wesele tańczące u panny młodej trwało przez całą środę (właściwie pół, bo koło południa przyjeżdżali) i czwartek. W piątek rozchodziła się młodzież i muzyka, starsi gwarzyli na miejscu popijając, w sobotę dopiero szli się przespać do domów, aby w niedzielę po południu znów zwalić z muzyką na „poprawiny”. Charakterystyczne stroje Lasowiackie kobiety już za mych czasów zarzuciły, u mężczyzn jeszcze się czasem je widziało.

Widzę, że nie opędzę się od dygresji. Ale może to i lepiej. Tych parę, chyba nie więcej niż 3 przedszkolnych lat ciągnęło się bardzo długo. Poza wspomnianą Franką Masejadzianką towarzyszymi mych zabaw byli Jasiek i Wojtek Pisarczykowie synowie Michała. Jasiek był bardzo zręcznym brunecikiem i razem ze mną chodził potem do szkoły. Zmarł mając lat 10. Wojtek podrosłszy wyruszył „do Prus”, skąd wróciwszy pysznił się zegarkiem cebulastym i rowerem. Później zwykłą rzeczą koleją wyjechał do Ameryki i tam się naturalizował.

I jeszcze dość wiele przestawał ze mną Franek Śtylez, najmłodszy brat Motylki i Motyl Jan, zwany przez Józka „lejdac Jan”, pastuch i kuzyn najbliższego sąsiada od wschodu Kapinosa. Imponowali nam obydwaj jako starsi i doświadczeni i niejednych psot nauczyliśmy się od nich. Stary Kapinos, mąż wspomnianej tancerki maratońskiej był typkiem także oryginalnym. Na wpół rozdziawione usta odsłaniały pożółkłe zęby, niedbale przystrzyżone wąsy zawalane były od ciągle niuchanej tabaki. Na równi ze swą garbatą już wówczas małżonką, bo znacznie odeń starszą, używał przekleństwa: „Ty psiadusa !”. Namiętnie pielęgnował swe kwiatowe grządeczki; w szczególności lubił „matercje” (nasturcje) i nagietki. Dla drzew owocowych nie miał zrozumienia. Kilka, na wpół dzikich jabłoni rosło tylko u jego najbliższego sąsiada, wspomnianego Michała, skąd jabłka smakowały mi o wiele lepiej niż własne, jak zwykle cudze. Bezdzienny był Kapinos, ale jego żona miała z pierwszego małżeństwa za Motylem (krewny „psiatresia”) duże dorosłe córki, starszą zameżną już za Chmarą i młodszą Hankę, rówieśnicę Anielki, której wesele odbyło się w roku śmierci brata Janka. Chmarowie mieszkali z Kapinosami razem wraz z swymi córką Jagną i Maryną, nieco młodszymi ode mnie. Jagnę nazywaliśmy „Kotlaską” z powodu bełkocącej wymowy. Była głuchawa, z czasem jeszcze ogłuchła prawie zupełnie. W dobre kilka lat po wojnie powiła nieślubną córkę i jest ona dziś jedyną pociechą starej Chmarzyny, która owdowiała już w roku 1921 straciwszy jeszcze przed wojną synka później urodzonego a w roku około 1930 i drugą zameżną już córkę za Sajkiem, który też zmarł jak zmarła Jagna. Wszystko na gruźlicę. Wnuczkę tę, bardzo ładną i roztrofną dziewczynkę widziałem goniącą

krowy z pola, gdy byłem ostatni raz we Brniu w roku 1936. Ani matka ani babka urodą nie grzeszyły.

Wspomniany Sajek był mocno chuderlawym chłopcem, zresztą było to rodowe; 2 lata młodszy ode mnie. Był synem Wojtka z przydomkiem „Turbucoj”. Turbucoj mieszkał opodal „na górze” o kilkaset kroków od nas w sąsiedztwie swego młodszego brata Błazka. Ożeniony był Wojtek z wdową po Forezku, po którym pozostał mu pasierb, kulawy Forcosek Józek. Miał prawą stopę „końską” tj. chodził na grzbiecie podwiniętej stopy, był parę lat starszy ode mnie, a że obdarzony dużą fantazją i lubił bajdy opowiadać, lubiliśmy pasąc bydło wrywać się do niego. Zmarł przed wojną jeszcze, oczywiście na gruźlicę. Młodsza córka Wojtka Maryna, przystojna i wesoła dziewczucha zmarła nie zamężną ok. 1928 roku. Stary Turbucoj osamotniał, bo i owdowiał już dawno. Acz szkieletowato chudy nie chorował nigdy i wyglądał zawsze obszarpany.

Lepiej się troszkę wiedzie jego bratu Błazejowi. Także patyczkowaty nie przekazał tych cech swemu, dość licznemu potomstwu, gdyż wrodziło się w kościstą żonę, córkę leśnego z Łysakowa Nogi. Za mego dzieciństwa Błazek już zniknął z widowni wraz ze swymi braćmi, gdyż jako wyrostek emigrował właśnie do Ameryki. W parę lat później wróciwszy ciął, niedługo zresztą, jak wszyscy eleganta, aby ożeniwszy się zamienić się w solidnego gazdę.

Tymczasem na widowni było młodsze, przyrodnie Sajków rodzeństwo Jagusia, Józek i Janek Łapowie. Jagna była już w pastuchach, chłopcy mało co starsi ode mnie. Stara Łapina była powiernicą mej matki zwłaszcza odkąd je złączyły wspólne tęsknoty za wyemigrowanymi do Ameryki córkami. Łapina była Pisarczykówna z rodu, siostra Michała i miała przy sobie brata „Kulawego Klimka”. Do końca życia chodził, a raczej kusztykał się na kuli w białej kamizeli i lubił bajdy opowiadać. Zwłaszcza legendy lokalne np. o „dole Wiśniowym” ustrojał fantastycznie. Rzecz znamienita, że każde prawie bagiennie uroczysko w tamtejszych okolicach miało podobną legendę. Zawsze tam kiedyś miał być kościół albo zamek, w którym działy się jakieś bezbożne historie, poczem na skutek przekleństwa zapadał się kościół wraz z ludźmi pod ziemię, na jego miejscu powstawał staw bagienny porośnięty sitowiem i trzciną, w którym w dzień słoneczny i ciche porą południową lub wieczorną straszono samotnika. To zjawiał się ptak niesamowity, to dawały się słyszeć dzwony bijące pod wodą. Do tych są moim zdaniem dwa powody. Pierwszy to dość częste tam w lecie godziny dzwoniącej w uszach ciszy (jak i na odwrót, burz gwałtownych) usposabiających pastuchów do półsnu, w którym łatwo o widziadła. Przelotne, mało na ogół znane ptactwo błotne chętnie korzysta z takich oaz. Drugim powodem to znajdowane w głębi tych uroczysk

sczerniałe i skamieniałe konary i pnie starych dębów, produkt zalewów odwiecznych. Rzeczony „dołek” mieścił się na dworskich polach w miejscu starego łożyska rzeczulki Wiśni.

Opodał na wschód, u końca „błonia”, gdzie zaczynała się już tzw. „łaka” (pas bagnisto-łączny starego koryta Brnia czyli kinetu) tkwił drugi kulawy typek, postrach małych chłopców, gdyż wygrażał im zamiarem „miśkowania”, popierając groźbę ruchem ostrzenia kozika na dłoni. Wyginał on kulawą nogę dziwnie pałakowato w tył. Był to Gaba Wojtek, zwaliśmy go „kulawym Gabką”. Mieszkał, wtedy już parobczakiem, z żonatym kuzynem Sidurem Stachem. Obaj byli muzykantami. Sidur dość partackim skrzypkiem, Gabka zdolnym basistą. Miał on większe jeszcze zdolności, mianowicie blagowania i organizowania podejrzanego typu wyrostków. Wykorzystując swe kalectwo i muzykalność (z dwa najważniejsze powody do posadzenia o spółkę z diabłem) nie miał nic przeciwko zwolna narastającej sławie czarownika. Za dobry poczęstunek potrafił odczarować studnię pełną robaków, wskazać czarownicę, która tego dokonała, wyleczyć kołtuna czy „bóla” itp.

Jak to robił ? Przychodzi chłopina o poradę, bo ma pełno robaków w studni. „Wiecie to wam ktosi ucynił. Ale jo wam poradze: o północy wyczerpiecie studnię do dna, poczem pokropcie ją na czterech rogach wodą święconą na św. Agatę i przy każdym rogu zmówcie „Wieczne odpoczywanie” trzy razy. Potem zakryć studnię dopasowanym wiekiem i nie ruszać aż do następnej północy. W następną noc zrobić to samo, tylko że nową konwią, do niczego jeszcze nie używaną. Na trzecią jeszcze powtórzyć z tym, że trzeba wejść do studni po wyczerpaniu wody, wybrać wszystek muł i wtedy wodą święconą we Wielką Sobotę pokropić. Konewkę umocować na stałe do „kuli” żórawia i do niczego więcej jej nie używać. Także wieko opatrzeć w zawiasy”. Oczywiście po wykonaniu tych zabiegów chłop miał dobrą wodę i rozpływał się z wdzięczności i podziwu dla czarodzieja. Gdyby mu ktoś świątły zwyczajnie poradził nie chciałoby mu się tego wykonać nigdy. Ciekaw był przecie, kto mu to „ucynił”? Gabka nie w ciemię bity, za nowy litr gorzałki daje taką radę: o świcie z piątku na sobotę (koniecznie wtedy) wyjmijcie z narożnika dachu siódmą „kickę” (specjalny snopek słomy poszyciowej) z siódmego zębu (na narożnikach dachów przytwierdza się często dla ozdoby tęgie snopy, każdy złożony z 12 kicek, jeden nad drugim, tak że powstaje schodkowaty wał zębaty) licząc od dołu. Narożnik ma być od strony południowo-wschodniej. Zszedłszy na ziemię odmierzcie od tego narożnika kroków 77 w kierunku wschodzącego słońca. Wtedy zapalcie kickę i patrzcie, kto się wam pierwszy ukaże, jego to była sprawa”. Oczywiście pierwsza się zjawiła sąsiadka zaciekawiona co się pali w pobliżu na polu. A że zawsze sąsiedzi mają ze sobą na pieńku, więc tym łatwiej chłop uwierzył w prawdziwość

wrózby. Szczęściem dla niego skończyła się na pyskowaniu, bo jak twierdził, z czarownicą nigdy nie wiadomo co, w rzeczywistości stchórzył, bo baba była Herod i nie zostawiłaby na nim chyba suchej nitki.

Tak to se Gabka basował, ludzi tumaniał, łobuzów szkolił gdzie i jak podkradać należy i wiodło mu się, choć biedny nieźle. Ożenił się z Hanką Niziołkową siostrą Jana Niziołka., drugiego męża Michałowej. Gabina była chodzącym telegrafem, pierwsza wiedziała zawsze każdą nowinę i momentalnie ją roztrąbić potrafiła. Po śmierci męża, który zmarł w roku 1922 na swoje „szkrofle” które miał od dzieciństwa (gruźlica gruczołowa a może promienica) wsławiła się tym, że uwiodła, mając ok. 40 lat swego zięcia i przyprawiła swą córkę o przedwczesną śmierć ze zgrzyoty. Właściwie córka zmarła też na gruźlicę. Mieszkali na „górcie” w chacie zbudowanej na parceli obok Turbucaja.

Sidur Stach był chłopem jurnym, w pretensjach do elegancji i zuchowatości. Blond wąsy zadzierzyście zakręcał do góry i mędrkował kręcąc głową. Z kupą dzieci biedę klepał na „Sidorówce” i dopiero po wojnie uśmiechnął się mu trochę los, gdy z dawna zasiedziały w Ameryce starszy brat Wojtek wrócił z pewną gotówką i wyremontował przyzwoicie chałupę. Cóż, niedługo się cieszył zmianą losu, bo wkrótce zmarł na raka żołądka.

Obok Sidura miał swą chałupkę małorolny wyrobnik Weze Antoni, Niemiec z pochodzenia. Flegmatyczny, powoli mówiący o chwiejnym chodzie budził tajony respekt, gdyż wiadano o nim, że swego czasu zakłuł z zimną krwią kozikiem parobka, który go usiłował poturbować. Z pierwszą żoną, jazgotliwą „ślepą Wezerką”, krótko „Ślepką” (wcale nie była ślepa, tylko z wiecznie zmrużonymi oczyma) miał dwóch synów i dwie córki. Z nich tylko Brygida, wołana Bronką była do ludzi podobna, reszta tępaki i kretyny. Z drugą żoną, też typkiem z wodewilu przeniósł się już Weze w czasie wojny na nowe, rozszerzone gospodarstwo obok Motylów na „pańskie”.

O kilkadziesiąt kroków dalej na wschód od Sidura stała zagroda Gąsiora. Był on wtedy już noszącym się bez zarostu starcem, wraz z żoną na wycugu przy córce Kuskowej, sławnej pono za panieństwa swawolnicy. Jego zwłoki gdy zmarł były drugie, jakie w swym życiu widziałem, a pierwsze jakie widziałem już z pewną świadomością i odnośnymi refleksjami. Kusek, zamknięty w sobie chłop skończył w kilka lat później samobójczym strzałem śrutem z fuzji pod brodę, gdy wiedział, że czeka go nieuchronna śmierć na gruźlicę. Ludzie mówili, że była to kara Boża za to, że w jego domu zagłodzony został formalnie mały chłopiec, sierota, nieślubne dziecko ich krewnej Karoliny Tłuszcz, która zmarła na ospę. Pamiętam doskonale „pogrzeb” tego dziecka, gdyż miałem wtedy już 10 lat. W chłodny październikowy czy marcowy pochmurny dzień Kusek niósł pod pachą zbitą przez siebie z

surowych desek trumienką, a drugą mniejszą niósł jego syn Jasiak, mój rówieśnik. W tej małej był trupek synka Turbucajki nieślubny (Turbucaj był wtedy w Ameryce). Kuskowa w parę lat potem wyszła za mąż za Krępę z Chrustowa. Przyszędłszy na jej wesele zabawiałem się wyręczaniem klawecisty. Dziś już na tym miejscu nie ma nic, a ludzie bądź pomarli bądź rozpierzchli się.

Nieco dalej w bok, ku południowi, już przy gminnej drodze stało obok zarosłego, bagnistego stawu gospodarstwo drugiego Niemca Werca Johanna. Również zresztą spolszczony jako katolik. Był to już stary, z nieodłączną fają chłop, który już tylko krowy pasał a gospodarstwo prowadził młody zięć Cieśla. Typ Ślimaka z Prusa wytrwale podorywający sąsiadom skibę po skibie nie gardząc i drogą gminną. Stara Wercka, która przeżyła jeszcze wojnę znana była z krzykliwego jazgotu i powiedzonka „jak tego nie to”. Na wypadek wojny obiecywała sobie wleźć w spróchniałą wierzbę. I oni też wynieśli się z czasem „na pańskie”, tj. nieco na południe powiększając gospodarstwo.

Obecnie więc od Sidura ku Czerminowi nie napotyka się już chałup aż kilometr przeszło tuż u ujścia Wiśni do Brnia, czyli w kącie granicznym Szafranowa, Czermina i Brnia. Tam byli z dawna Borońscy. Za mych czasów żył tylko jeden z braci Wojtek, wdowa po drugim była za Rybakiem. Z dwóch obok siebie osad (i dwóch wiatraków) dziś zrobiło się już kilka chałupinek małorolnych potomków. Na szczęście ten zakątek to przeważnie żyzna rędzina, nie tak jak w reszcie wioski, gdzie przeważają grunta półpiaszczyste.

Tak więc scharakteryzowałem me otoczenie młodych lat. Szlak ku wschodowi był najważniejszy, bo prowadził ku kościółkowi parafialnemu w Czerminie i ku „łące” czyli głównej połaci naszego gruntu, gdzie najczęściej wyganiało się na wypas bydło. Tuż za Borońskim kończył się, bo przecinał Breń. Zejść trza było groblę łąkową, potem na „ławę” czyli kładkę, znów na łąkę już Szafranowską koło Bugajów, później Czajów by dostać się na gościniec Szafranów – Czermin. Ten niespełna kilometr drogi „gościńcem” już po dziś dzień jest istną fortuną pieszych w mokry czas. Zwłaszcza w miejscu, gdzie przecina stare koryto Brania. Nogi ledwo można wyciągnąć z lepkiej gliny.

Nim jeszcze zacząłem pasać bydło zbijałem, jak się rzekło, baki bliżej domu i z tych to czasów datują się me wspomnienia o starszym już nie żyjącym rodzeństwie. Niecierpliwie oczekiwałem nadejścia feryj świątecznych czy letnich, kiedy to przyjechać mieli z Tarnowa Wojciech i Janek. Zawsze bowiem przywozili jakieś łakocie i dom cały się ożywiał. Gra Janka wydała mi się czymś niedoścignionym W dodatku frapowały mnie ich mimowolne opisy „wielkiego” miasta. Dopelnilo miary wyświetlenie przez Janka przy pomocy latarni magicznej przeźroczy z widokami Tarnowa. Zlecieli się na te „komedyje” (dla tamtejszych

ludzi widowisko to „komedyje”) dzieciaki ze wszystkich sąsiednich chałup. Wbiło mi się też w pamięć następujące zdarzenie: w dużej izbie był zastawiony na środku długi stół, przy mnie pełno gości, wśród nich zwracał mą uwagę mężczyzna ubrany w niebieski mundur z żółtymi świecącymi się gwiazdkami. Zapewne żołnierz pułku piechoty na urlopie. Był wieczór. Siadałem przymilając się temu żołnierzowi na kolana. Obdarzył mnie grajcarem (moneta miedziana wielkości i wartości ok. 5 groszy), z którym pobiegłem do kuchni, aby się nim pochwalić przed Józkiem i Olkiem i następnie połknąłem tę monetę zgrabnie, poczem oznajmiłem to z tryumfem gościowi. Obdarzył mnie wtedy dużą monetą miedzianą, zapewne już wycofaną z obiegu, z którą już tej sztuki nie mogłem dokazać i zły rzuciłem w ogień pod „blachę”. „Blachą” nazywano płytę kuchenną. Połączone było palenisko z piecem ogrzewalnym większego pokoju; ten oszczędny system jednak mocno kulał i życie w zimie głównie koncentrowało się w kuchni.

Gdy miałem lat 6 jęła mnie siostra Zosia przygotowywać do szkoły na II stopień, tj. uczyła mnie czytać, pisać i rachować. Oberwałem po uszach gdyż nie była zbyt cierpliwą. W każdym razie kierownik szkoły w Kawęczynie, mój chrzestny ojciec Kolman Roman uznał, że edukacja już wystarczająca. Dobrze pamiętam ten „egzamin”, który polegał na dobrotliwym potarganiu mnie za jasną niesforną czuprynę. Sakramentalnie zaprowadziła mnie wtedy matka na „zapisy” jak i inne to robiły. Zacząłem wtedy bliższą znajomość z córkami chrzestnego, starszą Helą, średnią Manią, moją rówieśniczkę i młodszą Zosią. Uraczyły mnie tak jabłkami, że wracałem z pobołowaniem w brzuchu.

Zaczęła się szkoła. Mieliśmy do niej 4 km drogi, którą niby to można było skracać, a właściwie urozmaicać. Zasadniczo szło się „między górami” tj. piachem obok Miłoninka, można je jednak było ominąć skręcając z Podbrowarza na „Budy” lub znacznie wcześniej z pod stryja Błażeja ścieżkami na „Zagrody”. Trasa wiła się i na Budy i na Zagrody w zimie, gdy dobry mróz ścisnął, bo jechało się „krzywoca” (na brzegach podkówek z uniesionymi stopami) z pod domu kinetem pod Walczaków – Zagrody, ku Budom – Błoniom do Kawęczyna. Szczytem finezji w takiej jeździe było zostawiać jak największą koleinę; mistrze jeździli „na jednej kresce”. Szkołka była murowana, zbudowana dość tandetnie; mieściła 2 sale do nauki z jednej strony a mieszkanie kierownika z drugiej. Za mych czasów największy pokój tego trzypokojowego mieszkania był już odstępiony na klasę i uczył się tam stale I i II stopień klasy pierwszej. Program był bowiem taki, że były klasy 3, do każdej z nich chodziło się 2 lata, z tym, że do pierwszej oba stopnie, niższy I i wyższy II, nie chodziły razem, lecz wyższy przed południem, niższy po południu. W 2 i 3 klasie oba stopnie chodziły razem i nauka trwała z godzinną przerwą w południe od 8 rano do 15-tej. Oczywiście nieliczni tylko

wykorzystać mogli przerwę obiadową na pójście do domu na obiad. Większość pożywiała się przyniesionymi w torbie, służącej również za tornister, chlebem z dodatkiem twarogu, masła albo i suchym. Właściwie więc była ta przerwa przeznaczona dzieciom na odetchnięcie świeżym powietrzem. Podwórko było za ciasne, latem lub wiosną kierownik zawsze wynalazł jakieś ciekawe zajęcie w ogrodzie, ale przeważnie sypało się bractwo na gościniec i urządziło tam „wojny” pacynami czy kulami śnieżnymi.

Na poddaszu były 2 pokoiki zajmowane przez młodszy personel nauczycielski, zwykle żeński. Razem z kierownikiem było 3 siły. Gdy ja przyszedłem do szkoły była tylko pomocnicza siła kwalifikowana, drugą zastępowała żona kierownika, przedwcześnie postarzała dobra babina, lecz oczywiście bardzo naiwnie prowadząca naukę, co bachory oczywiście wyczuwały i robiły despekty ile wlaźło. Na ogół dzieciaki były dosyć zdolne. Sam robiłem ponoć postępy nienajgorsze mimo domowego wstępnego przygotowania, odczuwałem natomiast przykro konieczność siedzenia w pierwszej ławie, bo należało do fasonu siedzieć jak najwięcej w tyle. Niestety, w szkole się dopiero przekonałem, że widzę źle. Gorzej szło z nauką religii, choć wydaje mi się, że wielu innych nie było pod tym względem lepszych ode mnie. Później dowiedziałem się, że nie było to bez rozmyślnego powodu. Był to czas ostrej walki politycznej, jaką wydał biskup tarnowski, świeżo upieczony za wpływu ks. Sanguszki – Wałęga, chłop z pochodzenia i jako taki poczuwający się do obowiązku i na siłach do przeciwstawienia się radykalnemu ruchowi chłopskiemu reprezentowanemu przez ks. Stojalowskiego a później Stapińskiego. Za poparciem dążącej o swą skórę magnaterii stanął na czele stworzonego przez siebie ruchu „katolicko-ludowego” i we wyborach do parlamentu wiedeńskiego forsował swoich, np. księży kandydatów, w okręgu mieleckim ks. Kopycińskiego. Jego kontrkandydatem z ramienia ludowców był działacz chłopski z Paduż – Krempa (zmarł niedawno, był jeszcze w roku 1930 posłem na Sejm jako 87 letni). Stronę tego Krempy trzymał ojciec i Kolman. A że wykonawcą miejscowym woli biskupiej był czermiński kanonik ks. Szurmiak, zacięty góral, więc prośbami, obietnicami i groźbami, nie cofając się przed publiczeniem z ambony, ostentacyjnym odmówieniem udzielenia komunii św. W kościele starał się nagiąć ich do swej woli. Gdy to wszystko nie zdało się na nic, stary paroch nie omieszkał wyrzucić zemsty. Ojca ogłosił publicznie bezbożnikiem jak się rzekło, przez swe wpływy pozbawił go, więcej zresztą kłopotliwego niż intratnego urzędu, Kolmana pod pozorem, że użyczał sali szkolnej na zebrania polityczne przeniesiono w dalekie strony, gdy w Kawęczyn już wrósł, był tam pionierem nowej szkoły i wychował dwa pokolenia. Zemsta miała dotknąć ojca i przeze mnie. Pod pozorem, że jestem za mało rozwinięty, jako za młody (opuszczony I stopień) zapewne z

polecenia parocha sympatyczny zresztą grubas wikary ks. Szablewski, pełniący funkcję dojeżdżającego katechety wlepił mi, po dzisiejszemu mówiąc czwórę na koniec roku. Skończyło się na tym, że cichaczem chodziłem mimo wszystko do klasy 2 a tylko na lekcje religii zostałem się w klasie 1. Równocześnie jednak podkuwałem zawzięcie materiał religijny z klasy 2 zwłaszcza biblię, co mi zostało na całe życie. Przytem dostałem się w ręce kwalifikowanej i energicznej nauczycielki, która umiała zaciekać. Podbiłem ją sobie dobrym muzycznym słuchem, co jej ułatwiało za moim przewodem naukę śpiewu w tym niezbyt muzycznym środowisku. Koniec końców na popisie z końcem roku byłem główną atrakcją, co już katechecie zamknęło usta i przyjął szwindel milcząco do wiadomości.

Z rodzeństwa chodził ze mną do szkoły z początku tylko Józek (Olek już doksztalał się w Mielcu, potem w Tarnobrzegu), który raz mnie wyciągnął na wagary, gdyż nie miał odrobionego zadania rachunkowego, za co Kolman walił „w pokładankę”. Ja oberwałem odeń tylko raz, gdym został przyłapany na struganiu ławki kozikiem. „W łapę” obrywało się bardzo często, najczęściej za nieuwagę. Najwyższą polityką było przekupić czymś ulubienca nauczycielki, który miał obowiązek dostarczać jej wierzbowych prętów pogromczych. Wtedy nacinał on je niewidocznie i po paru uderzeniach łamały się w kawałki. Ofiary częstszych „pokładanek” wszywali sobie w spodnie kawałki kozuchów itp. Zresztą nie można powiedzieć, żeby te metody miały ludzi zrażać, chyba zarozumiałych i głupich. Dzieci same respektowały i poważały zawsze tego więcej co bił niż łagodnego, a później, retrospektywnie nie mieli słów uznania dla surowszej metody.

Ewenementem, który może zadecydował o mych losach był nowy nauczyciel, zastępujący kierownika po wydaleniu Kolmana, niejaki p. Gawron. Bardzo energiczny i dobry pedagog, pięknie zwłaszcza wykładał geometrię, historię i geografję. Kijaszkim też nie gardził. Otóż lubił on urozmaicać nam (było to już w klasie 3) jakąś aktualność programu dopasowanymi obrazkami powieściowymi. Gdyśmy czytali ustęp o obronie Częstochowy i było tam zdanie: „Wtem pęka największa szwedzka armata a Szwedzi krzyczą: Czary! czary!” – nie omieszkał nam wg Sienkiewicza objaśnić, kto był tym sprawcą, jak się wydostał z rąk oprawcy, jak mu rozpaloną smołą dopiekł etc. Strasznie mnie to zaintrygowało. Wprawdzie przed laty jeszcze, nim do szkoły chodziłem, obserwowałem jak matka, ojciec i starsze rodzeństwo, głównie Zosia i Franek namiętnie coś czytali i opowiadali, ze zdumieniem oglądałem drewniane szable, jakimi Franek z Zosią pojedynkowali się, zapewne zabawiając się w Bohuna i Wołodyjowskiego, ale aż dotąd pozostawało dla mnie obce, co to było. Moja ciekawość literacka była już wprawdzie rozbudzona, najpierw powiastkami kalendarzowymi z aktualnościami anglo-burskiej wojny, potem fragmentami jakiegoś starego, na pół

przedartego podręcznika historii polskiej, z której najwięcej mi utkwiły dzieje Floriana Szarego pod Płowcami, później ilustrowanymi wyjątkami z „Pana Tadeusza” w kalendarzu (najwięcej imponował mi Gerwazy), ale do powieści dłuższej czułem jakiś, może zresztą bardzo racjonalny wstręt. Tamta stara trylogia gdzieś się na pożyczkach zaprzepaściła. Traf chce, że w tym czasie, tym „przypiekany” wykładzie przyjechał na ferie Wojtek z Tarnobrzega i przywiózł nowe, jubileuszowe wydanie trylogii. Z zapalem wzięli się znów starsi do ponownego czytania. Mnie jednak odstraszał drobny druk i grubość. Raz jednak, przerzucając z nudów kartki II tomu „Potopu” wpadło mi w oczy nazwisko Kmicic zasłyszane od Gawrona. Zapytałem Franka, czy tu pisze o obronie Częstochowy i o armacie wysadzonej ? Otrzymaawszy potakującą odpowiedź wertowałem, aż znalazłem to miejsce. Potem nawróciłem do początku tomu, potem III, na ostatku I. Od tej chwili przepadłem. Każdą wolną chwilę spędzałem nad książką, póki było w domu co czytać. Źle powiedziałem – wolną chwilę -, bo przede wszystkim przy krowach w polu, gdzie najwięcej przepędzałem czasu. W zimie trochę wolnego czasu znaleźć można było tylko w wieczór przy kaganku. Wtedy najczęściej czytało się na zmianę w głos i dla innych. Zajętych zwykłą wieczorną pracą, jak: obieraniem kartofli na dzień następny, darcie pierza itp. Skorzystały może najwięcej na tym krowki nie dogłądane zbyt pilnie a ucierpiały pobliskie „szkody”. Bez wątplenia ucierpiała na tym i moja duchowość więcej niż zyskała. Zysk przedstawiał się w postaci rozszerzenia widnokręgów myślowych, przyswojeniu sobie wielu nowych pojęć, pewnym wyrobieniu stylistycznym i łatwości pisania. Szkoda polegała na chorobliwym rozbujaniu fantazji, cofnięciu się jeszcze większym we własny świat marzeń przy równoczesnym zapoznawaniu rzeczywistości. Jeśli w życiu przeważnie jednak nie ulegałem tej fantazji, to zawdzięczam tylko bardzo mocno rozwiniętym podświadomym instynktom. W dodatku wyężaniem zbyt mocno oczu, przyprawiłem się o przedwczesną starowzroczność. Zaczęła się już w 40 roku życia i postępuje szybko, tak że obawiam się zaćmy. Nie dziwota, przy mej wadze wrodzonej zmuszony byłem zawsze intensywnie pracować aparatem nastawicznym i to bez przesłonki, bo chwile wytchnienia kosztowały mnie ztratę widzialnej świadomości i brano mi niejednokrotnie za złe, np. niepoznanie znajomych osób na ulicy. Wysiłone czytanie niezbyt wyrazistych druków i przy świetle pozostawiającym nieraz dużo do życzenia przyczyniało się walcie do zmęczenia oczu.

Zapas książek do czytania, jak na wieśniaczy dom, był dość spory. Zawdzięczał swe istnienie starszym braciom uczącym się w Tarnowie. Była to dorywcza zbieranina rzeczy dobrych i nędznych powieści, niektóre odcinkowe pozszywane. No, ale co najważniejsze była tam trylogia, „Pan Tadeusz”, „Lila Weneda”, „Grimy”, zbiór nowel Sienkiewicza, jedna

powieść Kraszewskiego, zdaje się „Dola i niedola”, jedna Kaczkowskiego „Bracia ślubni”, jedna Bałuckiego, jedna jakaś indiańska i kilka przekładów bardzo wątpliwej wartości. Pod wpływem tej lektury ekscentryczny stan zadumy spotęgował się jeszcze, gdyż zacząłem wzywać się w dzieje mniej czy więcej udanych autorowi bohaterów. Ucierpiały najwięcej na tem biedne zielska na pastwiskach ścinane patykiem wyobrażającym Zerwikaptur Podbipięty. Temu czytaniu zawdzięczałem swe więcej niż przeciętne postępy polonistyczne w gimnazjum.

Z pośród rówieśników w szkole najniebezpieczniejszymi moimi rywalami byli: Rzępała Michał, syn wyrobnika, bardzo zdolny chłopak oraz Boroński Jan syn fornala. Boroński bardzo wczesnie zmanierował się stawszy się namiętym palaczem tytoniu, życiowo był morowszy od Rzępały, bo wyszedł ze środowiska znanego w Małopolsce pod nazwą „piekło”. Tak nazywano czworaki, gdzie mieszkała służba folwarczna. Ciasnota zamieszkania w tych pieklach do tego swoista atmosfera moralna wśród fernalstwa, znacznie odbiegająca od prostoty i surowości obyczajów kmieci – usprawiedliwiały tę nazwę. Jazgot babi, wrzaski dzieci, intrygi i pół jawne parobstwo usprawiedliwiały ją też. Choć, jeśli porównam ten nędzny byt mieszkańców „piekła” (w dodatku na nędznym żydowskim folwarku) z bytem służby folwarcznej oraz czworakach w Wielkopolsce, to wydaje mi się, że tamtym jednak wiodło się lepiej.

Rzępała był pieszczonym w domu jedynakiem i w szkole trochę lizusem. Górował nade mną, co mnie o tyle bolało, że zbliżał go ten fakt, jako prymusa do prymuski w klasie, w której byłem beznadziejnie zakochany. Oczywiście więcej tu znowu było wpływu lektury niż samej osoby, choć nie można powiedzieć, żeby dreszcze fizycznych odczuwań były mi obce. Lat miałem dopiero 10, ale pod wpływem przyrody i koleżków ciekawych i podglądających, a tacy zawsze się znajdują, byłem już o ile w tym wieku jest możliwe, płciowo uświadomiony. Ba, więcej nawet, przeżyłem w tym czasie pierwszą próbę uwiedzenia mnie przez koleżankę o 2 lata ode mnie młodszą, niejaką Marysię Skawińską, córkę fornala z piekła. Dość ładna i rezolutna dziewczynka oświadczyła mi wprost w czasie jednej z wędrówek ze szkoły, że jestem ładny, że się jej podobam i usiłowała mnie wciągnąć do żyta. W odpowiedz zaczerwieniłem się okropnie, bo już rozumiałem, po co mnie tam ciągnęła i sprawiłem jej lanie z kilku powodów. Po pierwsze poczucie ciężkiego grzechu – miałem głęboko zakorzenione, po drugie wyobrażałem sobie, że grzech ten musiałby mieć widoczne skutki jak u dorosłych, po trzecie uważałem sobie za ujmę zniżyć się do smarkatej, po czwarte i zapewne najważniejsze, moje erotyczne myśli krążyły już gdzie indziej. Nie przeszkodziło to dziopie adorować mnie platonicznie na odległość aż nie pocieszyła się gdzie indziej.

W dobrych kilka lat później dowiedziałem się, że będąc na emigracji w Ameryce popełniła samobójstwo z powodu zawodu miłosnego. Wspomniana moja pierwsza miłość nazywała się Anna Kierysiówna, o rok starsza ode mnie, bardzo zdolna i rezolutna, szatynka z ciemnymi prostymi brwiami, brunatnymi oczami o pięknie wykrojonych, malinowych wargach. Nosiła się gustownie i czysto, co było u tamtejszych dziewcząt dość niezwykłym i przyrównywałem ją do Anusi Borzobohatej, co jej zresztą niezbyt imponowało, bo trylogii nie czytała a nazwisko uważała za troszkę ubliżające. Zresztą szelma zdawała sobie sprawę ze swego wpływu i nie omieszkała kokietować, oczywiście nie tylko mnie. Swoje afekty, których się zresztą wstydzilem, wyrażałem dokuczaniem swemu ideałowi, gdzie się dało. Widać było, że znała się na tem. W gruncie rzeczy traktowała mnie tak jak ja Skawińską, tj. jak smarkacza, a z pewnym uznaniem zaczęła się odnosić do mnie, gdy zrobiła odkrycie, że ... bardzo jestem podobny do mego, o 8 lat starszego brata Franka. Był on bowiem wtedy lubiany i znany jako pierwszy „figlarz”, tj. stanowił główną atrakcję widowisk kolędowych i weselnych własnego najczęściej pomysłu. Wyszła Hanka mając lat 18 jako dorodna dziewczyna za statecznego włościanina Padykułę z Wadowic (blisko Brnia). Zadurzenie to trwało dobrych kilka lat i współistniało nawet z drugim porywem, gdy miałem lat 13. Wygasło z wolna z powodu odłączenia. Gdy dziś to zjawisko analizuję, muszę stwierdzić, że słusznie są jednak przysłowia w rodzaju: „Stara miłość nie rdzewieje”, „pierwsza miłość jest tylko pierwsza”. Przede wszystkim dlatego, że na jej wzór kształtują się następne. Typy, choćby najidealniejsze, jeśli są wyraźnie inne niż pierwszy ideał, odczuwa się jako obce. Wszystkie moje późniejsze sympatie, nie wyłączając własnej żony miały w sobie coś z Hanki Kierys. Wiek, w jakim to wszystko przeżywałem (od 10 lat) powinien dać dużo do myślenia pedagogom a zwłaszcza rodzicom, skłonny do późna uważać swe bachory za durne niewiniątka.

W tych czasach opuścił nas Franek wyjechawszy do Ameryki. Józek objął po nim berło parobka, poświęcał się koniom i poważniejszej pracy na roli jako pomocnik ojca, nawisem mówiąc bardzo dzielny; krowy, jałówki i cielęta przeszły już pod mą wyłączną władzę z bratem młodszym Tadkiem jako pomocnikami. Powoli wciągałem się do cięższych prac gospodarczych, jak żęćcie zboża, zbieranie za kosą, wiązanie snopów, okopywanie, młocka cepami itp. Na ogół lubiłem te prace prócz trzech 1) grabienia siana (coś podświadomego buntowało się we mnie na konieczność ciągłego powtarzania tego samego trudu, w przeciwieństwie do robót żniwnych, gdzie raz dokonana czynność już się nie powtarzała, gdzie istniały niejako ramy organizacyjne), 2) rżnięcia siczki, 3) mlenia w żarnach. Tu nie mogłem się wydziwić, dlaczego ludzie marnują tyle czasu, sił i zdrowia na te

prace, które przy pewnym, niezbyt dużym staraniu można by zastąpić siłami przyrody. Staranie o inwentarz żywy zacząłem już doprowadzać do pewnej perfekcji i coraz więcej znajdowałem w tym upodobania. Miały się jednak moje losy potoczyć odrębnymi kolejami.

W roku 1903 ukończyłem szkołę ludową w Kawęczynie i rok następny zacząłem, jak normalnie uczęszczać na „niedzielną” tzn. na naukę dopełniającą, po 2 godziny 2 razy w tygodniu wieczorem. Nauka ta niby obowiązywała, ale nie podpadała już pod przymus szkolny, więc korzystała z niej już znacznie zmniejszona liczba uczniów i uczennic. Jednych, światlejszych pchała tam żądza uzupełnienia swych wiadomości, drugich, więcej łobuzowatych pewien fason i sposobność do poflirtowania z koleżankami. Program tej nauki uzupełniającej było trzeba przyznać bardzo dobrze przemyślany. Grubaśny podręcznik zawierał stosowane rachunki, wzory korespondencji, a głównie szczególnie ciekawych, pouczających o gospodarstwie anegdot oraz wybranych wyjątków z literatury klasycznej oraz z historii i socjologii. Także, jeśli porównam programy ówczesnej szkoły przymusowej z programem dzisiejszych szkół powszechnych, to nie mogę opędzić się myśli, że jednak dawna szkoła „zaborcza” dawała więcej. Dziś mamy więcej przedmiotów, więcej są rozdęte, lecz rezultaty końcowe nikłe. Jednego teraz uczy się w szkole powszechnej więcej, geografii, historii powszechnej o przyrody. Jeśli rozszerzone nauczanie przyrody jest w szkołach miejskich usprawiedliwione (choć wątpię w skuteczność podręcznikowej nauki dzieci) to w szkołach wiejskich jest ono stratą czasu. Myśmy umieli mniej geografii kraju rodzinnego. Na wsi jak w mieście obowiązywało 8 letnie nauczanie (2 lata czy nawet 3 dopełniającego na wsi i 4 wydziałowego w mieście), co się bynajmniej dzisiejszego 7 letniego okresu nie potrzebuje wstydzic. Szkoły wiejskie miały 6 letnią naukę przymusową, miejskie 4 letnią, bo były nastawione na przygotowanie do szkoły średniej. Stąd już na 3-cim roku nauki był język obcy, tj. niemiecki. Otóż tylko w tym jednym fakcie szkolnictwo małopolskie za mych czasów odczuwało, że jest „zaborczym”. Poza tym młodzież była wychowywana bodaj czy nie lepiej po polsku niż dzisiaj. W składzie podręczników 90% materiału historycznego obejmowało dzieje Polski a tylko 20% dzieje monarchii austro-węgierskiej z punktu widzenia zresztą czysto dynastycznego, tak, że prawie zawsze wplątywany był właściwie w dzieje Polski. Podręczniki znaliśmy tylko 3 w każdej klasie: 1) czytanka zawierająca na dany rok program historii, geografii, przyrody, etyki (dość dużo opowiadań i wierszy z domyślnym morałem) i wyjątki z literatury pięknej (ale własnych), 2) podręcznik religii (katechizm i biblia), 3) książka rachunkowa. Obowiązywała właściwie tylko czytanka, którą otrzymywało się za 20 centów (ok. 60 groszy). Wydawało je wielce zasłużone w tym względzie Ossolineum. Okładki płócienne i mocne pozwalały kształcić się na jednej książce kilku

generacjom, gdyż nowe wydania były rzadkością i prawie nie zmieniane. Nad programami pracowali świątli ludzie we lwowskiej Radzie Szkolnej Krajowej, której długi czas przewodniczył Michał Bobrzyński, zasłużony historyk. Szkolnictwo, wychowanie 2 pokoleń Polaków, filarów Odrodzonej Polski, oto nieoceniona należycie zasługa konserwatystów małopolskich krakowskiej szkoły zwanych „Stańczykami”, od pierwszego awangardowego pisma, które wydawali – „Tekka Stańczyka”. W historiozofii swej przyczynili się może do kompleksu niższości wśród Polaków, gdyż dopatrywali się w dziejach naszych wiele zła, które jedynie miało być powodem upadku państwa. Oni to jednak przez zręczne zawładnięcie umysłem monarchy (Franciszek Józef I był łasy na wiernopoddańcze pochlebstwa, zwłaszcza, gdy były podane w pseudonaukowym historiozoficznym sosie, przy tym jako surowy tradycjonalista mierzył się najbliższym otoczeniem, które na gwałt pod wpływem industrializmu, nowych fortun mieszczańskich kołtuniało a imponowała mu staroświecka magnateria polska, wśród której znalazło się akurat kilka tęgich głów, jak Gołuchowski, Dunajewski, Biliński, Badeni, Połoski, Bobrzyński, Tarnowski. Ci to ludzie trząść zaczęli Austrię, zreformowali jej finanse, rozwinęli życie kulturalne i samorządowe, wreszcie i parlamentarne państwo, dając mu tę atrakcyjność, jaką dawniej cieszyła się tylko Francja, bo dziwnie się w tym państwie ludzie uczuli swobodnie. Pogodny typ wiedeńczyka, do dziś podziwiany – to dzieło polskich mężów stanu. Co więcej, ośmielę się zadać kłam tendencyjnej legendzie o nienaturalnym zlepku austriackim, o gwałtownych rzekomo dążeniach odśrodkowych najróżniejszych nacji itp. bredniom. Jakie to było rozbitcie, to najlepiej świadczy o tem ta „pozlepiana” armia, która z ambicji żołnierskiej potrafiła się jeszcze bić z Włochami, gdy nie było już Naczelnego Wodza, ba, państwa samego. Jak się tymczasem zachowywały „narodowe” armie rosyjska, niemiecka po klęsce, ba nawet francuska i angielska po zwycięstwie, bo przecież niewykorzystanie zwycięstwa i dopuszczenie do rychłego zagrożenia odwetem w gruncie rzeczy zawdzięcza świat załamaniu się moralnemu także żołnierza zwycięskiego, który już za nic nie chciał ryzykować życia, gdy pokój był tak bliski? – Nie miały prawie te czynniki wpływu na Cislitawię (Franslitawię) tj. na królestwo Węgier, bo tamtejsza feudalna magnateria zazdrośnie strzegła swych wpływów i zdążyła już była wywalczyć (z dość naiwną pomocą polską) niezależność polityczną w formie dualizmu. To też tam atmosfera ucisku dominowała do ostatka i jej to mają do zawdzięczenia Węgrzy dziś tak zdecydowanie wrogie ustosunkowanie się do nich swych sąsiadów, tj. Słowacji, Jugosławii, Rumunii, a nawet ... wbrew naszej propagandzie – Karpatorusinów, których z gorliwością godną lepszej sprawy tak spieszo nam było w roku 1939 Węgrom

podarować. Ano „Węgier Polak dwa bratanki” – to zdaje się wszystko, co wiedzą o Węgrach nasi mężowie stanu.

Jak daleko posunięta była atmosfera wolnościowa, tego dowodem formacje wojskowe. Były one właściwie narodowe. Obowiązywała tylko niemiecka komenda, wojskowy język biurowy niemiecki. Korpus oficerski mieszany, obowiązywało jednak każdego oficera opanowanie języka pułkowego. Małopolskie pułki nie różniły się niczym od dziś tam obowiązujących, jedynie komenda brzmiała obco, tak samo jednak była przekręcana i niedomawiana jak dziś, czyli brzmiała dla postronnego ucha równie niezrozumiale. Niesympatyczny był tylko komiczny żargon koszarowy, bo wiele słów z „literatury” wojskowej polskie Wojtki przekręcało niemożliwie, przez co legumina nazywała się „ciuzpają” (Zuspeis), poduszka „kapuźdrok (Kopfpolster), obiad „młynorz” (Menage), pas główny „kupla” (Küppel). W tej tragikomedii bezwarunkowo przeważał jednak komizm. Najpopularniejsze pieśni rzekomo „legionowe” były śpiewane na wiele lat przed wojną przez galicyjskie pułki. Były to przeważnie stare piosenki rzeczywiście legionowe, ale jeszcze legionów Dąbrowskiego i może jeszcze starsze. Do tych najstarszych należała ułańska piosenka „Jak to na wojence ładnie” i piosenka piechoty „Stoi wieża ...”, kończąca się słowami „rozdziobią mnie kruki i wrony”. W aktualizowanych piosenkach podkładem były w staropolskie melodie słowa nastrajające wrogo do „Moskali”. Był to z jednej strony wynik wczesnych przewidywań przyszłego konfliktu, z drugiej wynik przenikniętej przez szkołę tradycji walk z Rosją o niepodległość. Głównie tkwiła w pamięci epoka Kościuszkowska, jako na ziemi małopolskiej narodzona, z widocznym znakiem jej – kopcem Kościuszki w Krakowie, a przede wszystkim przez kosynierską tradycję Raławic. Piosenka „Bartoszu” bardzo często rozbrzmiewała na ustach żołnierzy. W tych warunkach „czyn” legionowy w roku 1914 nie był takim znowu bohaterskim wyczynem, za jaki usiłują go przedstawić obecne panegiryczne historiozofie, a po prostu próbą wyzyskania dla siebie przez sztab generalny austriacki rezerw ludzkich na przewidywanym do okupacji terenie nieprzyjacielskim. Próba ta miała do końca więcej charakter propagandowy niż rzeczowo-wojskowy, bo właściwie polskie wojsko krwawiło się z Moskałem w regularnych pułkach małopolskich. Miało przecież nawet większość oficerów polskiego pochodzenia, często na wyższych stanowiskach dowódczych, np. pułkownik, później generał Bijak, dowódca 57 pp. W Tarnowie. Legiony Piłsudskiego zasłużyły się głównie tym, że ocaliły od masakry znaczną ilość polskiej inteligencji, która poszedłszy tam nie służyła w armii austriackiej bądź rosyjskiej i poniósłszy w legionach straty minimalne w porównaniu do regularnych pułków dały pozostającej w Polsce oficerów nowego typu, nieraz bardzo dzielnych i zdolnych choć przeważnie mocno

podprawionych hochsztaplerką wyrosłą na gruncie dość taniego, za to wrzaskliwie przez historyczne baby rozkrzyczanego bohaterstwa. Było to szczęściem dla sprawy, że wspomniana próba sztabowi austriackiemu się nie udała. Dlatego dziś partyjny hymn „My pierwsza brygada”, wyraz rozgoryczenia z powodu tego zawodu – brzmi dzisiaj tak fałszywie. Tak, to za krucha epoka, aby na niej mogło się oprzeć jakiekolwiek zjednoczenie.

Jeśli już jestem na manowcach tej przydługiej dygresji, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że przecież to ta pomiatana armia austriacka spełniła swe zadanie w planie operacyjnym sprzymierzonych, podczas gdy zachwalany przez siebie i świat sojusznik zawiódł sromotnie (Marna). Spełnienie planowanego zadania kosztowało jednak Austrię, walczącą z przemożnym przeciwnikiem, w dodatku na 2 fronty utratę prawie całej kadry zawodowej i służby czynnej wraz z młodymi rocznikami rezerwy. Butny sojusznik dostawszy od słabszych po łbie odgrywał się teraz na wschodzie dyskontując ten stan rzeczy i wyczyniał zwycięskie ofensywy, znowuż austriackimi rękami, już teraz przeważnie pospolitaków. Na odcinkach „poświęcanych” (dobrze zrozumieć to słowo !) ginęli Austriacy, przy czym na odcinkach „wykorzystania” – „zwyciężali” Prusacy biorąc łup i chwałę zostawiając zakrzyczanemu sojusznikowi szyderstwa i buńczuczne lekceważenia. Jakież za to odbijało „morale” prostego żołnierza austriackiego od pruskiego w ostatnich 2 latach wojny ? Prusak robił wrażenie zbitego, beczącego cielęcia, Austriak – zdiczałego trochę Cygana i zawadiaki. Kompleks niższości gdzieś się zapodział, „frechowność” pruska ustąpiła miejsca wystraszonej potulności, bo doświadczyła nieraz porządnego lania od towarzyszy broni, tak niedawno lekceważonych. Pseudohistorycy wojny światowej opowiadający o załamaniu się Austrii wcześniejszym i rozluźnieniu się armii nie znają faktów. Załamała się nie armia lecz jej wódz, ściślej mówiąc cesarz Karol I. Ten koniunkturalny pijaczyna nie dorósł nie tylko do czasów ale i do stanowiska. Gdyby grzeszył bodaj tylko durną ambicją Wilhelma II i szczyptą rozsądku, Austria była na pewno później skończyła wojnę niż Niemcy i nie wyszłaby na niej tak fatalnie. Kto z historyków wie o fatalnej w skutkach odezwie cesarza do armii z zarządzeniem balotażu tronu z dnia 18 X 1918 ? Na to trzeba było rzeczywiście koronowanego osła.

Tych parę słów może się przyda kiedyś komuś, kto będzie na zimno, z dalekiej perspektywy chciał dociec prawdy tych ciekawych dni, no i w ogóle tego ciekawego państwa, co było najlepszym prekursorem „Stanów Zjednoczonych Europy”. Cóż, dziś, oszołomieni wrzaskliwymi hasłami nacjonalistycznymi zapominamy, że geografia jednak rządzi ludami. Zapoznanie tej prawdy, rozczłonkowanie dorzecza Dunaju między 6 państw wrogich każe zapewne niezadługo Europie nowy krwawy rachunek zapłacić.

Wracajmy do rzeczy. Ze świata odgłosy wojny rosyjsko-japońskiej. Wiosna 1904. Po Wielkanocy, w połowie kwietnia ojciec, który namyślił się oddać mnie do gimnazjum, zawiózł mnie (pierwszy raz jechałem koleją) do Nadbrzezia, abym tam pod okiem Wojtka dokończył swego przygotowania. Sam przerobił ze mną materiał z niemieckiego języka dla miejskiej szkoły klasy III, pozostał jeszcze materiał klasy IV. Z innymi chłopcami ze szkół wiejskich praktykowano zazwyczaj tak, że oddawano ich po 3-cim roku nauki do szkoły ludowej miejskiej klasy III. Mnie to ominęło, jak się rzekło, przebyłem nawet jeden rok nauki uzupełniającej. Zaczął się dla mnie okres, który choć tak krótki, bo tylko dwumiesięczny, wrył się bardzo w mą istotę. Do dziś nie mogę się wydziwić, skąd się brało tyle czasu? Bo nowych przeżyć wtedy trudno nie zliczyć. Choć w bliskości Wisły wychowany, przecież tu ją dopiero ujrzałem po raz pierwszy. Zajmowała mnie całkowicie, co zresztą było naturalne, bo środowisko, w które popadłem, to była wielka rodzina flisacka na śmierć i życie z Wisłą związana. Zamieszkałem z Wojtkiem w jego kawalerskim pokoju. Sypiałem na jakiejś podnieszczonej leżance, jedyną atrakcją tego mieszkania był zegar wagowy, który w wieczór Wojtek jednym szarpnięciem naciągał i stolik nocny obok jego łóżka, w którym chował ulubioną butelczynę rumu Kupa; niekiedy z przyjemnością z niej pociągałem. Aha! Była tam i etażerka prętowa z kilkutomową historią, pięknie ilustrowaną epoki napoleońskiej, nie pamiętam jakiego autora. Dużo z tej lektury skorzystałem. Wkrótce nadszedł transport książek „nagrodowych” dla uczniów szkoły, rozdawanych, jak to wszędzie było w zwyczaju przy końcu roku szkolnego najpilniejszym. Między innymi znalazł się tam Robinson Crusoe w opracowaniu Anczyca, znany mi dotąd tylko z Olkowych opowiadań oraz Quo Vadis w wydaniu jubileuszowym. Oczywiście przestudiowałem je gruntownie. Swoją drogą szło normalne odrabianie lekcji niemieckiego. Z początku coś ze 2 czy 3 razy Wojtek przepytывał mnie, później już tylko zadawał coraz dalej, wierząc na słowo, że poprzednie odrobione, wreszcie polecił zadawać sobie samemu i ...tylem go widział. Wiecznie miał gdzieś interesy, w domu był gościem, często gęsto i na noc nie przychodził. Pozostawiony byłem sobie samemu a raczej towarzystwu rówieśników, którzy mi wkrótce wybili z głowy fumi, jakie usiłowałem zadawać z tytułu oświeconej koligacji. Chłopcy imponowali mi umiejętnością łowienia ryb na wędkę i na podorywkę, pływania i jeżdżenia łódką. Moja kinetowa praktyka znała za to wężerz, sak i kosz, czego tu nie praktykowano. Pływać w bagnie też trudno się było nauczyć lub wiosłować. To też spędzałem nad Wisłą i w jej zaroślach długie godziny prawie co dzień. Po drugiej stronie pyszniły się majestatyczne mury egzotycznego, bo zagranicznego Sandomierza. Od czasu do czasu zalatywały stamtąd dźwięki rosyjskiej orkiestry wojskowej.

Największą tamtejszą atrakcją były tam dla mnie 2 rzeczy:

- 1) przybrzeżny dworzec towarowy tuż przy wale opodal szkoły, gdzie dzierżył berło władzy zwrotniczy Sadło (o jego córce, elegantce prowincjonalnej o wielkich pretensjach mówiono z początku jako o narzeczonej Wojtka), słynny wyprowadzacz szczurów;
- 2) przystań galarów i tratwę, dokąd z dworca prowadził stary wiadukt i grobla.

Naraziłem się nawet raz na lanie od Wojtka, gdyż zwędziłem mu troszkę tytoniu, aby przekupić flisaka, który obiecał mi za tę cenę podwieźć krypą na tratwę. Główne jednak było to, że obok wiaduktu były jeziorcowate rozlewiska, w których dzieciarnia się kąpała nie chcąc przezornie narażać swych jestestw w bystrym nurcie rzeki. Tam to w jednej z łach omal raz nie utonąłem. Kąpiąc się samotnie. Natrafiłem na nagłą spadzistość w wodzie i momentalnie pograżyłem się w niej. Pływać nie umiałem. Instynktem wiedziony przycupnąłem do gruntu i na czworakach wdrapałem się w górę. Jakoś to mnie jednak nie odstraszyło. Powetowałem sobie nieumiejętność pływania wyciągnięciem sporej deski ze starego promu i oklep na niej bujałem już odtąd po największych głębinach rozlewiska. Dla odmiany obserwowałem godzinami to zielsko wikliny to manipulacje małego parowozu na stacyjce. Być takim panem jako ten maszynista wydało mi się szczytem marzeń. Ukradkiem podkładałem to szyny to monety, to guziki, aby stwierdzić, co z nich zostanie po przejechaniu takiego ciężaru.

Oczywiście towarzysze, głównie Felek i Jasiak Ruccy, synowie gospodyni nie omieszkali wyciągać mnie i na inne atrakcje, jak: wioskowe gry dziecięce wieczorowe, wypędy gromadne bydła na wspólne gminne pastwisko, co było instytucją nie znaną mi dotychczas, w szczególności interesowała mnie trąba gminnego pastucha, na której głos było same, niezwiązane i nie popędzane wyruszało z domu na odległe, za wsią pastwisko lub z powrotem; dalej wyprawy na „chodaki”, tj. niby przedowoce na śliwach-węgierkach (nie wiem sam, czy były to zgrupiałe, napęczniałe słodkim miąższem liście pod wpływem jakiegoś pasożyta, czy zwyrodniałe młode owoce), to znów wyprawy na wieczorne nabożeństwa majowe, atrakcyjne z dwóch powodów: 1) radzi flirtowaliśmy po swojemu, tj. czyniąc psoty ze strojnymi (na ogół ludność tam była płocha, choć uboga i bardzo zważała na powierzchowność; wpływ zapewne kultury miejskiej wędrownego flisactwa) i często dość przystojnymi dziewczętami. Najwięcej przypadły mi do gustu Władka Rucka, córka gospodyni i Lachówna, córka sklepikarza; 2) jeszcze więcej było uciechy z planów kampanij jakie snuliśmy zawsze przed wymarszem na bitkę z Trześniakami, tj. chłopcami z Trześni, sąsiedniej wsi, gdzie był kościół. Dalsze wędrowki odbyłem coś 3, do Sokolnik, do Wielowisi w poselstwie od Wojtka do kolegów. Oberwało się nie raz guza i raz jeszcze lanie od brata, że

wróciłem późną nocą, bo stawiałem kręgle graczom u Bartozka i nie mogłem zrozumieć, dlaczego ma mi za złe, iż wziąłem od nich napiwek. No, a przecież grosze były potrzebne, bo i haczyki do wędek i czekoladkę trzeba było czasem fundnąć towarzyszom u sąsiedniej Szifry lub Maszy. To były dwie siostry, starawe Żydówki, wiecznie kłócące się konkurentki, mające o ścianę swe sklepiki w starej karczmie tuż przy wale. Zasadniczo rezydował tam stary Szmil, nigdy nie wychodzący z izby zapchanej wyrobami tytoniowymi, bo trafikę tylko sobie zostawił, szynkował zaś syn. Co piątki wieczór widzieliśmy go przez okno ubranego pontyfikalnie i zawodzącego dziwne melodie z kiwającymi się innymi Żydami, „ogierami”, jakeśmy ich nazywali. Był widocznie jakimś podrabinem.

Naprzeciwko był piekarz Jankiel, u którego najwięcej widziałem karaluchów. To była też pewna niezwykłość (piekarz na wsi, nie karaluchy), gdyż nawykłem do tego, że każda gospodyni sama sobie w domu chleb wypiekała. Tu już byli za wygodni, a może za biedni na to, żyjąc z grosza życiem proletariatu miejskiego. Było tam kilku gazdów w pretensjach do wielkiej oświeconości, jak Jedliński, Ziemia, Miklewski. Ich synowie przysposabiali się do gimnazjum w Tarnobrzegu, z czego byli wielce dumni. Przy szosie blisko Wisły zwracała uwagę willa emerytowanego celnika Gutowskiego z ogrodem, gdzie gałęzie jabłoni łamały się już wtedy pod ciężarem owoców a na grzędach stały słupy z kolorowymi lampionami. Nieco dalej w górę Wisły stał domek kierownika robót budującego się portu Wiślanego. Upamiętnił mi się tym, że miał dużego, kasztanowego psa pół wilka, pół brytana, który mnie raz ugryzł w udo. Wystraszony właściciel, tym bardziej, że musiało to być nie po raz pierwszy, zastrzelił go w tenże dzień a mnie zrobił opatrunek z gazy jodofornowej. Przeklinałem go głównie dlatego, że przez dwa tygodnie byłem pozbawiony możliwości kąpania się, bo baby uznały, że tak trzeba.

Aczkolwiek wydaje mi się do dziś, że to wszystko trwało długo, przecież tylko dwa miesiące, co prawda długich, wiosenno-letnich i dziwnie pogodnych dni. Dobrze mi posłużyły na zdrowie, bo przyjechałem wyblakły, po niezbyt dawnej, bo przed dwoma niespełna laty przebyłem ciężkie zapalenie płuc i opłucnej, połączone z kompletnym prawie wykrwawieniem się po nieostrożnym postawieniu pijawek. Co prawda po tym skrwawieniu z miejsca ustąpiły poprzednie dokuczliwe dolegliwości, jeśli nie liczyć bezwładu ciała. Była to druga choroba, jaką pamiętam. Pierwszą była szkarlatyna, gdy miałem 8 lat. Początek zapalenia płuc miał miejsce w okolicznościach, które mi się dobrze wryły w pamięć. Mój młodszy brat Tadek miał trudności z przystąpieniem do pierwszej spowiedzi, bo to nie mógł pojąć nauki, to znów spowiednik zmęczony zesłonością pijatyką u proboszcza zasnął w najlepsze w czasie jego akurat kajania się, a po ocknięciu się wywarł swą złość na nim

odpędziwszy go od konfesjonału, dość że po raz trzeci w tej próbie matka poleciła mi osobiście dopilnować, aby Tadek tym razem nie odszedł z niczem. Wczesnym wiosennym rankiem udaliśmy się do Czermina na mszę. Gdzieś w połowie poczułem zawrót głowy; baby zauważywszy moją bladość wyprowadziły mnie przed kościół na kamienną ławeczkę. Za nimi Tadek, który i tym razem nie doczekał się odbycia spowiedzi. Tam zaczęło mną nieprzyjemne trząść zimno, co widząc wychodząca z kościoła ciotka mej matki, stara Koźwalina z Podkościela poleciła bezradnemu Tadekowi iść do domu z meldunkiem a mnie zabrała do siebie ułożywszy w łóżku. Po paru godzinach poczułem się na tyle dobrze, że opuściłem gościnne progi i pod Rybakami spotkałem matkę idącą po mnie. Już w tenże dzień jednak wieczorem odczułem dokuczliwe kłucie w prawym boku wzmagające się z każdym dniem, nie ustępujące ani pod plastrem gorczycznym ani kompresem, aż pijawki mnie z tego wyzwoliły. Nim jednak mogłem się po nich poruszyć na łożu, upłynęły dwa tygodnie. Płonicę przechodziłem gwałtownie ale bez powikłań.

Nadszedł dzień, że trzeba mnie było odesłać z powrotem do Brnia, aby stamtąd być przez ojca zawiezionym na egzamin wstępny do Tarnowa. W przeddzień usiłował Wojtek na gwałt sprawdzić me wiadomości z polskiego, niemieckiego i religii. Doszedł zdaje się do nie bardzo pocieszających wniosków, ale czasu już nie było. Kupił mi bilet do Mielca, dał jeszcze szóstkę na fryzjera i pożegnał. W piękny dzień przytaszczyłem się do Brnia ze swym zawiniątkiem. Na buzi wyglądałem dobrze, ale co w łepiecie, to rodzice mieli też wątpliwości. Na drugi dzień odbył się sakramentalny wyjazd do Tarnowa. Sakramentalny, gdyż ojciec od lat nawykły do tej wędrówki zabierał się do tego ze szczególnym nabożeństwem. Tak mu to weszło w krew, że jeszcze po latach, gdy już byłem na medycynie w Krakowie, jednak nie wytrzymał jak Cygan, gdy nadszedł czas feryjny i zaprzęgał swą szkapę (z reguły podróż tę, prawie 7 milową odbywał w jednego konia, nie wiem dlaczego) i pod wieczór, tj. za zachodzącym słońcem wyruszał starym szlakiem na Radomyśl – Lisią Górę do Tarnowa pod pozorem, że trzeba odwiedzić wujenkę Józkwą. Tak i wtedy wyruszyliśmy wieczorem jadąc całą noc. Ojciec umiał spać powożąc, szkapę zaś sama skręcała na wiadome jej postoje przy karczmach przydrożnych. Ja drzemiąc roiłem widzenia fantastycznych miast i zamków, jakie kształtowały się w oparach zagajników i zarośli. Znaczna część szosy Radomyśl – Tarnów wiodła przez duże lasy. Śpiew leśnego ptactwa o świcie był zadziwiająco dla mnie nowością. Ostatni popas wczesnym rankiem w Lisiej Górze w karczmie pod „Kogut z kokoszą na piwo proszą”. U wszystkich tych Żydków po drodze czuł się ojciec jak u siebie. Znał przecież nieraz ich dziadów. Wreszcie zbliżanie się do celu. Z pewnym lękiem myślę o tyle naopowiadanej mi jeździe „z góry”. Rzeczywiście w

odległości 3 km od miasta gościniec zaczyna się dość gwałtownie zniżać, a równocześnie odsłania się widok na miasto w dole. Po Sandomierzu nie robił ten widok już na mnie takiego wrażenia, jak za pierwszym razem, gdy mnie zawiózł tam ojciec 3 lata temu. Nikt z nas bowiem nie chciał zaniedbać okazji zobaczenia „wielkiego świata”. W dorosłych latach awansowało się już na Kraków lub Lwów. Za pierwszego pobytu w Tarnowie zabłądziłem oddalwszy się od fury na postoju „Pod Dębem” zaledwie o kilkanaście kroków. Na szczęście znalazł mnie stryjeczny Olek, wtedy jeszcze seminarzysta. Obecnie czułem się już śmieiej. Wzięli mnie w swą opiekę cioteczni bracia Janek i Eustachy, pierwszy przechodzący już do klasy IV, drugi do klasy III gimnazjum.

Zaprowadzili do zakładu, gdzie sami uczęszczali, tj. do II gimnazjum. Mieści się ono do dziś w dwóch przyległych galeryjką domach, z tych jeden przy ul. Seminaryjskiej jednopiętrowy o niskich ścianach, drugi dom, później trzypiętrowy przy ul. Kantorza, własność Żyda, fizyka miejskiego Piltzera. Nie wiem, jak tam zrobiłem zadanie pisemne, przy ustnym prof. Kosiński nie mógł mnie naprowadzić, żeby nie mnożyć przez 1 mnożnika, lecz odstąpić w prawo. Z niemieckiego śpiewałem jak z nut odmianę rzeczownika „die Hand” i na tym się skończyło. Spytali mnie tylko: „Czy chcesz się uczyć? – Chcę.” Ogłoszono, że przyjęty. Dyrektorem był Jan Leniek, wąsaty z kocią brodą i ociężały pocziwiec, podobno dość zasłużony historyk. Grono nauczycielskie nie grzeszyło zbytnim doborem, bo był to zakład dla „hołoty” i przydział tam był poniekąd traktowany jako karny. Egzystował przy tym dopiero 6 lat, tworzyła się więc dopiero VII klasa. Przeważali w klasach synowie chłopscy. Wśród pedagogów zdarzali się nieuki i nicponie przeważnie jednak byli to ludzie dobrej woli, niektórzy wybitni wykładowcy i wychowawcy. Scharakteryzuję ich z biegiem lat nauki.

Wojtek był wynikiem mego egzaminu przyjemnie zdziwiony. Z końcem wakacyj, jak zawsze pracowitych, ojciec zabrał mnie i Olka ze skromnymi tobołkami i żelaznym składanym łóżkiem i poczłapał starym traktem do Tarnowa. Jazda była mniej przyjemna, bo noc dłuższa i poranek chłodny. Stanęliśmy na placu pod budującą się od wieka bożnicą i ojciec jął szukać stancji czyli kwatery stałej dla nas. Obserwował nas tam pilnie jakiś młodzieniec, jak się okazało, Otfinowski, ogrodnik u ks. Sanguszkowej, kręcący się tu w roli agenta swej matki, która trudniła się trzymaniem pensjonatu dla „studentów”. Układ stanął, opiewający przeważnie na naturalia i wprowadziliśmy się do oficynowej nory w cuchnącym podwórku przy Przecznicy Szpitalnej. Były tam dwa pokoiki. Pierwszy przejściowy zajmowaliśmy ja z Olkiem, czwartoklasista Stachowicz z Borowej i drugoklasista Buczek z Podlerzan. Drugi zajmowali starsi, z wyższego gimnazjum; pamiętam tylko Bokkę, eleganckiego szóstoklasistę z dużą, kręconą czupryną. Karmiono skromnie, ale nie najgorzej.

Jakkolwiek płaca była śmiesznie mała, było to jednak, jak się okazało, nad siły ojca, gnębnego podówczas cudzymi długami z poręczenia i kiepską ówczesną koniunkturą. Po trzech miesiącach przenieśliśmy się o kilometr ku peryferii na ul. Szpitalną do wujenki Mijakowej zamieszkałej obecnie w domu wspomnianego murarza Burdy. W tym roku byliśmy u niej na pełnym stole. Od następnego począwszy i tu nam było za drogo i stołowaliśmy się samodzielnie, tj. uczęszczając do nowopowstałej taniej kuchni w starym, pogimnazjalnym gmachu przy katedrze. Obiad kosztował 10 centów, kolacja 6. Była to kuchnia z głównym przeznaczeniem dla szkolników, uczniowie mieli swoje godziny. Strawa była dość dobra, nieco, jak na młode żołądki za skromna. Cóż, kiedy i na to nie zawsze starczyło i często trzeba było obejść się smakiem. Z kupionym u kasy biletem stawało się w ogonku i posuwało w nim przez zmywalnię do kuchni, gdzie jedna z dyżurujących pań odbierała bilet i wręczała nakrycie z nadzianą na widelec kromką chleba. Z tym podchodziło się do gospodyni, sympatycznej pani Tomaszewskiej, która nakładała na wziętą naprzeciw ze stołu salaterkę z zupą – talerz z drugim daniem. Były to albo kielbasa w kwaśnym sosie z kartoflami, albo kaszanka z kapustą i kartoflami, albo gulasz cielęcy, albo sznycel siekany z kwaśną fasolą lub sztuka mięsa, czy boczek z grochem. W dni postne na odmianę, raz knedle bułczane z powidłem, tzw. „Steinkugle”, raz knedle parowe, tzw. „pantofle”. Po skończeniu jedzenia obowiązywało odniesienie naczynia do zmywalni. Wymigujących się od tego gromiła babcia Tomaszewska bardzo ostro. W stołowym pokoju mieściła się również biblioteka, zebrana i zorganizowana staraniem ks. Gadowskiego, katechety seminarium nauczycielskiego, bardzo dzielnego człowieka, który pierwszy wytyczał najważniejsze turystyczne szlaki w Tatrach, przede wszystkim Orlą Perć.

Kilka lat spędzonych na wspólnym, ciasnym mieszkaniu, bo jednoizbowym, tak niskim, że ręką dosięgało się powały, razem z kuzynami (w tym dwójka dziewcząt) wryły na mnie specyficzne piętno. Prawda, może te warunki jak i duża odległość od koleżeńskiego środowiska uchroniły mnie od zbataryzowania się, co się niejednemu z kolegów przytrafiło (choć nie mogę powiedzieć, aby życiowo potem na tym źle wyszli), ale ujemne skutki były jeszcze większe. Wujenka, jak każda matka, widziała w swym synu Staszku (Eustachym) geniusza, a poczciwy ten chłopaczyna utwierdzał w sobie to mniemanie tym, że mógł mnie, o dwie klasy młodszemu, ciągle imponować. Tym bardziej, że matka dawała mnie i jemu ciągle do zrozumienia, że ja do takiego ideału nigdy nie dociągnę. Bardzo pilny, po prostu kujon, wpływał przynajmniej pod tym względem na mnie dodatnio. Na moje wysiłki patrzył zawsze z wysoka i samoświadcząc wyrobił w sobie szkodliwy kompleks wyższości, co przyczyniło się do jego załamania się w późniejszym czasie. U mnie na odwrót, te 5 przejściowych lat

przyczyniło się do powstania kompleksu niższości, z którego do dziś nie zdążyłem się należycie otrząsnąć. Stan ten stał się już męczarnią, kiedy ... dojrzelśmy już wszyscy płciowo. Mieszkanie razem dwóch dorosłych młodzieńców i dwóch panien było fizycznie niemożliwe. Jakoś trudno to było zrozumieć rodzicom, ale postawiłem sprawę na ostrzu noża. Odtąd zaczęła się moja nowa Odyseja. Ale o tym później.

Cóż tym czasem działo się w szkole? Było nas w klasie I 130 w dwóch oddziałach. Siedzieliśmy ciasno jak śledzie w beczce. Okazało się, że znaczna część elementu miejskiego, szczególnie żydowskiego to były zaprzysiężone tępaki, którzy odpadli już w ciągu roku. Nie zapomnę Żydka nazwiskiem Leibel, syna agenta policyjnego, który na pytanie przyrodnika Dyducha, gdzie żyje krokodyl, posłuchał złośliwego podpowiedzenia i rzekł: „W strzeleckim ogrodzie w stawie”(park Strzelecki obok zakładu). I drugiego Żydka Zielonkę, którego germanista Wójcik w żaden sposób nie mógł nauczyć wymawiać „gęś”, ciągle mówił „gieńś”. I trzeciego Żydka Wertheimera, dowodzącego geografikowi Jaroszowi, że oś ziemską musi być z żelaza i gruba na kilka mil, a Indie Przedgangesowe nazywał przylądkiem.

Z wychowawców, z miejsca zaznaczyli swą indywidualność i zdobyli sympatię klasy prefekt ks. Rec i polonista Kuzek. Obaj byli wielkimi przyjaciółmi młodzieży; Kuzek nie miał jednej wolnej przerwy, otoczony jak Sokrates bachorami gawędził z nimi wiecznie. Rec prowadził „Pomoc Koleżeńską”, dzięki której nie potrzebowaliśmy się troszczyć o podręczniki, a bardzo ubodzy dostawali nawet odzież bądź abonamenty do taniej kuchni. Z czasem ten zapął doń troszkę przygasał a to przez stworzoną przezeń (zresztą być może tak było przez jego władze nakazane) instytucję fagasów donosicieli. W odniesieniu do poszczególnego ucznia był surowym, prześladował zwłaszcza opieszających do przewietrzenia się w czasie pauzy, ale miał dar jasnego i zajmującego wykładu, przy tym wielką wiedzę ogólną. Wspaniale wykladał historię sztuki kościelnej a przy tej sposobności ekonomię nowoczesną (giełdy, akcje itp.). Gorzej mu szło z dogmatyką i wywierał skutki wręcz przeciwne zamierzonym. Co prawda winien tu jest sam przedmiot i naiwne po dziś dzień podręczniki, traktujące podrostków gimnazjalnych jak dzieci. Nauka religii to katechizm, biblia, liturgia, etyka, sztuka kościelna ale nigdy dogmatyka. Nie można bowiem na rozumie opierać tego, co winno się opierać na wierze. Kwalifikował Rec bardzo łagodnie, jak się nam później przyznał, dla niego miarodajny był stopień pobożności a nie wiedzy przedmiotu. Zupełnie innego był zdania jego następcą ks. dr Wiślicki i ten nie wahał się pakować „singla”, gdy kto nie umiał przedmiotu. Ewentualnie wyrażany sceptycyzm przyjmował uśmiechem, który nie wiadomo co oznaczał: pobłażanie, zakłopotanie, czy ciche przytaknięcie. Były to w każdym razie wybitne, zasłużone jednostki, zwłaszcza ks. Rec, synowie chłopscy. Ks. Rec

udzielał nam prócz tego w I klasie lekcji łaciny. Jakoś czułem się dość swojsko w tej nowej atmosferze, zwróciłem na siebie uwagę w przedmiocie języka polskiego, jako najlepszy deklamator i obeznany z wieloma abstrakcyjnymi pojęciami. Tak już miało zostać. Przejściowo wybijałem się z coraz to innych przedmiotów odkrywając w sobie uzdolnienia, co w dużej mierze zależało od nauczyciela, jednak w języku polskim pozostałem już bezkonkurencyjnym do końca, tj. w stylistyce i rozwijaniu myśli, choć w gramatyce a nawet w ortografii nigdy nie byłem zbyt tęgi. Skończyłem klasę I z celującym postępem. Tak było do klasy V-tej. Najlepsze miałem noty w klasie III i IV. W klasie VI weszły w grę inne ważne czynniki i utrzymywałem się wprawdzie na wysokim in potentia ale in facto na średnim poziomie aż do końca. Później o tym. W klasie i siedziałem obok Kazimierza Kubali, dziś inż. mjr. w stanie spoczynku, głośnego z nieszczęśliwych lotów atlantyckich. Ja bym na miejscu ś.p. Idzikowskiego nigdy się nie odważył odbywać takiej eskapady w towarzystwie takiego partacza. Już wtedy był to typ neurastenika z łysiejącą na rogach czupryną, wybuchowy i zmieniający decyzje co chwile. Na drugi rok już przeniósł się do Bochni. On, Orzeł (obecnie kpt. sanit. w Krakowie), Kaliciński i paru innych mieszkali w pobliżu gimnazjum w długim, niskim parterowym domu, gdzie mieścił się prywatny pensjonat dla uczniów ks. Kalicińskiego. Mieszkała tam „lepsza sfera”. Protegowani biedacy zamieszkiwali w istniejącej do dziś bursie ś.w. Kazimierza na ul. Lipowej. Panował tam klasztorno-koszarowy rygor. Prowadził bursę ksiądz z rudą peruką, nazwiska zapomniałem. Obecnie prowadzi ją ks.dr Młodochowski Józef, mój rówieśnik w klasie, wychowanek tejże bursy. Wtedy nazywał się Bik, syn biednego chłopca z Młodochowa powiat Mielec. Do klasy w której byłem, tj. IA, byli przydzieleni wszyscy „buloki”, czyli bursaki. Była ich spora paczka. Poza samym Bikiem, który zresztą już w klasie IV odszedł do tzw. „Małego Seminarium”, tj. biskupiego pensjonatu dla wybranków późniejszych księży, inni w tych „zglajszachtowanych” warunkach nie wybijali się, aczkolwiek zazwyczaj świecili wzorem pilności, mieli dobre stopnie, słowem „kujoni”. Znaczny procent z nich później załamywał się. Ciekawe, że w późniejszym życiu wybili się głównie ci, którym wychowawcy nic dobrego nie wróżyli. Wielu też pożegnało się przedwcześnie z życiem. Już w klasie I zmarł przez utopienie się w Dunajcu Walawski, syn budnika kolejowego; potem Szlosek, bardzo pięknie zapowiadający się ; już po maturze wnet Siuśka Ałogowski; Rodak niedługo po wyświęceniu na księdza, i to na gruźlicę, choć wydawał się zawsze okazem zdrowia; Kwaśniak Józek, prymus przez cały czas, bardzo zdolny, syn biednego chłopca z Borzęcina; Stec Jan, syn szewca z Tuchowa i Maniak Kazimierz, syn urzędnika z Tarnowa zginęli na wojnie. Wielu odpadło do innych zawodów, do innych szkół, wielu w ciągu lat następnych przybyło z innych gimnazjów, tak,

że w klasie VIII pozostało nas 26, z czego jeden w ciągu roku został dyscyplinarnie wydalony ze wszystkich szkół galicyjskich za umieszczanie paszkwili w pismach rewolucyjnych (Wacek Dlauhy, legionista, później prokurator, naczelnik Wydziału Personalnego Ministerstwa Sprawiedliwości, wreszcie wicedyrektor Głównego Urzędu Statystycznego); drugi troskliwie inwigilowany przez grono nauczycielskie jako karciarz, gdy go jednak nie można było przyłapać został do pasji doprowadzony „singlem” z nie pamiętam jakiego przedmiotu (zresztą bardzo wolny chłopak) i wystąpił z zakładu składając później maturę jako ekstern (Lei Stanisław, obecnie Szef Intendentury w Warszawie). Zdawało nas więc maturę razem 24, z tego połowa tylko była uczniów tarnowskich od początku.

W klasie I byłem jeszcze bardzo żywy i skory do bitki. W następnych latach zmieniło się usposobienie gruntownie. Z dawnej żywości pozostała wybuchowość w razie doprowadzenia do pasji. Wpłynął na to czas pokwitania, a może jeszcze więcej niedożywienie. Stałem się bardziej zamknięty w sobie, co zresztą w dużej części trzeba było przypisać okoliczności, że byłem o dobre 3 lata starszy od kolegów, z którymi miałem możliwość stykania się poza szkołą i ich dziecinność drażniła mnie. W klasie II odnalazłem w sobie zamiłowanie do przyrody (botaniki uczył bardzo sympatyczny i mądry, choć trochę dla łobuzów za miękki przyrodnik Dyduch Tomasz). Całymi dniami włóczyłem się samotnie po polu i łąkach studiując i zbierając do zielnika okazy. Z innych przedmiotów lubiłem tylko geografię; inne, choć nie trudno mi przychodziły, nie wzbudzały we mnie szczególnego zainteresowania. Jak się później okazało, zależało to tylko od nauczyciela, który albo umiał albo nie umiał zainteresować przedmiotem. Ta umiejętność jest moim zdaniem nieodłączna od tego, czy nauczyciel naprawdę zna swój przedmiot i kocha go. Odkrywanie u mnie coraz to nowych uzdolnień i zamiłowań dowodzi, że nie posiadałem jakichś wybitnych zdolności, które są zwykle jednostronne lecz posiadałem dość giętki umysł uniwersalny. Z tą naturą mógłbym być, zdaje się, większe zasługi położyć w polityce niż w medycynie. W matematyce algebra szła troszkę po grudzie, no bo uczył jej niefachowiec, Dyduch, później niby fachowiec, wieczny suplent, wąsaty dryblas Gruszczyca, który swą ignorancją ośmieszał się często nawet wobec uczniów. Z geometrią szło łatwo, ale też była to spuścizna po Gaworze w szkole wiejskiej.

W klasie III stałem się zapalonym filologiem pod wpływem dzielnego klasyka Wincentego Sikory, który umiał nawet w gramatykę grecką tchnąć zajmującego ducha. Leniwszi byli co prawda u niego biedni. W tym roku zainteresowania przyrodnicze przygasły, bo znów (fizyka, chemia) uczyli jej nie zawsze fachowcy. Z czytelnictwa, które było umożliwione szeroko przez bibliotekę szkolną i „chrześcijańską” ks. Gadowskiego

pożegnałem się już z literaturą młodzieżową i jałem się poważniejszej. W klasie IV wybiła się już w mych zainteresowaniach polonistyka na pierwszy plan. Był to czas pożerania Szekspira, Ibsena, Słowackiego i powieści historycznych. We wypracowaniach doszedłem już do dojrzałości. Zadanie, np. „Ocena jakiejś przeczytanej książki” było przedmiotem specjalnego posiedzenia konferencji nauczycielskiej. Była to krytyczna ocena „Zaczarowanego koła” Lucjana Rydla. Wypracowania wszystkich innych kolegów były dziecinne. Bywało, że zwracały się wtedy już do mnie seminarzystki starsze, którym podrabiałem literackie opracowanie. Prędko musiałem spuścić z tonu, gdyż spotykały się z niedowierzaniem co do autentyczności jako za mądre. W klasie IV zacząłem karierę muzyczną. Poprzednio z przedmiotów nadobowiązkowych uczęszczałem tylko na śpiew. Uparłem się w klasie III śpiewać w chórze męskim, choć przestrzegał mnie nauczyciel, gdyż mutacja się nie skończyła, że dobrze zapowiadający się głos może się zepsuć. Gimnazjum miało orkiestrę dętą. Uczyłem się na klarncie. Trudność sprawiało mi czytanie nut, gdyż okularów jeszcze nie używałem. Wykuwałem więc każdy kawałek na pamięć. Grywaliśmy głównie marsze, przeważnie wojskowe, jak: „Vorwärts”, „Statsmünter”, „Na Belwederze”, „Domowina”, „Marsz Sokołów”, „Bezdroże” – kompozycja krakowiakowa itp. Był to substrat bardzo dobrej zresztą orkiestry 57 p.p., gdzie grali Polacy i Czesi. Kapelmistrzem był Czech. Nauczycielami muzyki w gimnazjum byli przeważnie sierżanci tego pułku. Marsze grywaliśmy na uroczystych pochodach, np. trzeciomajowych, cięższy repertuar jak mazurki, polonezy, uwertury w czasie urządzanych wieczorów teatralnych lub na gościnnych występach. Znaczniejsze z nich były dwa w roku 1910. W lecie bowiem tego roku odbywały się wszędzie w małych miastach wcześniejsze obchody 500-lecia Grunwaldu, które były niejako przygotowaniem do głównego obchodu w Krakowie w dniach 10 – 14 lipca. Wyjechaliśmy więc najpierw do Dąbrowy, gdzie impreza ta odbywała się pod protektoratem posła Jakóba Bojki, jednego z najstarszych działaczy chłopskich i ideowego literata ludowego. Odziany był wtedy w odświętną płótnianą kamizelę. Zwrócił naszą uwagę tym, że nie chciał pić wina, którym nas częstowali gospodarze, jeno kazał sobie dać wódki. Graliśmy tam specjalną uwerturę skomponowaną pod takt sokolich popisów lancami.

Drugi podobny występ, jeno trudniejszy jeszcze pod względem pracy i repertuaru, odbył się w Bobowej, też na święcie grunwaldzkim. Podejmował nas tam ojciec Wieniawy Długoszowskiego, sympatyczny Staruszek w swym dworku.

Muszę się nieco cofnąć dla skreślenia innych, ważnych przeżyć. W klasie III kolega Kwaśniak wziął mnie raz na poufną rozmówkę, w której dość mętnie i tajemniczo klarował mi, iż winienem się zapisać do ich kółka samokształceniowego. Wiedziałem o tem dotąd

tylko tyle, że w starszych klasach istniały świeżo założone kółka Filomatów, organizacje szkolne oficjalne, jak później się domyśliłem, utworzone przez władze umyślnie po to, żeby były odskocznią dla żadnych nowości umysłów, które spodziewano się przez nie opanować i odepchnąć od walczących o nie organizacje tajne. Jakie one były miałem się wnet dowiedzieć z grubsza a poznać istotną treść we wiele lat później. Organizacja, do której mnie zaciągnął ś.p. Kwaśniak była „narodowo-demokratyczną” po prostu endecką. Bogiem jej już wtedy był Dmowski, no oczywiście do literatury ideologicznej byliśmy za młodzi. Raczone nas na razie pismem „Ojczyzna” wydawanym przez Stanisława Rymarza, przejściowo naszego nauczyciela historii. Było to pismo dla ludu (tygodnik konkurujący z „Przyjacielem ludu” Stapińskiego i „Ludem Katolickim” biskupa Wałęgi. Nabrzmiały był ten tygodnik polskopatriotyczną frazeologią i we walce o mandaty poselskie licytował się z tamtymi w programie na punkty, nie mające nic wspólnego z ideologią zasadniczą. Rezultatem tej lektury musiało być oczywiście niedojrzałe rozpolitykowanie. Poza tą lekturą pod przewodnictwem starszego wtajemniczonego gimnazjalisty (najpierw 6-to klasista Breyer, później 7-mio klasista Śliski) zbieraliśmy się na tajne posiedzenia, gdzie w pogadankach usiłowano budzić w nas nieufność i nienawiść do „zaborczej” szkoły, wywlekając stare dzieje ucisku narodowościowego (później przekonałem się, że ten anachronizm był spowodowany niedopatrzaniem centrali, która nałożywszy sztywne ramy skomplikowanej organizacji wzięła pod jeden strychulec wszystkie trzy zabory), no i do czasu dyskutowaliśmy nad wygłoszonymi referatami na tematy jak „miłość ojczyzny”, historie powstań narodowych itp. Zniechęciła mnie wkrótce ta zabawa, gdyż nie imponował mi poziom tej roboty i rozumiałem doskonale, że za tym kryje się partyjne ducholaństwo, gdyż tego wszystkiego uczono przecie w szkole i bodaj czy nie więcej. Z domu miałem już pewne nastawienie i wyrobienie polityczne. W klasie IV przestałem się udzielać. Ominął mnie przez to przykry skandal, jaki wyniknął na tle prześladowania przez władze przeciwnego tajnego obozu młodzieżowego „Promienistych” (Promień - było to ich czasopismo ideowe, akademickie i tąż nazwą ochrzczona była ich organizacja akademicka w Krakowie). W śledztwie prowadzonym podobno sypali endecy promienistych, jako że sami byli cichcem tolerowani, co zresztą zależało od składu grona, które nieraz liczyło zakonspirowanych protektorów jednej lub drugiej strony. Przez środowisko, z którego wyszedłem, przez wrytą w pamięć działalność mego ojca byłem dobrym materiałem wtedy na radykała. Jednakże ze strony przeciwnej nie podjęto w stosunku do mnie żadnej próby. Tak socjalistyczni promieniści jak i zaczynający się organizować na terenie młodzieżowym ludowcy byli zakonspirowani nie mniej endeków. Inicjatywa więc mogła wychodzić tylko z góry przez polowania na upatrzonego. I tu tkwi pewne sedno, które

może ciężko zaważy kiedyś na naszych losach. Nie byłem dla radykałów pożądanym nabytkiem, gdyż uchodziłem za ucznia pilnego, spokojnego i solidnego lecz bez zewnętrznych objawów polotu. Endecy łowili właśnie taki narybek. Jak dalece skrzętnie to czynili to i świadomie, to najlepszym dowodem, że w klasie V ponowili ze skutkiem na mnie swe zakusy. Tej zasady trzymają się po dziś dzień. Dlatego wyrosli dziś na groźne zjawisko w życiu akademickim i późniejszym. Lewicowcy polowali na osobników zmanierowanych ulicznikostwem, fasonem pseudopostępowym wyrażającym się w wyzywającym stroju, płaskim dowcipkowaniu, przedwczesnym zapijaniu się i flirtowaniu. Dlatego, choć wielu z tej kategorii dziś zajmuje wysokie stanowiska, trudno w tym rozeznaczyć, wiele w swej karierze zawdzięczają osobistej działalności a wiele sprzyjającej koniunkturze. Stąd mamy tyle w obecnym naszym życiu politycznym hochsztaplerstwa, blagi, bluffu i kultu niekompetencji. Inaczej było ze stroną przeciwną. Jakkolwiek wielu dobrze zapowiadających się uczniów później się załapuje, przecież w masie pozostają, to jednak ludzie wartościowi, choć nie zawsze głośni. Dodać trzeba, że w latach powojennych tylko endecy prowadzili tę narybkową pracę w dalszym ciągu, ugrupowania lewicowe spoczęły na laurach wpływów i władzy. Powstała piętnastoletnia luka, w której ruchliwszy i ideowy element dostał się w pachol „narodowy”. Spóźnione próby organizowania „Legionu Młodych” itp. imprezy spaliły na panewce. Jest to groźne memento dla dzisiejszych władców. Zejdą bowiem ze świata bezpotomnie, pozostawiając losy ojczyzny w ręku swych śmiertelnych wrogów. A jest to wróg, którego bagatelizować nie można, choć prześwieca przezeń przeraźliwa ideowa pustka. Bo jego istotną siłą są nałożone przez Dmowskiego z początkiem już bieżącego stulecia zakonspirowane iście po masońsku ramy organizacyjne.

Jak się rzekło, a w klasie V wykonano na mnie atak ponownie, tym razem przy pomocy mego brata ciotecznego Eustachego, któremu polecono mnie obrobić. Nawykły do wierzenia weń wciągnąłem się po raz drugi na listę klasowego kółka, do którego poza mną należeli: Kwaśniak, Lelek (obecnie sędzia apelacyjny w Krakowie za protekcją Dlauhego), Grądziel, Sokół (zginął w dywizji syberyjskiej), Jonak, Maniak, Wójcik, Kubicz. Wkrótce przewodniczący koła, którym był jeszcze ciągle jeden ze starszych, oświadczył mi na osobności, że teraz dopiero jestem członkiem rzeczywistym organizacji, obowiązany płacić groszowe składki członkowskie i na „Dar, czy Skarb Narodowy w Raperswilu”, poza tym ma prawo uczestniczenia w dorocznym walnym zebraniu całej gimnazjalnej organizacji. Moi koledzy, nie mający przerwy dostąpili godności członkowskiej już z początku roku. Przedtem byliśmy (dwa lata zasadniczo) na okresie próbno-przygotowawczym. Lekturą ideową była już teraz „Teka”, endecki organ akademicki, stare roczniki „Przeglądu Wszepolskiego”, bardzo

zresztą dobrze redagowane, „Myśli nowoczesnego Polaka” R. Dmowskiego jako katechizm, poza tem szczegółowe studium geografii polityczno-społecznej wg. Glogera. Schodziliśmy się w kawalerskim mieszkaniu na ul. Ogrodowej u kolegi Kubicza, który był bibliotekarzem. Niedługo potem oświadczył mi na osobności już sam prezes organizacji (nie pamiętam już, czy był to jeszcze Karol Popiel, głośny później działacz N.P.R., poseł więziony w Brześciu, rodem z Rzochowa, syn szewca, bardzo zdolny demagogiczny mówca; czy też już Kornaus Jan, obecnie ppłk. dypl. szef sztabu 20 dyw., również dobry mówca i wybitny zawsze historyk – że zostałem przyjęty do „Wydziału” organizacji, jako rzeczywisty członek bez teki. Była to komórka formalnie administracyjna, rodzaj Rady Ministrów złożona z funkcyjnych (Prezes, Zastępca, Sekretarz, Skarbnik, Bibliotekarz) i wobec zwykłych członków ci tylko występowali jako Wydział na walnym zgromadzeniu. Wydziałowcy bez teki byli zakonspirowani, były to jednostki rokujące większe nadzieje, kandydaci na prezesów kół. Z naszego koła wydziałowcem był Kubicz z teką, Kwaśniak i ja bez teki. Niedługo objąłem prezesurę we własnym kole rówieśników. Musiałem się dobrze spisać, gdy już w następnym roku, tym razem od dwóch wtajemniczonych miałem się dowiedzieć o wyższym jeszcze szczeblu.

KONIEC TOMU I
